FRAGMENTY POWIEŚCI:
TADEUSZ GICGIER
TADEUSZ SŁUPECKI

ANDRZEJ MAKOWIECKI
DŁONIE I PIĘŚCI

ODGŁOSY

ROK XIX NR 44 (986) 28 PAŹDZIERNIKA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

AMERYKA

ANDRZEJ BLAJER

ICH WIZJA ŚWIATA

Rok bieżący jest dla Stanów Zjednoczonych Ameryki rokiem szczególnym. W lipcu społeczeństwo amerykańskie obchodziło dwusetną rocznicę powstania państwa, na początku listopada dokona natomiast wyboru kolejnego, 39 prezydenta kraju. Oba wydarzenia stwarzają więc doskonałą okazję do konkretnych podsumowań, wniosków i porównań odnoszących się do trwałego wkładu, jaki USA wniosły w rozwój świata zarówno pod względem politycznym i gospodarczym, jak też w sferze nauki, kultury i techniki.

Wkład ten, jego rozmiary i charakter, jest niezaprzeczalny, choć często wysoce kontrowersyjny i może być oceniany z różnych pozycji oraz z punktu widzenia różnorodnych kryteriów, jednak dla wszystkich jest już dziś niewątpliwe, iż wiele z jego pozytywnych elementów zostało w ciągu ostatnich 30 lat zdominowanych przez czynniki wysoce negatywne, które wywarły niezatarte piętno w obrazie Ameryki, jaki utrwalał się przez dziesięciolecia w świadomości przeciętnego człowieka. Na ten temat zresztą, napisano już na świecie wiele.

USA są największym mocarstwem Zachodu i najsilniejszą, obok Związku Radzieckiego, potęgą światową. Problemy USA stają się więc, niejako automatycznie, problemami światowymi, a ich rozwiązania w bardziej lub mniej bezpośredniej formie dotyczą niejednokrotnie wszystkich społeczności. Jedną ze sfer działania amerykańskiej polityki, w której widać to szczególnie wyraźnie, jest polityka USA na arenie międzynarodowej.

ZNAKI ZAPYTANIA

Analizując proces ewolucji amerykańskiej polityki zagranicznej na przestrzeni minionych 200 lat, ukazujący kolejne etapy rozwoju polityczno-gospodarczego USA — od wyzwolenia się spod zależności kolonialnej Wielkiej Brytanii do osiągnięcia dominującej pozycji w świecie kapitalistycznym na początku drugiej połowy XX wieku — nie sposób nie postawić kilku znaków zapytania odnoszących się do niektórych istotnych rysów charakteryzujących tę politykę i prawidłowości nią rządzące.

Przede wszystkim na plan pierwszy wysuwa się pytanie **co kształtowało politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych w początkowym okresie ich rozwoju oraz w fazie osiągania „dojrzałości" i czy między innymi globalizm ostatnich trzydziestu lat nie jest przypadkiem logiczną konsekwencją rzekomego „izolacjonizmu" Ameryki XIX-go i początku XX wieku?** Innym,

Dalszy ciąg na str. 8

REPORTAŻ ZAGRANICZNY-IRAN (3)

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CUKROWNIA W NAGHSHE DJAHAN

Naghshe Djahan nie ma na „Iran highway map". Naghshe Djahan jest małą wsią. Dlatego w Teheranie powiedziano nam:

— Jak wyjedziecie z Isfahanu, to jadąc drogą na Sziraz, na 40 kilometrze skręcicie w prawo. Pojedziecie dalej tą drogą aż trafi cie na cukrownię. Tam zapytacie o inżyniera Alfreda Tałałaja.

Na 40 kilometrze za Isfahanem, jadąc drogą na Sziraz nie ma skrętu w prawo. Jest na szczęście jakiś samochód, który stoi na poboczu. Ali zatrzymuje się i pyta o ten nieszczęsny skręt w prawo. Owszem jest taki, ale na 30 kilometrze za Isfahanem. Wracamy.

1.

Odnajdujemy ten tak nam potrzebny skręt w prawo, który teraz — jako że jedziemy z przeciwnego kierunku — jest skrętem w lewo. Jedziemy długi czas asfaltową drogą. Wreszcie przed nami ukazuje się długi rząd topól. Nieomylny znak, że muszą tu być ludzkie siedziby.

Podjeżdżamy wreszcie do cukrowni. W portierni siedzi strażnik. Ali pyta o inżyniera Tałałaja. Chwilę rozmawia ze strażnikiem i mówi:

— Tu nie ma inżyniera.

— A gdzie jest? — pytam.

— W domu.

— To jedźmy do jego domu.

Osiedle fabryczne jest ogrodzone. W portierni siedzi strażnik z sumiastym wąsem. Ali wyjaśnia, że przyjechaliśmy do inżyniera Tałałaja. Strażnik pokazuje alejkę i dom, w którym mieszka polski specjalista.

— Trzeci domek na prawo — mówi Ali. Zatrzymuje samochód przed wskazanym domem. Wysiadamy.

Niewielki ogródek, gęsto zarośnięty drzewami. Teraz obficie skropiony wodą. Przed domem siedzą mężczyzna i kobieta.

— Czy państwo Tałałajowie? — pytam po polsku, co wywołuje zdziwienie i zaskoczenie.

— Nie — mówi mężczyzna. **— Państo Tałałajowie powinni niedługo wrócić. Proszę zaczekać u nas. Nazywam się Dera** — przedstawia się. **— A to moja żona.**

2.

O niektórych ludziach mówi się, że mają złote ręce. Potrafią zrobić wszystko. Wszystko zreperować. Mają nie tylko złote ręce, ale i smykałkę do techniki. Tak to się mówi o takich ludziach. Takim właśnie człowiekiem był Bogusław Dera, kiedy jeszcze pra-

Dalszy ciąg na str. 5

GOSPODARKA

KRZYSZTOF POGORZELEC

KONIEC MITU

„KU ZŁOTU CIĄŻY, DO ZŁOTA — DĄŻY CAŁY ŚWIAT..." KRZYCZY GOETHEOWSKA MAŁGORZATA ZAFASCYNOWANA KLEJNOTAMI, KTÓRYMI PODTATUSIAŁY FAUST USIŁUJE JĄ — UŻYWAJĄC WSPÓŁCZESNEJ TERMINOLOGII — PODERWAĆ. NO CÓŻ — MOŻE NIE CAŁY ŚWIAT, NIE WSZYSCY LUDZIE, ALE PRAWDĄ JEST, ŻE TEN POŁYSKLIWY METAL, W NIE TAK ZNOWU ODLEGŁEJ PRZESZŁOŚCI WYWOŁYWAŁ WOJNY, NISZCZYŁ CAŁE CYWILIZACJE, ROZWARSTWIAŁ LUDZI NA BIEDNYCH I BOGATYCH, BYŁ POWODEM NIEJEDNEJ TRAGEDII, CHOCIAŻ TAKŻE — „POSZERZAŁ" WYMIARY NASZEGO ŚWIATA O NOWE, DOTĄD TYLKO W DOMYSŁACH ISTNIEJĄCE KONTYNENTY. ZŁOTO...

☆ ★ ☆

Za wszelką cenę chciałbym tutaj odjeść od niejako automatycznie narzucającego się sensacyjnego wątku, który tak nierozłącznie wiąże się z tym metalem ukrytym przez chemików pod lakonicznym wzorem Au. Ale jakie to trudne, bo przecież chodzi o **ZŁOTO.** Ileż sprzecznych opinii, ile namiętności! Sofokles w „Antygonie" o tym kruszcu pod postacią pieniądza:

„Zbrodni on wszelkiej ludzkości jest mistrzem i drogowskazem we wszelkiej sromocie".

W swojej „Utopii" Tomasz Moore obalał mit złota pisząc:

„Wszak odgrywa wiele podrzędniejszą rolę niż żelazo, z natury rzeczy nie ma żadnego zastosowania".

I Włodzimierz Lenin, w artykule opublikowanym na łamach „Prawdy" w listopadzie 1921 roku:

„Gdy zwyciężymy w skali światowej, wówczas, jak sądzę, zbudujemy na ulicach kilku największych miast świata ustępy ze szczerego złota do użytku publicznego. Byłoby to uży-

Dalszy ciąg na str. 7

PROBLEMY

OCENA REALIZACJI ZADAŃ W DZIEDZINIE KULTURY

W ubiegłym tygodniu odbyło się posiedzenie **Egzekutywy Komitetu Łódzkiego PZPR** poświęcone sprawom kultury w naszym mieście. W obradach, którym przewodniczył I sekretarz KŁ tow. **Bolesław Koperski** wziął udział tow. **Józef Trzciński,** zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR oraz grono działaczy reprezentujących środowiska twórcze i instytucje kulturalne.

Przedmiotem obrad były zasadniczo dwie sprawy: ocena realizacji zadań wynikających z programu rozwoju kultury, przyjętego na plenum KŁ PZPR w czerwcu 1974 r. oraz ocena pracy i przyjęcie kierunków dalszego rozwoju Wydawnictwa Łódzkiego. Jak widać tematyka obrad była obszerna i nie sposób ją zaprezentować w krótkiej informacji, tym bardziej, że Zespół Kultury Komisji Ideologicznej KŁ PZPR przedstawił uczestnikom posiedzenia bogate materiały dotyczące omawianych zagadnień. Uczynimy to na łamach „Odgłosów" w obszernej publikacji. Na tym miejscu ograniczamy się do podstawowych konkluzji.

Ocena pracy **Wydawnictwa Łódzkiego,** które wkrótce obchodzić będzie swoje dwudziestolecie, wypadła zasadniczo pozytywnie. Nasza oficyna w tym czasie opublikowała prawie **1000** tytułów, w tym ok. **640** łódzkich pisarzy i naukowców. Tutaj debiutowało wielu później uznanych pisarzy, a godnym szczególnego podkreślenia jest wkład wydawnictwa w rozwój współczesnej prozy i poezji. WŁ współpracowało także owocnie z ludźmi nauki, początkowo z historykami i filologami, obecnie także z ekonomistami i socjologami. Efektem tej współpracy jest ponad **160** cennych książek z zakresu literatury społeczno-politycznej. Również wiele książek poświęcono Łodzi i jej tradycjom, chociaż jak wykazała dyskusja, potrzeby i możliwości środowiska naukowego oraz wyjątkowo ważna rola jaką w historii polskiego ruchu robotniczego i rewolucyjnego odegrał proletariat Łodzi, wymaga większego rozmachu i konsekwencji w tworzeniu dokumentacji tego cennego dziedzictwa.

Zwrócono także uwagę na konieczność pełniejszego sprecyzowania **programu działania WŁ** do roku 1980 z ustaleniem wiążących priorytetów i specjalizacji oficyny. Z uznaniem spotkały się nowe inicjatywy wydawnictwa: rozszerzenie zakresu przekładów z literatur radzieckich, seria jugosłowiańska, seria wznowień łódzkich, biblioteka poezji, znaczna poprawa szaty edytorskiej wydawanych książek. Podkreślono także konieczność wzmocnienia funkcji mecenatu nad łódzkim środowiskiem literackim, zwłaszcza młodymi pisarzami.

Od przyjęcia programu działania w środowiskach kultury przez Plenum KŁ PZPR minęło **dwa lata.** W tym czasie możemy odnotować dalszy postęp w tworzeniu nowych faktów kulturalnych, zbiorowe i indywidualne osiągnięcia twórców, wyraźne ożywienie ideowe w środowisku kultury i sztuki. Sprawdziła się w praktyce przyjęta przez łódzką organizację partyjną zasada **ścisłej współpracy i otwartego dialogu** ze środowiskami twórczymi. Coraz szerzej rozwija się współpraca i więź środowisk artystycznych z zakładami pracy i klasą robotniczą w ramach ok. **czterdziestu** podpisanych porozumień pod hasłem **„Sojuszu pracy z kulturą i sztuką".** Doniosłą rolę w dalszym podnoszeniu poziomu pracy ideowo-wychowawczej w środowiskach twórczych i instytucjach kultury spełniły uchwały **III Plenum KC PZPR** Materiały plenum były szeroko dyskutowane na otwartych zebraniach organizacji partyjnych i stały się podstawą do pozytywnych zmian programowych.

Osiągnięcia poszczególnych środowisk twórczych w omawianym okresie są znaczne. Łódzcy **plastycy** zorganizowali szereg udanych imprez o zasięgu ogólnopolskim i międzynarodowym, zdobywając wiele nagród i wyróżnień. Poprawiły się także możliwości pracy twórczej tego środowiska, gdyż dzięki pomocy władz miasta plastycy otrzymali w latach 1974—76 ok. **100** nowych pracowni, co jest osiągnięciem bezprecedensowym w skali kraju.

Środowisko **literackie,** posiadające najwyższy stopień upartyjnienia wśród środowisk twórczych, umocniło swą obecność na mapie literackiej kraju. Łódzcy pisarze w tym okresie zdobyli **siedem** cennych nagród na różnych konkursach, podjęli nowe inicjatywy współpracy ze środowiskiem ludzi pracy i młodzieżą szkolną. Zreorganizowane Koło Młodych przy ZLP liczy obecnie ponad **40** adeptów pióra.

Nie sposób tu odnotować sukcesów łódzkich **teatrów,** Teatru Wielkiego, Filharmonii i Estrady, szeregu nagród na ogólnopolskich festiwalach i przeglądach, pozytywnych recenzji z prasy zagranicznej. Ogólnie można powiedzieć, że zdobyły one tysiące nowych widzów, osiągnęły dobre wyniki ekonomiczne, a co najważniejsze podniosły poziom artystyczny i ideowy swych prezentacji. W omawianym okresie powstał również Zespół Filmowy **„Profil",** w którym wyprodukowano już **pięć** filmów fabularnych i kilka telewizyjnych o tematyce współczesnej, udanych artystycznie i znaczących w sensie ideowo-politycznym.

Dokonania środowisk twórczych w sposób wymierny rzutują na sprawy **upowszechnienia kultury.** Poświęcono im w dyskusji także sporo uwagi, bo tylko pod warunkiem ich masowej „konsumpcji" można mówić o pełnym sukcesie. Dotyczy to zwłaszcza środowiska robotniczego, a także szerokich rzesz mieszkańców z terenu całego województwa miejskiego łódzkiego, których uczestnictwo w kulturze, acz wysokie, ma warunki stania się jeszcze pełniejszym.

(J.W.)

PLASTYKA

Tom H. CABOT — malarz, grafik, rzeźbiarz, scenograf. Urodzony w 1930 roku w Stanach Zjednoczonych. Po studiach malarskich w Nowym Jorku wyjeżdża do Europy, studiuje w kilku uczelniach artystycznych, m. in. w Ecole de Paris. Przenosi się następnie na stałe do Londynu i organizuje tu swoją pracownię. Pobyt w Londynie przerywany jest częstymi podróżami artystycznymi do różnych krajów, najczęściej do Ameryki Łacińskiej. Tom H. Cabot przeszedł skomplikowaną drogę twórczą: od amerykańskiego naturalizmu, poprzez wpływy francuskiej szkoły postimpresjonistycznej, abstrakcję niegeometryczną, widoczne wpływy Hiszpanów — aż do swoiście pojętego figuratywizmu. Pracując w różnym tworzywie i parając się wieloma dyscyplinami, usilnie i konsekwentnie stara się znaleźć swój własny styl, własny język plastyczny. Cabot ma na swoim koncie liczne wystawy, m. in. w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku, w Ameryce Południowej, w Sztokholmie. Przez kilka lat był scenografem Opery w Buenos Aires. Pracował dla teatrów w Stanach, we Francji, w Meksyku.

W listopadzie, w Galerii Domu Środowisk Twórczych w Łodzi, otwarta zostanie wystawa prac Toma H. Cabota.

INFORMACJE

DNI FILMU RADZIECKIEGO

W czasie tegorocznych Dni Filmu Radzieckiego obejrzymy kilka ciekawych filmów. Przede wszystkim usatysfakcjonowane będą dzieci i młodzież. „Baśń o Jasnym Sokole" — przygotowana przez Aleksandra Ptou pełna jest poezji, humoru i ludowej mądrości.

Drugą w programie pozycją dla młodzieży jest film Iriny Tarkowskiej „Pójdę z wami". Materiału do realizacji tym razem dostarczyła historia — burzliwe lata wojny domowej oraz fakty z biografii jej młodziutkiego uczestnika — Kiry Bajewa.

Z przygotowanych filmów dla dorosłych warto wspomnieć o nowej ekranizacji „Anny Kareniny". Tym razem jest to adaptacja baletowa w reżyserii Margarity Pilichiny z Mają Plisiecką w roli głównej.

DRUGIE MIĘDZYNARODOWE BIENNALE

Od 17 bm. trwa w Krakowie II Międzynarodowe Biennale Lalek Regionalnych. W Biennale udział bierze wiele państw ze wszystkich kontynentów.

Przewodniczącym jury jest dyrektor Światowej Rady Rękodzieł, prezes „Cepelii" — Tadeusz Więckowski.

Pierwszą nagrodę Złote Pawie Pióro jury przyznało inicjatorowi Biennale — Spółdzielni Pracy Rękodzieła Ludowego i Artystycznego im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W TARNOWIE

Nowo otwarte Biuro Wystaw Artystycznych w Tarnowie zainaugurowało swą działalność ekspozycja malarstwa i grafiki znanych współczesnych artystów polskich. BWA zamierza zorganizować także wystawy poplenerowe „Ceramika dla architektury" i malarstwa z międzynarodowego pleneru w Ciężkowicach oraz „Salon jesienny" tarnowskich plastyków, będący prezentacją ich tegorocznego dorobku.

TEATR

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

REFLEKSJE

Sztuka organizuje osobowość artysty, harmonizuje ją i ukierunkowuje. Sztuka osobowość tę wyraża, przekazuje przeżycia artysty. Sztuka nigdy nie przemawia wprost, posługuje się metaforą. Osobowość artysty również jest wyrażana poprzez metaforę. Artysta — człowiek spontaniczny, artysta — człowiek uczucia, artysta — bohater, artysta mroczny, chimeryczny, artysta kłamca. Oto metaforyka, która funkcjonowała w dziejach ludzkiej działalności twórczej. Oto mity, które stawiały artystę w innej sytuacji niż jego współczesnych.

Hrabia Henryk doznał klęski nie dlatego, że wiedział za dużo, lecz dlatego, że nie opanował jeszcze wiedzy zrodzonej ze swojej zwiększonej wrażliwości. Ale hrabia Henryk był poetą. Wrażliwość stała się immanentną cechą jego osobowości.

Fabuła „Nie-Boskiej komedii" nie była bezpośrednim tworem Zygmunta Krasińskiego, lecz „tworem stworzonej przezeń jedynej postaci: postaci poety" „(...) poematem wysnutym przez poetę w wyobraźni nasyconej jego własną duchową rozterką i obrachunkiem ze sobą samym". (Patrz PROGRAM Teatru im. S. Jaracza: Stefania Skwarczyńska „W kręgu problematyki NIE-BOSKIEJ KOMEDII").

Taka postawa twórcza cechuje poetę romantycznego, który dostrzegał refleksyjność wyznań św. Augustyna: „Idą ludzie podziwiać wysokie góry, olbrzymie fale morskie, szerokie wodospady rzek, a zaniedbują siebie samych".

Interpretacja wewnętrznych przeżyć poety jego wrażliwości, interpretacja świata poetyckiego, który jest światem i Zygmunta Krasińskiego, i jednocześnie nim nie jest, prowadzi do głębokich przewartościowań „Nie-Boskiej komedii". Przyjmując takie założenia Jan Maciejowski zbudował inscenizację, której wykładnikiem była analiza postawy twórczej, świata poetyckiego i jego kreacji. Świat ten otrzymał postać podwójną, dwupłaszczyznową. Z jednej strony była to płaszczyzna Zygmunta Krasińskiego z jedynym bohaterem, poetą, hrabią Henrykiem, z drugiej zaś strony była to płaszczyzna hrabiego Henryka z powołaną do życia przez niego akcją marzeń sennych i twórczej wyobraźni, która ukazywała mu nie tylko świat tych czy innych przedmiotów, „ale łączyła je w układy, by osiągnąć cel, jaki sobie (artysta — KAL) wyznacza". Konsekwencją tej dwupłaszczyznowości był styl działań aktorskich oraz stylistyka konstrukcji poszczególnych scen. Postać hrabiego Henryka (Marcin A. Idziński) została narysowana w spektaklu również dualistycznie. Był on i poetą, i osobą dramatu przez siebie wysnutego. Marcin A. Idziński jako poeta był stonowany i kameralny, jego reakcje zaledwie przekraczały próg wrażliwości subiektywnej, aby obiektywizować się w realnym świecie. Marcin A. Idziński jako osoba dramatu oraz pozostała obsada postaci stworzonych przez poetę realizowała swoje zadania w ostrej tonacji, zawsze forte zarówno w geście, jak i w słowie współgrając z surową, metaliczną dekoracją, która wzmagała i potęgowała kompozycją muzyczną z atakujących generatorów. Potęgowało to okrucieństwo kreowanego świata, gdzie poezja zabija życie rodzinne, pognębia jednostkę o nieprzeciętnej wrażliwości, gdzie rewolucja jest niedookreślona i skażona wyobraźnią XIX-wiecznego romantyka arystokraty, utopisty politycznego.

Jan Maciejowski swoją inscenizacją „Nie-Boskiej komedii" dał wyraz poglądom na sytuację twórcy wobec stworzonego przezeń świata, na stosunek do motywacji i wartości moralnych jakie w tym świecie rządzą. Czy są one kalką współczesnej twórcy rzeczywistości? Czy też jej odbiciem? Odpowiedź, której udziela Jan Maciejowski im plicite można sformułować następująco: twórca z własnej i nie przymuszonej woli oddaje społeczeństwu najlepszą cząstkę siebie, ucieleśnioną w dziele sztuki. Pracuje dla społeczeństwa z wewnętrznej potrzeby, powodowany swego rodzaju immanentnym przymusem ducha twórczego.

To samo założenie przejrzyście ujawnia się w innej premierze Teatru im. S. Jaracza, w „Nocy trybad" Per Olova Enquista. Jana Maciejowskiego interesuje tym razem artysta i jego funkcja w społeczeństwie.

Po premierze tej sztuki w Malmö ukazała się recenzja bardzo znamienna z punktu widzenia problemów artysta — twórca, artysta — człowiek, autorka owej recencji pisze, że u P. O. Enquista „jest przede wszystkim tendencja pokazania antymonumentalnego Strindberga („Noc trybad" jest sztuką biograficzną — KAL), geniusza o wielkich brakach charakteru, ale zarazem człowieka tak ludzkiego, że każdy z nas może sam siebie rozpoznać. Jest on unikalny w swym twórczym geniuszu, ale wcale nie tak bardzo unikalny jako jednostka ludzka. Przeciwnie, jest on chorym wytworem społeczeństwa kapitalistycznego".

„Noc trybad" dotyka wydarzenia związanego z przygotowaniem premiery jednoaktówki A. Strindberga „Silniejsza" przez teatr. żony pisarza Siri von Essen. Jan Maciejowski tedy poprzedza sztukę P.O. Enquista „Silniejszą". Wprowadza tym samym widownię w temat dogłębnie, każąc jej uczestniczyć, już przygotowaną, w lekcji anatomii wnętrza człowieka artysty i jego podniet. Wynika stąd moralny obraz ludzkiej egzystencji oraz dwoistość postaw artysty, dla którego świat rzeczywisty staje się niewyczerpanym źródłem doświadczeń i tematów. Dochodzi wówczas do pozornego paradoksu: świat rzeczywisty i świat kreowany stosuje się wymiennie. Fikcja ingeruje w życie artysty, sztuka staje się odbiciem schorzeń i niepowodzeń codzienności. Wydawać by się mogło, że to sztuka jest schizoidalna, czy schizotymiczna, ponieważ zamyka się w kręgu własnego artystycznego porządku. Tak jednak nie jest, to wyrażany przez nią świat ma pewne cechy choroby psychicznej. Paradoks ten funkcjonuje w przedstawieniu Jana Maciejowskiego. Zestawienie „Silniejszej" i „Nocy trybad" potęguje jeszcze to wrażenie. Istotnym jego elementem są realizacje aktorskie, a zwłaszcza znakomicie zbudowane postacie kobiece, które w koncepcji Strindberga i Enquista posiadają funkcje wiodące. Tendencje konstrukcyjne znalazły swoje odbicie w spektaklu. Ewa Mirowska i Nina Przybyłowska w obu sztukach (wymiennie) prezentują cechy dwu kobiet kształtujących świat Strindberga. Obie kreacje posiadają olbrzymie bogactwo wewnętrznych przeżyć. Potęgują dwuznaczność sytuacji: gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna gra, gdzie kończy się gra, a zaczyna rzeczywistość. Coś na kształt „Gry snów" i „Tańca śmierci".

Postawienie obok siebie, choćby w tonacji refleksyjnej, dwóch tak różnych przedstawień, można poczytać za niezręczność metodologiczną. Ale kiedy wejrzy się głębiej w problemy, które interesują Jana Maciejowskiego zarówno w „Nie-Boskiej komedii", jak i w „Nocy trybad" dostrzec można przemyślane artystycznie i intelektualnie „grę z widzem", dyskusję o problemach artysty we współczesnym świecie, artysty, który współczesnego człowieka kontaktuje z wiecznością.

Zygmunt Krasiński „NIE-BOSKA KOMEDIA" przedstawienie w trzech aktach, reżyseria: Jan Maciejowski, scenografia: Marian Bogusz, muzyka: Piotr Hertel. Premiera 12 czerwca 1976 roku na scenie Teatru im. S. Jaracza.

August Strindberg „Silniejsza" Per Olov Enquist „Noc trybad", reżyseria: Jan Maciejowski, scenografia: Barbara Krawczyk-Szajdzińska. Prapremiera 25 września 1976 r. na małej scenie Teatru im. S. Jaracza.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC.

KULTURA

KONRAD FREJDLICH

GDZIE SĄ SOJUSZNICY?

„Partia jest żywotnie zainteresowana w tym, aby twórcy kultury trafiali do coraz bogatszej duchowo i coraz bardziej wymagającej rzeszy czytelników, widzów, słuchaczy. Wspólnym obowiązkiem partii i twórców jest troska o socjalistyczną, humanistyczną treść naszej kultury narodowej, o jej kształt ideowy, zgodny z pryncypiami naszego ustroju, z najlepszymi tradycjami polskiej literatury i sztuki.

Zadaniem wszystkich ogniw partii jest inspirowanie i wspieranie rozwoju społecznej aktywności w dziedzinie kultury, tworzenie sprzyjających temu klimatu i warunków" — głosiły Wytyczne Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR.

Nigdy bodaj dotąd nie podkreślano tak dobitnie roli kultury w kształtowaniu nowoczesnego społeczeństwa. Nigdy też chyba dotąd aktywność kulturalna, przez którą rozumieć należy nie tylko twórczość artystyczną, ale także recepcję społeczną wartości humanistycznych, jakie swym działaniem wnoszą do współczesnego życia ludzie sztuki, nie znalazła tak zdecydowanego poparcia, a nawet zachęty. Oto potężny oręż i glejt otwierający drogę do inicjatyw, którym na imię: powszechność kultury. Dla twórców, i dla popularyzatorów, dla instytucji i stowarzyszeń artystycznych, i dla placówek, które statutowo zajmują się upowszechnianiem kultury. Dla każdego, kto sformułowania zawarte w Wytycznych rozumie nie jako jednorazowy ukłon w stronę twórców i działaczy kultury, ale jasno sformułowaną, długofalową politykę naszego państwa o priorytetowym znaczeniu.

Dopiero w takim klimacie mógł się zrodzić, a właściwie okrzepnąć, bo nieśmiałe próby robiono już wcześniej, program znany dziś jako „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką". I chociaż samo hasło nie zostało sformułowane najszczęśliwiej, wyłączając a priorii twórców kultury spośród ludzi pracy, to przecież jego treść w miarę jasno określa cele, którym ma służyć ta gigantyczna akcja Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Wydziału Oświaty, Kultury i Prasy CRZZ przy współpracy z Wydziałem Kultury Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej, Partii Robotniczej. Chodzi przecież o zbudowanie pomostów, które dobra kultury uczynią naprawdę powszechnymi. Chodzi przecież o to, aby jak w epilogu Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza", dobra te trafiały pod strzechy, a także do stanowisk pracy, przyczyniając się do ogólnonarodowego uczestnictwa w kulturze.

Program ten, opracowany na szczeblu centralnym, miał znaleźć swoją konkretyzację w terenie. W Łodzi na pierwszej linii frontu tej sojuszowej ofensywy znalazło się 11 wytypowanych, najbardziej predestynowanych do roli kulturalnego przyczółka, zakładów pracy.

W SZTABIE

Mniejsza o nazewnictwo. W gruncie rzeczy to obojętne, czy placówkę zajmującą się koordynacją wszystkich sojuszowych poczynań nazwiemy sztabem, sekretariatem czy radą. Istotne są jej prerogatywy i rzeczywiste możliwości działania. Sztab, to dzisiaj jeden pokoik biurowy na ostatnim piętrze Łódzkiego Domu Kultury. Z telefonem, do którego przypisano kilku użytkowników. Jeśli dzwoni do sztabu ktoś z miasta, w pokoiku rozlega się walenie w ścianę. To znak dany przez sąsiadów, że należy podnieść słuchawkę. Podnosi ją zawsze ten sam człowiek, Bohdan Jachowicz. Szef tego jednoosobowego sztabu, mózg i wykonawca jego decyzji, łącznik roznoszący dyspozycje i agitator w jednej osobie. Pełnienia takiej funkcji mógł się podjąć tylko zapaleniec, cierpliwie znoszący porażki i triumfujący z każdego sukcesu, wytrwały i pracowity, niełatwo poddający się nastrojom. Takiego pracownika udało się znaleźć w mieście Łodzi i dzięki temu akcja mogła ruszyć z miejsca. Ruszyć, a nawet rozkręcić się na tyle, że dzisiaj nasze województwo stawiane jest za wzór innym ośrodkom, gdzie prawdopodobnie nie znaleziono takich ludzi jak Jachowicz.

Rzecz bowiem w tym, że pełnomocnik „Sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką" nie posiada żadnych, instytucjonalnych uprawnień. Może pośredniczyć i może prosić, ale często jest w sytuacji klienta, który przychodzi do sklepu, żeby odebrać swoją kaucję za butelki, i dowiaduje się, że dzisiaj flaszek nie przyjmują, bo nie wiadomo, gdzie je składować, chociaż odpowiednie zarządzenie resortowego ministra nie przewiduje takiej sytuacji. Pełnomocnik ma za sobą jedynie poparcie oficjalnych czynników i bilety tramwajowe, dzięki którym może dotrzeć do zainteresowanych placówek rozwijając wszystkie kunszty dyplomacji, wykorzystując osobiste znajomości i znajomość psychologii, a przede wszystkim swoje wieloletnie doświadczenie na kulturalnej niwie, gdzie nie takich rzeczy trzeba było dokonywać. A teren jest rozległy. Obejmuje całe województwo miejskie. A spraw jest także wiele, zwłaszcza w tak zwanym głębokim terenie, bo kulturalnym patronatem otoczono wszystkie gminy, które także chcą mieć swój udział w kulturalnym awansie.

E PUR SI MOUVE!

„A jednak się kręci", chciałoby się zakrzyknąć za Galileuszem, kiedy się patrzy na ledwie roczny dorobek akcji „Sojusz świata pracy z kulturą". W ciągu dwunastu miesięcy podpisano blisko czterdzieści porozumień o współpracy, z których większość jest realizowana i to realizowana z rozmachem. Środowisko artystyczne, czy może nawet, ujmując rzecz szerzej, kulturalne — reprezentowane jest w tym sojuszu nie tylko przez wszelkie związki twórcze mające swą siedzibę w Łodzi, ale także przez uczelnie artystyczne i większość profesjonalnych instytucji artystycznych i kulturalnych. Ich kontrahentami są nie tylko zakłady wytypowane do współpracy centralnie, na początku akcji, ale także inne, które aktywne uczestnictwo w kulturze uznały za przedmiot swej własnej ambicji.

Fot: W. Parys

Nie ulega wątpliwości, że na czoło tych integracyjnych poczynań wysunęło się najliczniejsze w Łodzi środowisko twórcze plastyków i współpracujące z nim, bogate i rzutkie, zakłady „Elta". Tutaj korzyści dla obu stron płynące z sojuszu są najbardziej spektakularne. I są tego konkretne przykłady. Fronton zakładów zdobi ceramiczny fryz, widomy ślad zaciągniętej więzi z bracią „malarią". Skorzystali na tych związkach z bogatym zakładem także plastycy, bo porozumienie przewiduje przecież równoważność świadczeń. „Elta" zafundowała dla swych kontrahentów plener kompozycji przestrzennej dając materiały i możliwości technologiczne, które niedostępne są dla rzeźbiarza pracującego metodą chałupniczą w swej pracowni, przypominającej niekiedy wieżę z kości słoniowej. W ten sposób zapoczątkowana została zakładowa galeria rzeźby, rzecz nie pozbawiona znaczenia dla propagandy plastyki. A jednocześnie środowisko robotnicze mogło śledzić męki procesu twórczego, bo rzeźby powstawały na oczach załogi, która miała niemały udział pomocniczy w ich wykonaniu.

Nietrudno o inne, budujące przykłady, Szczęśliwym chyba pomysłem są formy współpracy ustalone przez Teatr Wielki w Łodzi z jednej strony, a Bełchatowskie Zagłębie Węglowe z drugiej. Współpraca wykraczająca zresztą poza granice administracyjnego miejskiego województwa, które ma w ten sposób okazję promieniować na sąsiadujący z nim region piotrkowski.

Oto wysokie, umawiające się strony przyrzekają sobie solennie wspieranie wspólnych inicjatyw. Bełchatów tworzy u siebie „Klub Miłośników Teatru Wielkiego", funduje 10 stypendiów dla artystów-tkaczy zaproszonych do zamkniętego konkursu na gobeliny, które zdobiły wnętrze łódzkiej opery, wreszcie reklamuje i sławi sukcesy zaprzyjaźnionej placówki posuwając się w swej gościnności do tego, że udostępnia artystom własne ośrodki wypoczynkowe. Teatr Wielki zobowiązuje się do systematycznej konsultacji bełchatowskiego kółka dramatycznego zapewniając pomoc wysokiej klasy specjalistów, zaprasza także przedstawicieli górników na swoje zagraniczne występy. Nie jest to zresztą jedyny kontrahent Teatru Wielkiego, które swoje doświadczenie bełchatowskie rozciągnął na współpracę z „Uniontexem" i „Pamotexem".

Do zakładów przodujących w akcji „Sojusz świata pracy z kulturą" należą także niewątpliwie ŁZPB im. Obrońców Pokoju. Mogą zapisać po stronie swych aktywów dokonania w dziedzinie upowszechnienia plastyki, dzięki ambitnym poczynaniom wystawienniczym podejmowanym przez własną galerię „Księży Młyn", sporo zrobiły także w dziedzinie popularyzacji kina w środowisku robotniczym, o czym zaświadcza program działającego w poszajblerowskiej fabryce Dyskusyjnego Klubu Filmowego, który przybliża widzowi poszukiwania współczesnej kinematografii światowej.

Sojuszowe poczynania znalazły dobry klimat także w ZPB im. Juliana Marchlewskiego, które dopracowały się własnych form współpracy ze środowiskami twórczymi. Załoga uczestniczy w koncertach Teatru Muzycznego, który zrewanżował się patronatem nad zakładowym Zespołem Pieśni i Tańca. Umiano także dogadać się z Domem Środowisk Twórczych. Wreszcie ciekawą chyba inicjatywą jest próba zorganizowania studia radiowego „Sojusz", do którego przyciągnięto młodych pisarzy.

Oczywiście to tylko cząstka inicjatyw akcji „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką" na terenie Łodzi. Można by przecież mówić o owocnej współpracy organizacji partyjnych ZPB im. F. Dzierżyńskiego z literatami. „Dywilan" może zapisać na swym koncie współpracę z Teatrem Ziemi Łódzkiej, „Uniontex" podjął współpracę z PWSFTviT i jest penetrowany przez młodych filmowców, którzy szukają tutaj tematów do swych etiud. Łącznie zawarto już blisko czterdzieści porozumień, toteż szczegółowy katalog form współpracy zakładów produkcyjnych i środowisk twórczych przemieniłby się w księgę sporych rozmiarów. Rzecz przecież w tym, że sojusz ma i powinien mieć różne sposoby realizacji, byle tylko nie uległa zwichnięciu idea nadrzędna i byle przyciągał jak najszersze rzesze entuzjastów.

JESZCZE DALEJ

Stara to prawda, że o sferze poczynań kulturalnych decydują przede wszystkim ludzie. Kadra entuzjastów, żeby nie powiedzieć pomyleńców, którzy nad biurokratyczną mitręgą i kult sprawozdawczości przedkładają konkretne działania. Nie pracują anonimowo, toteż bez trudu można podać konkretne nazwiska. Sojuszowe sukcesy „Elty" są w niemałym stopniu osobistą zasługą Teresy Skoczylasowej. W zakładach im. Obrońców Pokoju niewdzięczną funkcję kulturalnego attaché pełni Józef Gałecki. Taka sama rola przypadła Halinie Pabian z ZPB im. Juliana Marchlewskiego i Zygmuntowi Hendzlikowi w pabianickim „Pamotexie". Oczywiście nie jest to lista pełna, jest za to dostatecznie reprezentatywna. Wszyscy ci ludzie kierują zakładowymi domami kultury.

Może to się wydać paradoksalne, ale właśnie dlatego jest to zjawisko niebezpieczne, grozi bowiem spaczeniem słusznej idei. Przecież podejmując szeroko zakrojoną akcję „Sojusz świata pracy z kulturą" organizatorzy mieli nadzieję włączyć do niej agendy, które zagadnienia upowszechniania sztuki w środowisku robotniczym traktowały tylko okazjonalnie. Z okazji akademii, której trzeba zapewnić część artystyczną. Z okazji jubileuszu, rozpoczęcia roku kulturalno-oświatowego, wizyty dziennikarza, przed którym się trzeba pochwalić. Mam tutaj na myśli dyrekcje zakładów pracy, a także zakładowe organizacje partyjne i rady zakładowe, które główny swój wysiłek koncentrują na produkcji, co oczywiście bardzo ważne, ale przecież nie tylko działalność gospodarcza rozstrzyga o sukcesach produkcyjnych, o czym zbyt często się, niestety, zapomina. I trudno jest o przykłady osobistego zaangażowania dyrektorów, takich choćby jak Józef Krzemiński z pabianickiego „Pamotexu", który sojuszowe poczynania traktuje na równi z wynikami ekonomicznymi zakładu.

A przecież tacy właśnie ludzie powinni być naturalnymi sojusznikami akcji kształtowania nowego, wrażliwszego człowieka, uczulonego w tym samym stopniu na ruch taśmy montażowej, co estetykę formy wyrobu, który ją opuszcza, myślącego nie tylko kategoriami zmiany, na której wypadło mu pracować, ale kategoriami państwa jako całości, a nawet wspólnoty socjalistycznej. „Sojusz świata pracy z kulturą" to przecież nic innego jak drugi nurt rewolucji oświatowej w naszym kraju, który zapoczątkuje dziesięcioletnia szkoła powszechna. I tej szansy nie wolno nam zaprzepaścić.

Zrozumiano to dobrze w dzielnicy Łódź-Górna, która jako pierwsza w naszym mieście powierzyła uprawnienia koordynatora akcji „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką" terenowym urzędom administracji państwowej w ścisłym porozumieniu z instancją partyjną.

Jeśli więc akcja ta ogarnie szeroki łańcuch ludzi dobrej woli, jeśli ciężar działań przesunie się z zakładowych domów kultury na wszystkich, którzy powinni mieć tutaj coś do powiedzenia, nie trzeba będzie już stawiać pytania: gdzie są sojusznicy? Będą oni bowiem wszędzie, a każdy, kto czyta te słowa, będzie się czuł równouprawnionym uczestnikiem działań kulturalnych przynoszących mu przeżycia estetyczne i osobistą satysfakcję.

Początek został już zrobiony. Idźmy więc dalej.

NIE TYLKO HISTORIA

ŚWIAT W ROZWOJU

O Jerzego Topolskiego „Swiecie bez historii" pisałem tu natychmiast po ukazaniu się (1972) tej arcyciekawej i ważnej książki. Akcentowałem wówczas znaczenie zaprezentowanej przez autora koncepcji, mianowicie twierdzenia o myśleniu historycznym jako koniecznej przesłance widzenia świata w kategoriach zmiany, a zatem warunku ludzkiego działania mającego na celu tworzenie nowego jutra, kwestionowałem pewne szczegóły z błyskotliwych rozważań wybitnego historyka. Nie było wówczas chyba czasopisma, które nie recenzowałoby książki J. Topolskiego, mało kto z recenzentów odniósł się do niej obojętnie, choć nie wszyscy wyczytali w niej to samo. W nowym, drugim wydaniu książki (Wiedza Powszechna 1976) J. Topolski nie uchyla się od dyskusji z recenzentami, co pozwala mu na bardziej precyzyjne sformułowanie niektórych ustępów pracy; ponadto uzupełnia ją, przede wszystkim dodając nowy istotny rozdział o jednym ze współczesnych kierunków historiograficznych, który pobudza do krytycznej refleksji.

Na wstępie do drugiego wydania J. Topolski raz jeszcze powraca do zagadnienia szczególnej aktualności problematyki historycznego myślenia w naszych czasach. Powiada więc:

„Bardziej niż kiedykolwiek potrzebna nam jest dziś wyobraźnia historyczna i historyczne myślenie. Jest to konieczny wymóg dokonujących się w świecie przemian — szybkiego tempa rozwoju cywilizacji technicznej oraz idących za tym procesów dezintegracji społecznej".

Myślenie historyczne, jak tego dowodzi uczony, „umożliwia odkrywanie i rozumienie humanistycznego wymiaru świata. Historia jako nauka i wiedza o ludzkim działaniu niesie te możliwości już niejako z natury swego przedmiotu, jakkolwiek nie ma tu żadnego związku automatycznego. Myślenia historycznego, rozszerzającego ludzkie horyzonty i kształtującego struktury ludzkiego działania uczyć może tylko historia pojmowana nietradycyjnie, czyli nieopisowo, to znaczy historia odkrywająca „głębsze" warstwy rzeczywistości i jej prawidłowości, a zarazem historia oparta na postępowych normach wartościowania". Historyk nie myśli skrywać, że historia nie zawsze dziś jest taką, jak ją sobie wyobraża, przeciwstawia się jednak przywodzeniu na pamięć faktów wyzyskiwania wiedzy i edukacji historycznej „do celów niezgodnych z tymi normami" jako argumentów, mających przemawiać za programami „ucieczki do historii". Ostatecznie nikt nie pragnie stronić od techniki dlatego, że bywa ona wykorzystywana dla celów zbrodniczych. J. Topolski powiada przy tym:

„Od rzeczywistości uciec nie można, a wszelkie zamykanie na nią oczu oraz budowanie nierzeczywistych obrazów przeszłości musi rodzić nieobliczalne skutki w sferze ludzkiego działania. Przykładów historycznych przed tym przestrzegających można by przytoczyć wiele".

Historia to nie spoglądanie wstecz, to widzenie świata w kategoriach dynamicznych. Myślenie historyczne, dowodzi J. Topolski, nie tylko pomaga nam zrozumieć humanistyczny wymiar świata, ale posiada znaczny „udział we współtworzeniu tego wymiaru. Obserwacja współczesnego świata wystarczy, by zauważyć, jak bardzo ważne dla ludzkiego bytowania są więzi społeczne, jak bardzo ich współczesny człowiek poszukuje. Wśród więzi tych najsilniejsze są, jak wiadomo, więzi wynikające ze wspólnej przeszłości, warunkujące operowanie przez daną społeczność podobną wiedzą, podobnymi symbolami, podobnymi (choć społecznie zróżnicowanymi) ideami". Świadczą one o obecności i aktualności historii w naszym życiu współczesnym.

Książka J. Topolskiego wymierzona jest przeciwko różnym odmianom współczesnego anty i ahistoryzmu, z jakimi nierzadko możemy się spotkać również wokół nas. Stawia sobie na celu wykazanie, że tego rodzaju tendencje nie tylko nie posiadają naukowego uzasadnienia, ale że mogą prowadzić do bardzo niebezpiecznych, i to nie tylko dla nauki, ale przede wszystkim dla społeczeństw, skutków. Ukazując źródła różnych odmian współczesnych dążeń do „ucieczki od historii" w drugim wydaniu swego dziełka uzupełnia swoje dawniejsze rozważania o rozdział, poświęcony bardzo modnej na gruncie anglosaskim tzw. „psychohistorii" w jej zróżnicowanych, współczesnych postaciach. Zatrąca wreszcie o swoiste — jak powiada — „wybuchy ahistorycznego czy antyhistorycznego myślenia, związane ze zmianami zewnętrznych warunków, w jakich człowiek żyje", pisząc o ucieczce w myślenie magiczne, nie będące bynajmniej cechą tylko czasów bardzo od nas oddalonych.

„Świat bez historii" — jak prowokująco nazwał swą książkę J. Topolski — to pasjonujący, napisany z polemicznym ferworem traktacik o roli myślenia historycznego w dziejach ludzkości. Nie jest przypadkiem, że ukazał się u nas w drugim wydaniu: wiadomo mi, że książka ta rozpoczęła już międzynarodową karierę i rychło będzie się pojawiała także w innych niż polski językach. Z pewnością na to zasługuje.

ANDRZEJ F. GRABSKI

JERZY S. FELIKSIAK

SŁOWA NA KRAWĘDZI

Nie zawsze są jak drzewo na ostrej krawędzi.
I nie zawsze jak owoc oddalają głód.
Nieraz kładą się garbem, co obciąża plecy —
przygniatają, aż świat się obsuwa spod nóg.

Nie wszystkie przychylają gałąź życzliwości —
niektóre dźwięczą ostro jak odłamki skał.
Na krawędzi pejzażu z kolan się podnosi
w przyjaźni — wdzięczne słowo, w gniewie — słowo w twarz.

LENNO

Od wieków ogień na witrażach.
Kosa i skarga pod kamieniem.
Obok korony kaptur błazna.
I warta cieni wbita w ziemię.

Chłopski płacz spłynął po zagonach.
Na polach chwały schnie jałowiec.
A w rozwalony, stary browar
wpisane noce narodowe.

Wawrzyn mi wypadł z kart kroniki.
Lecz przy historii trwam jak lennik.
Życie poznaję z ust zabitych.
Wota znajduję wśród kamieni.

RZECZYWISTOŚĆ

Niewiele w życiu miałem godzin na miraże.
Nadzieja wciąż się rwała jak muzyka z płyt.
Tylko to, co zwyczajne zawsze było ważne.
Poezję wyrzucałem jak wróżkę za drzwi.

Może gdybym zobaczył perłę krajobrazów,
to umiałbym wyorać z ziemi trochę gwiazd.
i obłoki kazałbym z gór znosić tragarzom,
żeby mi ich nie ukradł podhalański wiatr.

Może gdybym odnalazł zatokę z bursztynem,
to zaraz upiększyłbym wnętrza ciemnych bram
żywicą pachniałyby ulice i rynek
i pewnie przed poezją upadłbym na twarz.

Lecz przede mną krajobraz pokryty jałowcem.
W kalendarzu zabrakło arkadyjskich dni.
Więc dlatego miraże pozostaną obce,
rozgniewana poezja odchodzi od drzwi.

KRYSTYNA SZYMKOWSKA

NA SKRAJU

Na skraju ciszy
na południe od dzisiaj
noce trwają
przez krótkie chwile
dnie mają więcej
godzin, dużo
ładniejszych chyba.
Kto spotka deszcz
ten otwiera dłonie
nie ucieka
świat jest wyraźniejszy
nie spoza szyb
owoce są żywsze.
Mój skraj ciszy
moje południe
od dzisiaj
zgubiło mi jedno słowo
inne mi znów
odnalazło.

TADEUSZ SŁUPECKI

W CELI

Stan podgorączkowy ustąpił i lekarz orzekł, iż mogę wrócić ze szpitalki do celi. Przyjęto mnie w niej jak biblijnego Adama po wypędzeniu z raju. Sam odczułem mój powrót podobnie, zwłaszcza, że tu również zmieniło się wiele. Porucznik Kurowski szczęśliwie zbiegł, poczciarz Wacławski i radziecki spadochroniarz zostali rozstrzelani, innych wysłano do obozu koncentracyjnego. Z dawnych więźniów pozostał jedynie major Buława, Kirsz, ślązak Ochman i sezonowiec Chrzaniawski. A także zakonny braciszek.

— A braciszkowi w gestapo skóry nie łoją? — pytaliśmy, gdy z przesłuchań powracał do więzienia na Sterlinga.

— Łoją? Oni tam we mnie walą niczym w cyrkowy bęben! — żalił się zakonnik, ostrożnie kładąc się na podłodze.

— Tfu! — mruczał na to gniewnie Kirsz. — Oto macie ich małpi hitleryzm. Nie mieć względów nawet dla zakonnego habitu!

— Skądże znów! Oni owe względy mają i to w nadmiarze! — burczał zgryźliwie braciszek. — Ilekroć chcą mnie sprać pejczem, to wpierw każą mi habit zadrzeć do góry. Bo przez sukno za mało by mnie bolało!

Rejestruję w pamięci ten fakt, jak wszystko, z czym spotykam się w więzieniu. Dlatego wiem, że członków braciszkowego zakonu hitlerowcy rozpędzili na cztery strony świata. Samego braciszka aresztowali, gdyż tylko on i zbiegły Ojciec Gwardian wiedzieli, gdzie ukryli złote, mszalne naczynia i wysadzane brylantami klasztorne monstrancje. Lecz braciszek wszystkiego się zaparł, nawet przed nami.

— Jeśli te dranie — mruczał, mrużąc nabożnie oczy — są aż tak łasi na nasze zakonne złotko, to niech kontentują się moim milczeniem. Milczenie też od wieków bywało złotem.

Za to nie stronił od innych dyskusji. W słownych utarczkach zapalał się jak gorejący na pustyni krzak, naśladował oratorski ton i gesty zakonnych kaznodziei.

— Wyznam wam, panowie, że nie bardzo was nieraz rozumiem — mówił na przykład. — Bo nawet w tej więziennej celi omal za głowy się nie targacie. I to o co? O te błache, ziemskie prawdy? A czy wy wiecie, czym prawda w ogóle jest? To zawsze być z cierpiącymi i płakać z płaczącymi. To przynosić ulgę innym w cierpieniu i nie śmiać się, kiedy tym innym z oczu leją się łzy.

— I co? Więc to już naprawdę wszystko? — pytał go z zawodem w głosie sezonowiec Chrzaniawski.

— A czyż to nie wiele? Ej, wy ludzie małej wiary! — obruszał się braciszek, łowiąc za kołnierzem habitu pchły.

— Zaiste, powiadam wam — kontynuował — iż prawda, to nie wasza choćby na pozór najsłuszniejsza polityka. To nie najpiękniejsza sztuka i oślepiający tłumy grzeszny zbytek. Prawda, to czyjś ból i cierpienie i czyjś, podjęty przez nas choćby na chwilę życiowy krzyż. To czyjaś gorzka łza, otarta naszym rękawem. To dziecko, któremu daliśmy życie i pocieszony w swej samotności starzec.

Zamyślałem się nad pięknie brzmiącymi słowami zakonnika. I odpowiadałem łagodnie, aby go nie urazić:

— Nie powiem, że to, co braciszek mówi, jest niesłuszne lub niepotrzebne. Ale to jedynie część tego ogromu spraw i praw, którymi muszą kierować się ludzie i ich świat. Właśnie dlatego życia świata nie uda się nagiąć do żadnych klasztornych reguł.

Teraz zamyślał się braciszek. Po czym uciekał w mniej dla niego widać kłopotliwe rozważania o miłości bliźniego i niebiańskiej sprawiedliwości, którą po śmierci każdemu wymierza Bóg. Ale kiedy w celi jeden z „nowych" skradł Chrzaniawskiemu tytoń, przemycony do więzienia w paczce z bielizną, to winnego najzajadlej potępiał braciszek. I on pierwszy zażądał wymierzenia tamtemu ziemskiej kary.

— Co się z tym świntuchem ceregielować? Łupnij go pan piąchą w papę! Tak, żeby drań z miejsca nakrył się kopytami! — doradzał zawzięcie.

A gdy Chrzaniawski z tym jednak zwlekał, doskoczył do złodzieja sam i po ojcowsku trzepnął go dłonią w twarz:

— To, abyś, grzeszniku, pamiętał, że tylko ostatnia świnia kradnie swoim! A jeśli masz łapy zbyt lepkie, to je częściej o portki wycieraj!

Nagle zajście przerwał donośny, przeraźliwy wrzask kogoś, bitego na korytarzu. Po czym zgrzytnęły nagle otwarte, żelazne drzwi naszej celi.

— Komm! Chodź no tu do mnie, ty oficerska świnio! — powarkiwał już od progu, szczerząc zęby w stronę Buławy, komendant Śliwka.

Major z wysiłkiem ruszył przed siebie. Znał już dobrze owe powtarzające się wizyty. Kiedy nie było przesłuchań w gestapo, Śliwka wchodził do cel po więźniów, ostatnio najczęściej po Buławę. Nakazywał mu iść przed sobą, do małej pustej celi, tam pakował swoje łapy w bokserskie rękawice i masakrował nimi tamtemu twarz.

— Na, hast genug? Masz, gnojku, już dosyć? — pytał chrapliwym głosem, z rozdętymi od pasji nozdrzami.

To samo miało powtórzyć się i teraz. Gdy staliśmy przed Śliwką na baczność, patrząc jak major pokracznie kuśtyka na korytarz. Do znanej nam z opowiadań pustej celi, skąd tym razem odniesiono go do więziennej szpitalki. O czym powiadomił nas kartką, wrzuconą ukradkiem przez judasza w drzwiach, idący korytarzem więzień.

— Zapalisz?

Spojrzałem w twarz Chrzaniawskiego: jego oczy błyszczały zapraszająco. Sięgnąłem więc po wyciągniętą ku mnie połówkę papierosa. Potem gapiłem się na to, jak tamten otwiera pudełko od lekarstwa, z ukrytym we wnętrzu strzępem przepalonej w ustępie szmatki. Jak kawałkiem szkła krzesze na nią iskry z kamienia od zapalniczki. I jak troskliwie na ów strzęp dmucha, bym mógł przypalić papierosa.

Zaciągnąłem się wonnym dymem. Stojąc pod zamurowaną okienną wnęką wydmuchiwałem go powoli po nagiej, gładkiej ścianie, w stronę stale otwartego lufcika. Gdzie ów dymek, na nasze nieszczęście, dostrzegł z dziedzińca Hauptwachmeister Heller.

— Verfluchter Kerle! Kto tu ćmił papierosa? — krzyknął z furią, wpadając do celi.

— Nikt, Herr Hauptwachmeister! Tytoń u nas? Skąd! — kłamaliśmy jak z nut.

— Nie pieprz! — warknął do mnie, stojącego najbliżej, po niemiecku. — Wy głupie, nędzne łajdaki! Nie dość, że łamiecie więzienne zakazy, to jeszcze chcecie zrobić ze mnie balona?

Zarządził zbiórkę w dwuszeregu. Zrewidował nam dokładnie kieszenie ubrań, potem ruszył do płaszczy pod ścianą, składanych tam po każdej nocy, kiedy to służyły nam tu za zabronione kołdry i koce. W nich też nie odkrył niczego. Obszedł celę czujnie jak tropiący wyżeł, zajrzał pod ławę, znowu rozkraczył się przed nami. W jego dużych, niebieskich oczach nie było już gniewu, raczej błysk zaciekawienia.

— Na, schon gut. Już dobrze! — burknął opryskliwie.

Na chwilę zawiesił głos w powietrzu, po czym złagodził ton:

— Przyrzekam, że tym razem ujdzie to wam na sucho. Tylko nie róbcie ze mnie durnia. Gadajcie zaraz, jakżeście tę sztuczkę zmajstrowali? Bo przeszmuglować tytoń można nawet na dno oceanu. Ale go zapalić?

Patrzyliśmy na Hellera w kamiennym milczeniu, niby gromada kościelnych świątków. A on nalegał, zachęcał, gwarantował bezkarność. Więc w końcu Chrzaniawski wskazał dłonią na papierosy, które krył w pasku od chlebaka, przy swoim pozbawionym dystynkcji żołnierskim mundurze. Później wyjął spod kibla ukryty tam kawałek szkiełka, kamień od zapalniczki i spopielałą szmatkę. Sprawił, iż pod iskrą ponownie się zatliła.

— Grossartig! Niby nic, prosta rzecz, a jaka genialna! Wy, Polacy, też macie niekiedy niezłe pomysły! — cmokał z uznaniem Heller.

Kazał sobie wszystko, jak zachwycone ujrzanym pajacykiem dziecko lub barbarzyńca, powtórzyć jeszcze raz. Później obejrzał się przezornie na otwarte na korytarz drzwi celi, zniżył głos i mruknął pouczająco:

— To wam, chłopcy, może się przydać. W obozie koncentracyjnym, dokąd was w większości stąd wywiozą. Tylko musicie tam oczy i uszy mieć otwarte stale jak zające. Nawet podczas snu. I nigdy się nie lenić, a pracować. Pracować, pracować i jeszcze raz pracować! Bo strażnicy w obozach, to dopiero bandyci! Możecie mi wierzyć na słowo, sam tę funkcje tam pełniłem przez prawie dwa miesiące.

Następnego jednak dnia humor mu nie dopisał i Heller znowu rozkazał nam czołgać się po kamiennych schodach więzienia. Spełzaliśmy po nich na parter niby żałosne, ludzkie gąsienice, obtłukując obolałe kolana i dłonie brzęcząc blaszanymi menażkami, gubiąc cenny, życiodajny, choć niestrawny więzienny chleb. Później chłeptałem gorzką, wystygłą kawę z cykorii, potakując głową Kirszowi. Bo zirytowany oficer, w przerwie po każdym łyku tej letniej lury, gderał gniewnie na zakonnika:

— Ech, ty zakonny habicie! Czego was w tych waszych klasztorach uczyli? Znów musieliśmy czołgać się po schodach, boś nie dość głośno tupał w korytarzu butami!

— Wyście dawniej na swoich defiladach tupali, aż kamienie w bruku chodziły! A wojnę z Hitlerem i tak żeście przegrali! — odciął się niespodzianie braciszek.

Ale widać zaraz przypomniał sobie o duchu zakonnej pokory. Bo opuścił wygoloną przez więziennego fryzjera głowę i zaczął w milczeniu siorbać swoją porcję czarnej lury.

Później spadła na nas, niby głaz, wiadomość o majorze Buławie. Przyniósł ją ze szpitalki monter Drysiak, również uznany przez lekarza za podleczonego. Monter mówił, iż Buławę nawet z owej izby chorych wożono do gestapo. W przeświadczeniu, że o polskim podziemiu wie więcej niż ów drugi, złapany z nim łącznik i chciano z niego to „więcej" wydrzeć. Po przesłuchaniach wrzucano go znów do auta i odwożono do więzienia na Sterlinga, gdzie funkcyjni więźniowie nieśli pobitego niby worek cementu, z powrotem do szpitalki. Tam rany opatrywał mu volksdeutsch-sanitariusz Dering, złorzecząc majorowi od „polskich świń" i „osłów". Bo tylko osioł, prychał ze złością, mógł wykazać tyle uporu. I to gdzie: w niemieckim gestapo!

— Wy głupie matoły! — urągał chorym w szpitalce, a w ich osobach wszystkim zamkniętym w więzieniu Polakom.

— Wy głupie, bezmózgie matoły! — powtarzał z pogardą. — Jeszcze nie wiecie, co to jest gestapo? Tam powinniście tylko stać kopytami na baczność! Wszystkie sekrety ze swych zasranych mózgów wygarniać, za winy żałować i odpowiadać tylko „tak jest"! I w dupę śledczego całować, jeśli wam mniej niż temu sukinsynowi da w kość!

Słuchałem o tym w ponurym milczeniu. Potem wstrząśnięty relacją montera, pytałem:

— I jak major tak długo to wszystko wytrzymał?

— Ba, żebym ja wiedział.

Później więc spadła na nas wiadomość o Buławie. Przyniósł ją, z wypiekami na twarzy, monter Drysiak i mówił półgłosem o tym, jak Buława u c i e k ł hitlerowcom.

— Przylazł na szpitalkę, jak co tydzień, więzienny fryzjerek. Więc major poprosił, by jego ogolił też.

Fryzjer skończył z brodą Drysiaka, potem przysiadł na łóżku Buławy. Skrobiąc zarost majora nie spostrzegł, jak ten świsnął mu z kieszeni fryzjerskiego fartucha jedną z zapasowych brzytew i ukradkiem wsunął pod koc. Nie zauważył tego w szpitalce nikt.

Fryzjerek pochełpił się jeszcze markami, jakie w więzieniu uciułał, na swym fryzjerskim fachu.

— Tak, tak, panie majorze... — ględził do Buławy. — Są tu jeszcze więźniowie nie gołodupcy, którzy potrafili przemycić trochę gotówki. I niektórzy bardziej honorowi strażnicy-Austriacy. Ci za golenie zawsze mi coś niecoś odpalą.

— „No, strażnikom robię na złość i na dziś golenia mam dość!" zanucił na koniec fryzjerek, na nutę dawno przez nas niesłyszanej, popularnej operetki.

A że major był w kolejce golonych ostatni, fryzjer przylgnięte do ostrza brzytwy mydło otarł w papier, zamknął ją starannie i jak zwykle na oślep wpuścił do kieszeni fartucha. Potem, pogwizdując pod nosem refren niemieckiej piosenki o Lili Marlen, co wieczorami wystawała ze swym lubym przed wrotami żołnierskich koszar, poszedł odpoczywać w swej celi.

— A później stało się to.

Monter Drysiak mówił o tym obrazowo, z przejęciem, które udzielało się i nam. W parę godzin po wyjściu fryzjera, późnym wieczorem Buława, kryjąc brzytwę w rękawie szpitalnej koszuli, siadł na łóżku i wciągnął spodnie. Drysiak przelotnie zerknął na niego i jego chwiejny chód. Ale tamten, z początku trzymając się żelaznych łóżek i ścian, a później już bez oparcia, coraz pewniej kroczył ku drzwiom szpitalki. Otwartym nocą i dniem, aby chorzy, kiedy nie było przy nich sanitariusza Deringa, w potrzebie mogli iść do apteczki w więziennej kancelarii. Drysiak sądził, że Buława idzie właśnie tam. A trawiony gorączką major wlókł się już korytarzem, w tej części przez strażników nie strzeżonym. Ze szpitalki wymknął się w skarpetkach na nogach, więc po wiodących na parter schodach zszedł cicho jak kot. Wprost na stojącego przy schodach strażnika. Lecz ten, zamyślony i odwrócony do nich plecami, dostrzegł go zbyt późno, tuż przy sobie. Dostrzegł jego dziwny wzrok, strąki zwichrzonych włosów na głowie i ostrze otwartej brzytwy, połyskującej złowrogo w świetle elektrycznych lamp... Wtedy poczuł paniczny strach. I zamiast więźnia obezwładnić samemu lub zawołać pomocy, strzelił do niego dwukrotnie z wyszarpniętego z kabury pistoletu. A chyba właśnie o to majorowi szło.

— Tak, jemu na pewno o to szło... — mruczałem do Drysiaka, z intuicyjnym przekonaniem.

— Tak — powtarzał za mną z przekonaniem.

A potem, wciąż półszeptem, mówił, że widział Buławę tuż po śmierci. Jego martwe oczy i zęby, wyszczerzone w przedśmiertym skurczu, wreszcie całe jego udręczone ciało zdawały się bezgłośnie śmiać. Z nadbiegających na odgłos strzałów korytarzami więzienia strażników, z purpurowej ze złości, gąbczastej twarzy komendanta Śliwki, z postawnego Obersturmführera z gestapo, wezwanego telefonicznie. Ten klął najgłośniej i chciał strażnika oddać pod sąd. Bo śmierć Buławy zamykała śledztwo przeciw niemu na zawsze. W momencie, absolutnie przez postawnego nie chcianym.

Fragmenty przygotowanej do druku powieści p.t. „W celi i w bitwie".

CUKROWNIA W Naghshe Djahan

Dalszy ciąg ze str. 1

cował w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni.

Był rok 1960, kiedy „Cekop" szukał specjalistów do konserwacji silników diesla, którzy chcieliby zaryzykować pracę daleko od domu, daleko od kraju. „Cekop" szukał ludzi, którzy byliby zdolni dać sobie radę w trudnych warunkach, umieliby niemal robić „techniczne cuda". W Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni wskazano na Bogusława Derę.

Zgodził się, choć nie była to łatwa decyzja. Warunki proponowano dobre. Ale praca w nieznanym kraju. Daleko od domu, rodziny, kraju. Można jednak zaoszczędzić sobie trochę grosza na starość. — Zaryzykuję — powiedział i pojechał do Iranu.

3.

— Wrócili państwo Tałałajowie — informuje Stefania Dera. — **Zaraz tu będą.**

Po chwili wchodzi niewysoki mężczyzna w okularach.

— Przepraszam, że jestm sam — mówi — **ale żona poczuła się trochę źle i przyjdzie później.**

4.

Alfred Tałałaj jest w Iranie znacznie krócej niż Bogusław Dera. Przyjechał tu w 1968 roku. W tym czasie rozpoczynano rozruch cukrowni, wybudowanej przez Polskę koło Teheranu. Inżynier Tałałaj przyjechał do tej cukrowni, aby nadzorować montaż urządzeń elektrycznych, ich uruchomienie i następnie pracę w okresie gwarancyjnym. Pozostał w Iranie przez 4 lata. Później wrócił na półtora roku do kraju i od maja 1975 roku znów jest w Iranie. Tym razem w cukrowni w Naghshe Djahan. Inżynier Alfred Tałałaj jest z zawodu elektrykiem automatykiem.

5.

Iran produkuje rocznie około 600 tys. ton cukru, a potrzebuje 1 200 tys. ton. Połowę potrzebnego cukru trzeba zatem importować. Na dodatek jeszcze, aby już zupełnie było śmiesznie, cukier w Iranie jest nadzwyczaj tani. Kilogram cukru kosztuje 27 rialsów, a koszt produkcji tego kilograma cukru — 30 rialsów. Państwo musi więc dopłacać prywatnym producentom, aby przynajmniej zwracały się im koszty produkcji. Taki układ ceny cukru i kosztów jego produkcji nie sprzyja rozwojowi przemysłu cukrowniczego. Państwo przejmuje więc na siebie już nie tylko koszt wyrównywania strat prywatnym producentom, ale tworząc kompleksy rolniczo-przemysłowe, chce przejąć równie i produkcję cukru.

Iran ma duże możliwości, jeśli chodzi o uprawę buraków cukrowych. Ziemie tu urodzajne, ale suche, brakuje wody. Wiele cukrowni kontraktuje buraki u chłopów. Ale uprawa buraków jest trudna i ryzykowna. Państwo stara się więc popierać inicjatywy tworzenia kompleksów rolniczo-przemysłowych, gdzie sami cukrownicy biorą na siebie również trud uprawy buraków. Dużemu przedsiębiorstwu łatwiej o kosztowne inwestycje, nawadnianie pól jest bowiem bardzo drogie. Państwo pomaga więc w budowie cukrowni i samo je buduje.

Do roku 1968 Polska wybudowała w Iranie sześć cukrowni. W Naghshe Djahan była właśnie ta szósta. Budować ją zaczęto w lutym 1968 roku, a w listopadzie już rozpoczęła się w tej cukrowni kampania cukrownicza. Tempo wspaniałe. W 1969 roku Polska wybudowała w Iranie siódmą cukrownię, a obecnie w Jorein buduje się ósmą. Gotowa będzie ona w 1977 roku.

Do tej pory Polska budowała cukrownie dla prywatnych przedsiębiorców. Następne ma już budować dla państwa — dla przedsiębiorstw państwowych. Ile ich jeszcze wybudujemy? Trudno to przewidzieć. Ale jest faktem, że polskie cukrownie zyskały tu sobie duże uznanie. A wraz z nimi ludzie, którzy je budowali, którzy nadzorowali budowę a później ich pracę. Wielkim uznaniem cieszy się na przykład w Iranie polski cukrownik, inż. Jerzy Sokulski. Jest to najbardziej znany w Iranie polski inżynier.

Uznaniem cieszą się i inni. Z reguły w każdej cukrowni wybudowanej przez Polskę zostaje któryś z polskich specjalistów. A kiedy już jego zdolności, umiejętności i wiedzę poznają w Iranie, to zaraz po wygaśnięciu kontraktu — a zawiera się je z reguły tylko na 4 lata — występują o podpisanie nowego i domagają się, aby pracowali u nich ci, których już poznali i którzy się sprawdzili w irańskich warunkach.

6.

Od chwili, kiedy Bogusław Dera podjął w Gdyni decyzję wyjazdu do Iranu, minęło 16 lat.

— Mamy dwie córki — opowiada Stefania Dera. — **Obie są już studentkami. Jedna studiuje biologię, druga — chemię. Ale bywało i tak, że kiedy mąż przyjeżdżał do Gdyni, do domu, to mówiły do niego „pan". Trzeba było im dopiero tłumaczyć, że to tatuś, który pracuje daleko i zarabia na ich utrzymanie.**

— Dziś już nie ma takich problemów — wtrąca pan Bogusław.

— Córki są już dorosłe — mówi dalej Stefania Dera — **mogę teraz latem na kilka miesięcy przyjechać do męża i poprowadzić mu gospodarstwo. Podróż do Iranu jest bardzo droga, ale mąż ma w kontrakcie zastrzeżone, że właściciel cukrowni zobowiązany jest pokrywać ją w obie strony. Zimować musi tu sam.**

— Ale mu się tu nie nudzi — wtrąca Maria Tałałaj — **my tu przecież jesteśmy.**

— Zimą, kiedy ruszy kampania — dodaje Bogusław Dera — **roboty jest tyle, że i na nudy nie ma czasu. Zresztą roboty tu nigdy nie brakuje. A poza tym zawsze można wyskoczyć do Isfahanu, a to duże i ciekawe miasto.**

7.

Alfred i Maria Tałałajowie poznali się w Polsce podczas jego ostatniego tam pobytu. A więc przed majem 1975 roku. Potem przyszedł nagle jego wyjazd. Wówczas Maria nie nosiła jeszcze nazwiska Tałałaj. Kiedy inżynier Tałałaj urządził się w Naghshe Djahan, zaprosił ją do siebie. Ślub wzięli w ambasadzie polskiej w Teheranie. Potrzeba było na to specjalnego zezwolenia. Uzyskali je. Na honorowym miejscu w ich mieszkaniu stoi ślubny prezent od ambasady PRL w Iranie.

— Perskiego nauczyłam się bardzo szybko — mówi Maria Tałałaj. — **Już teraz swobodnie mogę plotkować. A jest tu o czym. Wszystko jest tu dla nas dziwne i egzotyczne. Nieznane, a warte przy tym poznania. Trzeba poznać ten kraj, tych ludzi, aby ich zrozumieć.**

I opowiedziała mi historię nie tyle romantyczną, co tragiczną. O miłości, zawiedzionej ambicji i śmierci.

Była w Naghshe Djahan piękna dziewczyna. Najpiękniejsza w całej wsi. Miała wielu zalotników. Ale rodzice wydali ją za najbogatszego. Odbył się ślub z wszelkimi szykanami, z nocą poślubną, po której pokazuje się biesiadnikom prześcieradło splamione krwią dziewicy. Wszystko wydawało się toczyć normalnym, utartym torem. Ale odtrąceni zalotnicy szykowali zemstę.

Napadli młodą oblubienicę pod nieobecność małżonka, porwali i zgwałcili. Dowiedziała się o tym cała wieś. Małżonek przepędził zhańbioną a niewierną żonę. Do tego wystarczy, aby przy świadkach powiedział trzykrotnie: wypędzam cię. Ale wieść o gwałcie doszła do policji. Nim policja przystąpiła do interwencji poszkodowany małżonek ugodził się z gwałcicielami, pobrał od nich odszkodowanie i sprawa między nimi została załatwiona. Powód do interwencji policji przestał istnieć.

Wypędzona żona wróciła do rodziny. Ale rodzina jej nie chciała. Na wydaniu były jeszcze dwie córki, a który mężczyzna będzie ubiegał się o względy panien z tak pohańbionej rodziny. Trzeba więc było usunąć powód hańby. Ogłuszono więc biedaczkę i spalono w piecu do pieczenia chleba. Teraz już policja miała powód do interwencji. Ale opinia publiczna Naghshe Djahan stoi po stronie rodziny, gdyż trzeba było usunąć powód hańby. Nawet w taki sposób.

Ludzkie tragedie zdarzają się pod każdą szerokością geograficzną i w każdych warunkach. Motywy bywają różne. I tym bardziej wstrząsają, wywierają wrażenie, jeśli stoją w sprzeczności z tym, co w życiu danego kraju jest nowe, pozytywne, sprzyjające jego rozwojowi.

8.

Proces modernizacji Iranu — wówczas jeszcze Persji — rozpoczął Reza Chan, zwany też Rezą Wielkim, ojciec obecnego Cesarza Iranu — Mohammada Rezy Pahlavi. Reza Chan nazwisko Pahlavi przybrał po koronacji, w grudniu 1925 roku.

W 1919 roku był on pułkownikiem. Było to za panowania szacha Ahmada ostatniego z dynastii Kadżarów. Został najpierw dowódcą oddziałów perskich kozaków, a następnie perskich sił zbrojnych. W 1921 roku ruszył z wojskiem na Teheran, obalił rząd i ustanowił nowy. Podporządkował sobie północne i południowe rejony Persji, gdzie dały o sobie znać siły separatystyczne. W 1925 roku wypędził szacha z Persji i chciał ogłosić republikę, ale sprzeciwił się temu parlament, ofiarowując koronę Rezie Wielkiemu. Kiedy Reza Pahlavi koronował się Mohammad Reza — syn miał siedem lat. Już wtedy został następcą tronu. Reza Pahlavi — ojciec abdykował na rzecz syna we wrześniu 1941 roku. Jednakże Mohammad Reza Pahlavi koronował się wraz ze swoją małżonką dopiero w październiku 1967 roku.

Reza Pahlavi wezwał lud Persji do modernizacji życia, do zmiany obyczajów. Ale trudno jest wiekowe przyzwyczajenia, usankcjonowane tradycją i religią, odrzucić tylko po jednym wezwaniu. Jeździł więc Reza Wielki po Teheranie i wymierzał karę tym, którzy go nie słuchali. Zdzierał kobietom czarczafy z głów. A najsrożej karał kolejarzy jedynej wówczas w Persji linii kolejowej, liczącej zaledwie kilkanaście kilometrów, kiedy tylko prowadzone przez nich pociągi spóźniały się. I nauczył ich punktualności.

To był bardzo trudny początek modernizacji życia w Iranie, który był jeszcze wówczas Persją. Mohammad Reza Pahlavi podjął trud ojca. Ale już w innych warunkach, stawiając sobie znacznie śmielsze cele. Cele te zostały sprecyzowane jako „biała rewolucja", która została proklamowana 9 stycznia 1963 roku. Program tej „rewolucji" był kilkakrotnie już rozszerzany i uzupełniany, jako że i przez te kilkanaście lat zmieniła się sytuacja gospodarcza Iranu. Ale to stanowi zupełnie odrębny temat.

9.

Alfred Tałałaj i Bogusław Dera pokazali mi cukrownię. Cukrownia przed kampanią wygląda jak martwa fabryka. Ale dla cukrowni jest to niezwykle ważny okres, wtedy bowiem przygotowuje się wszystkie maszyny do nieprzerwanej pracy w okresie kampanii. Pokazywali mi tę fabrykę z dumą, jak dzieło swoich rąk, bo też i wiele ich pracy i myśli zawiera się w tej fabryce cukru.

— Ja właściwie jestem elektrykiem automatykiem — opowiadał mi inżynier Alfred Tałałaj — **ale tu muszę opiekować się wszytkim co wiąże się z elektrycznością. Nawet centralką telefoniczną.**

W cukrowni jest wiele polskich maszyn. Właściciel cukrowni ciągle ją modernizuje, wyposaża w coraz to nowsze maszyny. Są tu więc obok polskich maszyny francuskie, zachodnioniemieckie, angielskie. Wiele z tych maszyn stanowi ostatni krzyk technicznej mody.

Chodziliśmy tak po fabryce, zaglądając w każdy jej niemal kąt, aż zaszliśmy do magazynu, na ścianach którego paliły się kolorowe świetlówki.

— A to co? — spytałem.

— Mamy tu dziś po południu — wyjaśnił mi inżynier Alfred Tałałaj — **zebranie. Taki wiec z okazji święta państwowego Iranu.**

— Wiec?

— Tak. Właściciel zaprasza również i pana.

— Przykro mi, ale musimy jechać. Do Teheranu mamy daleko, a chcielibyśmy dotrzeć tam wczesnym wieczorem. Czy można jednak zobaczyć salę?

— Proszę bardzo.

Weszliśmy życzliwie witani przez porządkujących salę robotników. Ogromny magazyn, w którym w czasie kampanii składa się worki z cukrem, teraz był dokładnie wymieciony. Na estradzie ustawiono rząd miękkich foteli, a obok nich mównicę. Podłogę magazynu zasłano dywanami. Ustawiono aparaty chłodzące powietrze, stoliki i krzesła. Na stolikach leżały białe obrusy i stały kwiatki. Sztuczne zresztą, jako że tu żywe kwiaty są i dość drogie i trudne do uprawy.

— Tu będzie ta uroczystość?

— Tu.

— A jaki jest jej program?

— Przyjadą przedstawiciele władz. Będą przemówienia, a później występy artystów. Robotnicy przyjdą z rodzinami. Na każdym stoliku będą ciastka, herbata i napoje chłodzące. A na zakończenie tańce.

10.

Pobyt w Naghshe Djahan pozwolił mi zobaczyć Iran nieco inny. Tu nie było ogromu Teheranu, cudownych zabytków Isfahanu. Zetknąłem się z irańskimi kontrastami. Z problemami, które zrodziły wiele pytań. Aby znaleźć na nie odpowiedzi trzeba było odbyć jeszcze wiele rozmów, zapoznać się z różnymi materiałami. Trzeba było ruszać w dalszą drogę po irańskich sprawach.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zdjęcia Autora

LITERATURA

TADEUSZ GICGIER

W LEŚNICZÓWCE

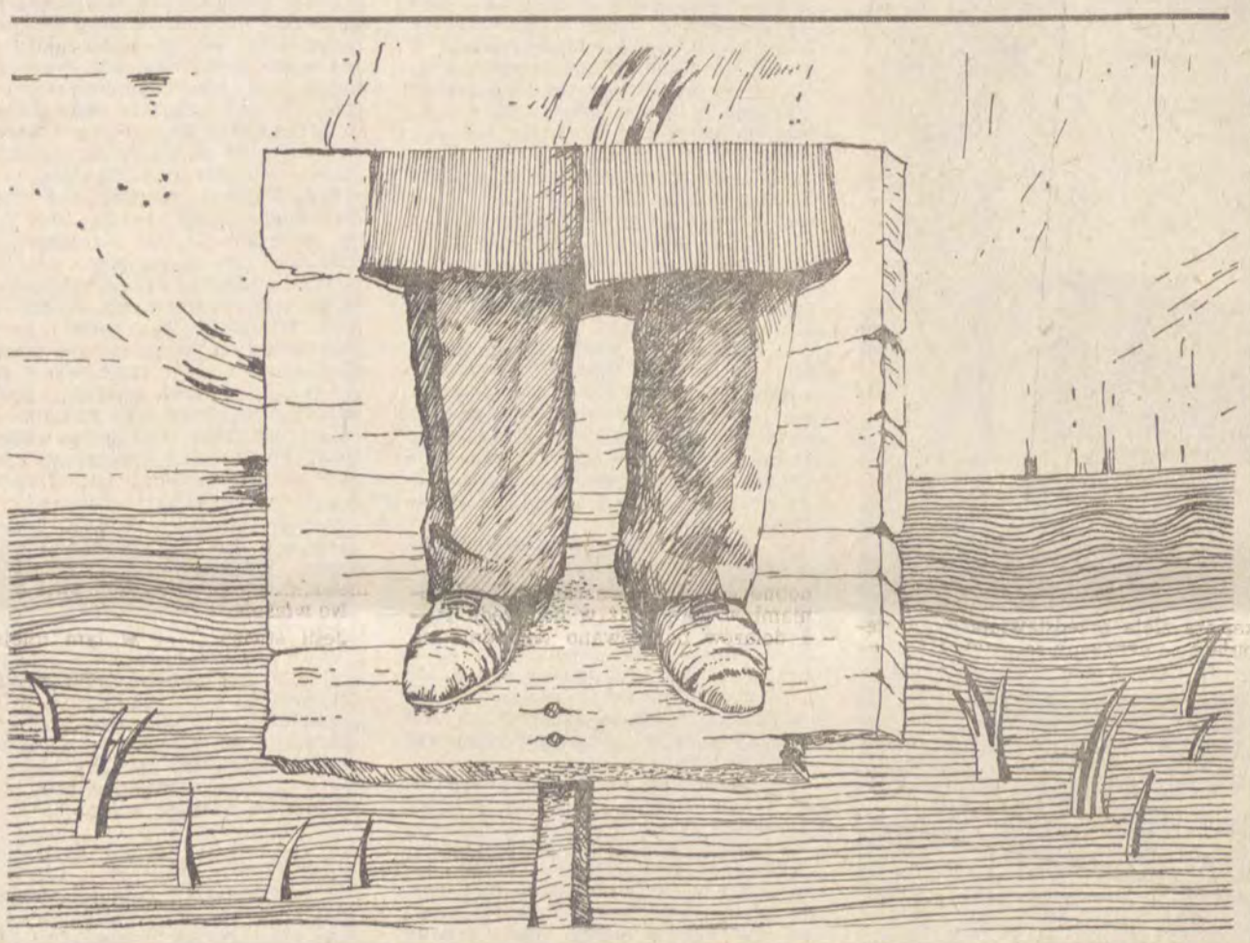

Rys. J. Szymański — Glanc

Przyjechali rano samochodem, on, ona i dwunastoletnia latorośl. Przedstawili się: Beata, Marek, Agnieszka (Stefan drgnął — tak ma na imię jego córka). Marek wziął Beatę na ręce i wniósł jak oblubienicę do wynajętego pokoju. Śmiała się, wymachiwała nogami, ale nie protestowała.

Zaraz pierwszego dnia Beata dokonała na podwórzu botanicznego odkrycia.

— Widzicie tę roślinę o nerkowatych liściach? To kopytnik, zawiera alkaloidy. Spożycie kilku takich liści wywołuje halucynacje.

Nazajutrz zaproponowali Lorce i Stefanowi wyprawę na suchary — tak nazywa się tutaj śródleśne jeziorka, nie połączone między sobą i pozbawione wodnych dopływów.

Trochę się chmurzyło, Stefan wziął ze sobą parasol. Szli w piątkę piaszczystym leśnym gościńcem, oni z Agnieszką na przodzie, Marek z Beatą o parę kroków za nimi. Stefan obejrzał się w pewnej chwili za siebie i zobaczył, że tamci przystanęli na drodze i całują się jak narzeczeni. Przyśpieszył kroku, Lorka była zapatrzona w Agnieszkę, gładziła jej krucze warkocze. Patrzył na to z rezerwą, maszerował wytrwale gościńcem.

Podbiega do nich Beata.

— Patrzcie, to lilia-złotogłów. Bardzo rzadki okaz, chroniony. Ale nie mogłam odmówić sobie przyjemności i zerwać jednego egzemplarza.

Gościniec przeszedł w leśną drogę, porośniętą mchem i trawami. W jednym miejscu droga jest odkryta aż do czarnych wnętrzności. To buchtowisko, zryte szablami dzików. Trochę niżej mokradła — ślisko wygniecione sierścią dzicze babrzyska, z granatowym na dnie okiem wody.

— Taplary — powiada Stefan przekronie.

— Mogą być taplary — godzi się Marek. — Jestem w dobrym nastroju, akceptuję ten neologizm. Ale będę obstawał przy lasankach.

I daje nura w młody świerkowy lasek.

— Chodźcie za mną, tu pełno maślaków — nawołuje.

Panie odstręcza gęstwina i konieczność poruszania się na czworakach, ale Stefan daje się skusić. Zatyka w mchu parasol, wydobywa z iglastej podściółki maślaki. W sąsiedztwie widzi już następne grzyby. Kiedy wychodzi na drogę, spostrzega, że jest bez parasola. Cała piątka zaczyna poszukiwania w młodniku. Daremnie.

— Szkoda czasu, parasol był już sfatygowany, niewielka strata — orzeka Stefan. — Ruszajmy na te suchary.

Drzewa rzednieją nagle, w głębokiej dolinie odsłania się jeziorko o ciemnej, przezroczystej wodzie. Jeszcze jedna odmiana barwy wody, ta chyba najciekawsza. Jezioro przy leśniczówce ma wodę zielonkawą jak brzozowe liście, a drugie, połączone z nim leśną strugą, wodę czarną jak smoła. Sucho szeleszczą trzciny, gdy przedzierają się przez nie do sucharu. Stają nad nim we trójkę. Beata z Markiem znowu pozostali w tyle.

Jest noc, oto widzimy ich znowu w pokoju na górce. Lorka śpi znużona daleką wyprawą. Stefan przewraca się z boku na bok na twardym, drewnianym łóżku.

Najadł się kopytnika i ma teraz halucynacje. Przedziera się przez świerkowy młodnik, zbiera grzyby. Nagle dostrzega swój zatknięty w mchu parasol, a wokół niego całą kolonię małych parasoli. Wieczorem padał deszcz, widocznie zdążyły już wyrosnąć. Przez gałęzie świerków przeziera postać dziewczyny. Przykląka, wyjmuje z mchu borowika. Klęczy tak, jakby modliła się do niego. To Lorka, ona zawsze modli się do grzybów. Podczołguje się do niej i teraz spostrzega, że to Agnieszka Beaty. Chce ją pogładzić po włosach, wtedy dziewczyna odwraca twarz i Stefan widzi przed sobą swoją córkę. Zasłania ręką oczy.

Życie w leśniczówce latem — podobne kotu, przeciągające się leniwie, ciepłe jak kot, pachnące mlekiem. Zielony, odżywający młodnik dzieciństwa, bór lat dojrzałych. Zwalone drzewa u brzegów jeziora, szkielety drzew obdarte z liści i kory, białe, sękate drzewne kości. Tutaj w słońcu, nad wodą, śmierć jawi się jako powrót do natury, do jej soków krążących w drzewach, między ziemią a niebem, powrót do życia najprostszego, które jest życiem najtrwalszym. To już nie ta chwila porażającej niemocy, straszliwego obezwładnienia ciała — to zgoda ciała na jej przyjście. Stefan leży wyciągnięty na kładce nad wodą, oczy ma zamknięte, ale pod powiekami widzi, jak obcięte z obu stron paliki, jednym końcem zanurzone w wodzie, przy wszystkich sękach puszczają młode, zielone pędy.

Odkrywa w sobie coś, co go zadziwia i zdumiewa: pierwszy raz nie ssie go nic w sercu, pierwszy raz lato, które dotąd przechodziło obok, opływa go jak jeziorna woda, wstępuje w niego, mówi do niego po prostu: oto jestem.

Jednostajny plusk wody, uderzającej o pomost, płaszcz słońca leżący płasko na wodzie. W tym słońcu usypiają leniwie myśli-żmije, które przez cały rok wisiały mu u wątroby i serca, nieruchomieją, przestają kąsać i bez znaczenia jest to, że przestają tylko na tę krótką chwilę. Nigdy nie zaznał tyle spokoju, co w samotnym obcowaniu z przyrodą. Ale teraz jest to obcowanie pozornie samotne: chociaż Lorki w tej chwili nie ma, czuje jej obecność, świadomość tej obecności przy nim.

Opadł już w nim dawno zamęt miejskiego życia, w pierwszych dniach Stefan czuł niemal fizycznie, jak ten zamęt opada. Ułożył się na jego dnie jak wygładzona wodą warstwa mułu. Myśli nabrały klarowności, stały się przezroczyste jak woda w jeziorze. Nozdrza i płuca, skurczone od wielkomiejskich czadów, otworzyły się szeroko, swobodnie.

Na młodym przysęcznym pędzie usiadł motyl-żałobnik. Kunsztownie wykrojony kawałek czarnego aksamitu, obramowanego żółtą obwódką. Więc jest to chyba pęd leszczyny — żałobniki siadają najchętniej na leszczynie. Przyfrunął tu do niego z głębin czasu, to pewnie ten motyl, który kołysał się któregoś szkolnego lata na wysokiej leszczynowej gałęzi — okrutnie nieosiągalny. Teraz wystarczyłoby sięgnąć od niechcenia ręką, aby go złowić. Ale nie sięga, i tak nic nie wyrówna tamtego okrucieństwa motyla.

Na dnie wody leży pordzewiała puszka po konserwie, rozwiera paszczę jak szczupak. Ale małe okonki drwią sobie z tego, trącają skośnie o blachę brzuchami, ich skrzele krzeszą z niej czerwone iskry.

Wczoraj wędkował w sąsiedniej zatoce. Zapadał zmierzch, do zatoki wpływała wydra na nocne łowy, ciągnąc za wąsatym pyszczkiem trójkąt pomarszczonej wody. Nagle spławik drgnął, a potem poszedł pionowo na dno. Stefan podciął wędkę, na końcu żyłki zatrzepotała pokaźna ryba i upadła płasko do łodzi. Dopiero w leśniczówce zobaczył, że to wzdręga, zwana też krasnopiórką. Duży okaz, już nie srebrna, a złota, z czerwonymi piórami skrzeli. „Ale pan inżynier złowił dużą i piękną rybę!" — rozgłaszała jego sukces leśniczyna.

Przy kolacji przepili z leśniczym, rozgadali się o pielęgnacji lasu, chemicznych środkach zwalczania chwastów.

— Bo z pana nie myśliwy, żaden nemrod, pomówmy więc o herbicydach.

— A co, stosujecie je także w leśnictwie?

— Robimy pierwsze próby. Herbicydy bardzo nam pomagają przy zakładaniu szkółek.

Pierwszy raz od dwóch tygodni Stefan pomyślał o instytucie. Niedługo trzeba wracać do pracy, planować, jak zawsze po wakacjach, tematy prac badawczych, poszukiwać zleceniodawców. Zdumiał się, że myśli o tym wszystkim bez oporów, ba, nawet z pewnym oczekiwaniem powrotu, spotkań z ludźmi, nowych spraw, przewidywań, nadziei. Nie może przecież wiedzieć, co go tam wkrótce spotka.

Leży na kładce w słońcu z zamkniętymi oczyma. „Z pana nie myśliwy, żaden nemord". To prawda. Bo jak przyznać się leśniczemu, że owszem, namiętnie poluje, tropi zwierzynę, wysłuchuje, lecz ta zwierzyna to obrazy, dźwięki, zapachy.

— Dobrze, że pan już ściągnął do domu, jak nad wieczorem chodzą dziady po niebie, to na pewno będzie deszcz — mówiła leśniczyna. I dziady — postrzępione chmury siąpnęły deszczem, przez całą noc padało. Rano z lasu przy jeziorze szedł biały dym, jakby ktoś palił tam ognisko. Gęsty opar wisiał nad łąką wiodącą do kładki, ale tam, gdzie sięgnęło słońce, opar urywał się jak odrąbany siekierą. Pustą przestrzeń po nim wypełniły gęste zapachy lata, aż tu, na kładkę, sięgała miodna woń tytoniowych plantacji, uprawianych na okolicznych polach. Cykanie świerszczy odmierza wolno czas, który upływa, lecz pierwszy raz ten upływ czasu nie boli.

„Moim dramatem jest to, że się nie starzeję" — rozmyśla Stefan. — „Tak jest przynajmniej dotychczas. Zresztą podobnie było z ojcem, do pewnego czasu. Teraz też postarzał się tylko pozornie. Dowodzi tego list, przysłany tu przez ojca przed paru dniami: ten sam energiczny charakter pisma, przywodzący na myśl jego chód, jego postawę, która kiedyś drażniła sąsiadów, bo odczytywali w niej — niesłusznie — wyniosłość i zarozumiałość".

Stefan siada na kładce i widzi znów na wzgórzu schodzącym łagodnie do jeziora — mały, biały domek. „O, domku biały!" — mawiał żartem siedząc przy wiosłach, a Lorka śmiała się tak, jakby ktoś sypał grochem po wodzie. Kiedyś przybili do tamtego brzegu, on wspiął się na wzgórze i stwierdził, że to po prostu ustronny przybytek. Nie wypadało już się cofnąć — wszedł do przybytku i zamknął haczyk. Był upał, brzęczały natrętnie muchy, a jemu znowu wydało się, że to brzęczą struny słońca wpadającego przez szpary. Tak było zawsze latem na jego przedmieściu, w drewnianej, pobielonej wapnem ubikacji. Kiedyś zajrzał do owalnego otworu i zobaczył spacerującego po poziomej belce ogromnego szczura. Przeszył go dreszcz (a ja tu zawsze siadam), przerażający lęk o akcesoria swej dziesięcioletniej męskości. Teraz też odemknął szybko haczyk i wrócił do łodzi.

Lorka śpi po nocy, która była wczoraj nocą miłości. W okna tłukł deszcz, a oni jakby się zapamiętali, była w nich zawziętość i upór, bezwzględny imperatyw sięgnięcia do dna swego jestestwa, a może jeszcze głębiej, aż oboje poczuli na stężałych językach słony smak — smak potu zmieszanego z krwią. Ale jej skóra była ciągle gładka, w jego twarz wpiły się jej szczupłe palce, zwężające się między wiązaniami kości. W tę noc zbiegło się to wszystko, co doświadczyli tego i nie tylko tego lata, w podmiejskich zagajnikach, w otwartym polu, po przedarciu się — męska czynność — przez plątaninę krzewów, wiklin i paproci, miłość w świetle dnia, przełamywanie jej — i swojej — nieśmiałości, swojej nieufności, niewydarzoności, odwet brany za lata miłosnych zawodów, niepowodzeń, niezręczności, kiedy się błaźnił, kiedy wychodził na żałosnego, durnia i później, gdy kluczył, stronił, uciekał w obawie przed życiowymi powikłaniami, wyzbycie się tej obawy, potrzeba sprawdzenia się, przekonania, zawładnięcia drugą osobą, radość i duma, że właśnie się włada, przy pełnej świadomości, jakie to władanie zwodnicze, nietrwałe, kruche, potrzeba dźwignięcia się nad wszystkie sprawy między nim a ludźmi, nad dręczące, osaczające układy, przezwyciężenie tych układów, odstąpienie ich, pokonanie — największy triumf miłości, i to, że słońce wstaje i zachodzi, że nocą liście prowadzą ze sobą rozmowy, woła ptak z lasu, niebo patrzy spokojnie gwiazdami, że słychać dalekie psie głosy zza horyzontu, zza kręgu ziemi, pachnie mocno zżęte zboże w stodole, a ona śpi obok niego, rzadkie chwile szczęścia, chwile dobroci — to teraz rzeczy zwyczajne, a nie objawione, rzeczy dostępne, a nie znamiona łaski.

Szedł trochę w tyle, myśląc o tym, któż to mógł dzwonić do leśniczówki ostatniej nocy. Telefon dzwonił długo, nim go wreszcie obudził. Ale kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał sygnał wyłączenia. Może to dzwoniła żona, może córka? Czy nie przytrafiło jej się czasem coś złego?

I nagle stanął oko w oko z bobrem. Nie spodziewał się, że zobaczy go tutaj, byli jeszcze ładny kawałek drogi do Czarnej Hańczy. Tuż przy dukcie leśnym sadzawka, czarny prostokąt mulistej wody. Bóbr siedział wśród gałęzi na brzegu, był tak jak on zaskoczony. Mała, kształtna główka i potężne cielsko, powleczone brunatnozłotą sierścią. Patrzyli na siebie i nie ruszali się z miejsca. Potem Stefan postąpił krok naprzód, a wtedy bóbr czołgając się niezdarnie podpełzł do sadzawki i stoczył się w nią z chlupotem. Przez chwilę powierzchnię wody fastrygowały bańki powietrza, które się nagle urwały. Stefan stał jeszcze czas jakiś nad sadzawką, ale bóbr nie pojawił się więcej.

Lorka już go nawoływała, bo małżeństwo z Agnieszką wysforowało się solidnie do przodu. Była bardzo zawiedziona, że nie zobaczyła bobra. Stefan pocieszał ją: będą tędy wracać i wtedy powetuje sobie na pewno szkodę.

— Co wiecie o życiu miłosnym kwiatów? — pyta Beata, gdy doszlusowali do ich trójki.

— Nic albo prawie nic — odpowiada Stefan.

Beata trzyma w dłoni przedziwny kwiat, właściwie gałązkę o charakterystycznym wykroju ni to kwiatów, ni nakrapianych liści.

— To storczyk z rodzaju ophrys. Występuje w kilku odmianach: ophrys-komar, ophrys-szerszeń, ophrys-pająk, ophrys-pszczoła. Bardzo pomysłowa roślina. Potrafi ucharakteryzować się tak, że odwiedzający ją owad wierzy święcie, że ma przed sobą przedstawiciela swego gatunku, tylko odmiennej płci. Domyślacie się, co się wtedy dzieje. Tym bardziej, że niektóre storczyki wydzielają zapach owadzich samic, które naśladują.

Na dukcie zadudniło. Nadjechał chłopski wóz z ogorzałym woźnicą.

— Siada pani — mówi woźnica do Lorki, zatrzymując wóz, jego oczy śmieją się przyjaźnie.

Lorka wskakuje na koło, sadowi się obok mężczyzny. A ten już gotów do rozmowy.

— Jadę do siostry, pomagam dla niej przy gospodarce. A panowie dokąd?

— My nad Czarną Hańczę.

— O, to trzeba będzie skręcić zaraz w lewo, na drogę do Sobolewa.

Przy drodze stoi monstrualny zwierz, wielkie kudłate niedźwiedzisko. Agnieszka chwyta ojca za rękę. Podchodzą bliżej i widzą, że to korzenie powalonego dębu sterczą pod niebo. Dąb jest wypróchniały do rdzenia, odsłania złoża lat jak złoża rudy. Wrasta teraz całą długością w ziemię, u stóp tego młodego dębczaka, który wybujał tu przed wiekami. Obok inne drzewa, powalone przez wichurę, polegli i ranni, wsparci o stojących pobratymców. Mają na sobie okłady z mchu koloru zgniłej zieleni, ich rany obmywa głos leśnego ptaka jak strumień źródlanej wody. Dalej drzewa wczepione w siebie gałęziami, tu toczy się walka na śmierć i życie, na śmierć dla jednych, na życie dla drugich, zawzięte mocowanie się, szamotanie w milczeniu, kto zwycięży i pójdzie w górę ku słońcu, a kto upadnie w leśne bagnisko i w tej wilgotnej, butwiejącej pomroce żywota dokona.

— Teraz rozumiem, dlaczego las mieszany nazywa się lasem czarnym — mówi Beata. — Chociaż ten zielony, iglasty, też bywa tutaj mroczny.

Wychodzą wreszcie na otwartą przestrzeń, przed nimi pierwsze oplotki wsi. Wieś leży jak w hamaku, a właściwie w kilku hamakach, bo z sąsiedniego wzgórza odsłania się znowu dolina. To robota lodowców, lodowce naniosły sterczące tu po polach głazy, lodowcowe wody wyrzuciły ławice piasków, przez które oni brną teraz. Stoją na którymś z rzędu wzniesieniu i wtedy wśród zielonych łąk jawią im się meandry Czarnej Hańczy. Nad mokradłami polatują rybitwy, to nurkują, to wzbijają się do góry, skrzekliwe stado wypełniające zaklęty krąg, żaden ptak nie przekroczy niewidzialnej granicy.

— Podobno w tych mokradłach żyją łosie — ekscytuje się Lorka. A Stefan widzi krępą łódź, która podpłynęła zmierzchem na kartoflisko, właśnie wyszedł wtedy z leśniczówki i spłoszył łosia, usłyszał łomot nie łosich biegów, a łopat, tak mu się przynajmniej wydało, że łomocą te kolebiące się łopaty-wiosła. I łódź odpłynęła. Rano zobaczył tylko ślady kopyt łosich, wspomniał na zryte torfowiska ze śladami dzików, na liczne jamy pod wykrotami, z których nigdy nie wychynęła jednak głowa zwierzęcia — życie zwierząt było tu jakby podskórne, utajone, musiało mu wystarczyć, że tkwi pośród niego.

Z mokradła zerwał się czarny bocian, przeleciał nad nimi machając płachtami skrzydeł i opadł ciężko na gniazdo, wieńczące daleką słomianą strzechę.

Beata zatrzymała się przy niewysokim krzewie.

— Komu życie niemiłe, niech narwie sobie owoców z tego krzewu. To wawrzynek-wilcze łyko. Dwanaście jego jagód uśmierca dorosłego mężczyznę.

W drodze powrotnej wstąpili do wiejskiego sklepiku. Jutro koniec leśnej idylli, trzeba zrobić zakupy na drogę.

Sprzedawczyni długo podliczała nabyte przez nich prowianty, celebrowała sprzedaż.

— A chlebek trochę czerstwy, świeżego nie dowieźli.

— Nie szkodzi — pocieszył ją Marek. — Mam zaleconą pracę fizyczną, dobrze mi zrobi krajanie tego chleba.

Tamci poszli we trójkę przodem. Więc to już jutro. I nagle Stefanowi podchodzą do gardła wszystkie dotychczasowe odjazdy, rozstania, pożegnania, cała udręka życia skrzywanego, kradzionego, to, że znów będą musieli się czaić, przemykać, spotykać na krótko i znowu rozstawać, to wszystko stało się już nie do zniesienia. Podchodzi do Lorki i mówi suchym głosem:

— Pamiętasz, co mówiłem, że musimy kiedyś się rozstać? To były nasze ostatnie wakacje.

Fragment powieści.

KONIEC MITU

Fot: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

ciem złota najbardziej sprawiedliwym i stanowiącym naukę poglądową dla pokoleń. Na razie zaś: trzeba oszczędzać w RFSRR złoto, sprzedawać je jak najdrożej, nabywać za nie towary jak najtaniej. Żyjesz wśród wilków — musisz wyć jak wilk".

Źródło wszelkiego zła, sztucznie wywindowany na piedestał bożek, narzędzie walki i substandardowy symbol. I wszystko to jest nadal aktualne.

STOPNIE KARIERY

Złoto nie od razu stało się pieniądzem. Różnie z tym bywało, a funkcję środka płatniczego wypełniały — dawno bo dawno, ale zawsze... szczególnego rodzaju skóry, ba — nawet suszone ryby. W miarę jednak jak rozwijała się gospodarka towarowa, coraz mocniej dawała znać o sobie potrzeba kreowania pieniądza jednolitego, chciałoby się powiedzieć — uniwersalnego. Pojawienie się takiego środka płatniczego wynikało też z międzynarodowej wymiany handlu. Złoto i srebro — jak to stwierdził Karol Marks — nadawały się idealnie do tego celu.

„Złoto — powiedział Marks — **stało się pieniądzem mocą społecznego zwyczaju zapotrzebowania. Mogło jednak dojść do tego, bowiem złoto równocześnie jest towarem i to o wielkiej wartości. Jest rzadkie w przyrodzie na tyle, że musiało być poszukiwane a jego zasoby zaspokajają potrzeby monetarne."**

Szacuje się, że złota tkwiącego gdzieś w skarbcach i sejfach bankowych jest nie więcej jak jakieś 80 tysięcy ton. Na tyle przynajmniej wskazują obliczenia sięgające roku 1493.

Aby nie komplikować sprawy zajmijmy się tylko złotem, gdyż ono nas tutaj wyłącznie interesuje, jako aktualny problem światowej sytuacji ekonomicznej.

Występowanie złota jako pieniądza przeszło szereg faz. Pierwsza z nich to okres w którym o używaniu złota w postaci pieniądza decydowali w gruncie rzeczy ludzie mający w swoim ręku pełnię władzy a więc monarchowie. Tak było do końca XVII wieku. W kolejnej fazie eliminując m. in. srebro, złoto stało się powszechnym miernikiem wartości w krajach europejskich, głównie w Anglii. Dalsza kariera złota przedstawiała się następująco — cytujemy za artykułem brytyjskiego eksperta ekonomicznego, M. S. Mendelsohna, opublikowanym na łamach „The Guardian":

„Kiedy rozwinął się handel z Indiami, kupcy hinduscy woleli srebro, co mocno ograniczyło jego zasoby. Wskutek tego „Full gold standard" trwał dla Anglików od Waterloo do Sarajewa, a dla innych Europejczyków co najmniej w ostatnich czterdziestu latach tego okresu. W owych czasach wszelkie banknoty były automatycznie wymienialne na złote, a między wszystkimi krajami tego systemu panowała całkowita wolność importu i eksportu złota. Pociągało to za sobą, również automatycznie, korekturę bilansów płatniczych w wymianie międzynarodowej w kierunku ich równoważenia. Rok 1914, kiedy po Sarajewie wybuchła pierwsza wojna światowa, zakończył jednak ten stan rzeczy, którego nigdy już nie dało się wznosić. Daremna okazała się inicjatywa gubernatora Banku Angielskiego Montagu Normana mająca na celu przywrócenie złotu roli powszechnego miernika wartości po upływie zamieszania spowodowanego wojną. W 1925 roku Norman skłonił Winstona Churchilla, który był wtedy ministrem skarbu, do tak znacznej podwyżki kursu funta w stosunku do dolara (opierając się na nieaktualnym już kryterium wartości, przeliczonym na złoto, że wyparło to eksport brytyjski z rynków światowych).

Po drugiej wojnie światowej w roku 1946, państwa kapitalistyczne zastosowały innowację, która stanowiła w pewnym stopniu wskrzeszenie próby podjętej poprzednio z inicjatywy Normana. Był to tzw. „system Bretton Woods" ustalający za zgodą wszystkich jego uczestników, relacje między kursami poszczególnych walut a złotem. Przetrwał on do 1971 roku. W myśl układu z Bretton Woods, prywatni obywatele nie mieli już prawa wymieniać banknotów na złoto, ale mogły tego dokonywać rządy, aby zapobiec powstawaniu deficytów netto w stosunkach wzajemnych. W praktyce, jednak tylko Stany Zjednoczone zapewniały taką wymienialność, a czyniły to ustalając na własną rękę cenę złota w wysokości 35 dolarów za uncję. Dzięki temu nie mogło dojść do bezpośredniej dewaluacji albo rewaluacji dolara w stosunku do innych walut. Odgrywał on w tym systemie pasywną rolę."

Tego rodzaju powiązanie złota z dolarem zostało formalnie zawieszone w 1971 roku. Odtąd złoto utraciło zupełnie pozycję obowiązującego miernika wartości, nie było już bowiem traktowane jako pieniądz w stosunkach międzynarodowych.

Prywatni inwestorzy złota kierują się obecnie prawie takimi samymi motywami jak ci, którzy przeznaczają swe środki na inne inwestycje. W dającej się przewidzieć przyszłości nie widać na horyzoncie takiej sytuacji, by złoto miało być znów traktowane jako miernik wartości.

Analizując dalej sprawę światowych rezerw złota oraz bogatych jego złóż w pewnych krajach (przede wszystkim w ZSRR i w Afryce Południowej) autor wyraża pogląd, że istnienie tych rezerw i złóż nie odgrywa dziś bynajmniej takiej roli ekonomicznej, jakiej można się by spodziewać. Podkreśla, że 80 proc. oficjalnych światowych rezerw tego kruszcu znajduje się w ręku siedmiu rządów zachodnich (USA, RFN, Francja, Szwajcaria, Włochy, Holandia i Belgia). Okazuje się jednak, że te rządy nie mają pojęcia, co zrobić z rezerwami, są one bowiem zbyt wielkie, by zbyć je na obecnych rynkach — chyba że byłby to powolny proces przez wiele lat. Z drugiej strony — jego zdaniem — dwaj główni producenci złota — Afryka Południowa i ZSRR — wywierają o wiele mniejszy wpływ na kształtowanie się podaży i popytu na rynkach światowych niż mogłoby się wydawać. Toteż nawet zamknięcie pewnego dnia kopalń złota na całym świecie nie pociągnęłoby teraz za sobą żadnych większych zmian.

Jednostką miary jaką posługujemy się przy obliczaniu ilości złota, jest u n c j a. Ile to jest? Jeden k i l o g r a m to 32,15 uncji, po 31,10 grama. Skomplikowane? Niestety, ale co jest proste, szczególnie w przypadku złota!

RÓŻNE STANY TEMPERATURY

Otarliśmy się już tutaj o sprawy czasowo biorąc nam bliższe, niemniej to jeszcze nie jest to. Aktualnie bowiem rynek złota — ten w światowym wymiarze — przechodzi dziwne, dla wielu najpoważniejszych ekspertów ekonomicznych wręcz niezrozumiałe perturbacje.

Krótko mówiąc wydarzenia przedstawiają się następująco: 20 lipca bieżącego roku, na giełdzie w Londynie cena jednej uncji złota kształtowała się na poziomie 107 dolarów i wykazywała dalszą tendencję spadkową. Podobne ceny, z nieznacznymi odchyleniami w górę bądź w dół rzędu 1 — 2 dolarów odnotowano tego dnia na giełdach w Nowym Jorku, Zurychu, Frankfurcie n/Menem i wielu innych.

Prawdę mówiąc — takiego obrotu sprawy nie spodziewało się wielu, nawet bardzo wtajemniczonych w mechanizm złotego rynku speców. Przecież jeszcze nie tak dawno, na początku roku 1975, cena złota sięgnęła 195,5 dolara za uncję, to znaczy za 31,10 grama, a hossa nadal trwała — można było liczyć na dalszą zwyżkę ceny, nawet do 200, 300 kto wie — może nawet i więcej dolarów.

Trzeba w tym miejscu zauważyć, że te kalkulacje nie były pozbawione racjonalnych podstaw. Przypomnijmy bowiem fakty, z nie tak znowu odległej przeszłości. Cofnijmy się więc w czasie.

Jest rok 1974. Szczyt gorączki surowcowej. Ceny na ropę naftową, jej pochodne, zresztą na wszystko co służy przemysłowemu przetwórstwu pną się zawrotnie w górę. Recesja gospodarcza stała się rzeczywistością. Inflacja pieniądza i to rzędu 15 — 20 i więcej procent dotknęła najpotężniejsze, zdawać by się mogło niewzruszone kapitalistyczne „twierdze". Zaczęły trzeszczeć w posadach państwa, ich gospodarka. W tych warunkach trudno się dziwić, że ten kto miał pieniądze, nie miał najmniejszej ochoty lokować ich w akcjach, papierach wartościowych, notowania tych walorów spadały na łeb na szyję i krótko mówiąc jedyną deską ratunku dla wolnych kapitałów zdawało się być z ł o t o, nie dające wprawdzie odsetek ale w i e c z n e, niezniszczalne w swojej wartości, w dodatku jakże łatwo dające się wymienić na inne — w s z y s t k i e dobra.

Ale i ten mechanizm rozwoju sytuacji ekonomicznej w latach 1974 — 1975 nie wyczerpuje jeszcze całego problemu hossy. Złoto jest bowiem szczególnym metalem nie tylko z tego względu, że jest go tak relatywnie mało, ale że posiada jeszcze inne cechy będące niejako pochodnymi tej pierwszej. W tym miejscu przyznać to muszę, wkraczamy w sferę nieco irracjonalną, niemniej i ona gra tutaj niepoślednią rolę. Tak więc, jeśli powiemy, iż mieliśmy w niedawnych latach do czynienia ze swoistą p s y c h o z ą złota, to nie będzie to dalekie od prawdy. Olbrzymia większość tego metalu jest bowiem unieruchomiona w bankach lub w „pończochach" ciułaczy, w ozdobach jubilerskich, a wreszcie pewna jego część — jakieś 10 — 15 procent — zużywana jest przez przemysł oraz... dentystykę. Splot tych czynników powoduje dosyć oczywisty efekt: w normalnych warunkach na rynku znajdują się tylko niewielkie ilości złotego kruszcu, stające się łatwo przedmiotem obrotu handlarzy czy po prostu spekulantów, których oczywiście nie interesuje złoto jako... surowiec, ale jako bardzo wygodny środek do zarabiania krociowych sum na różnicy cen. Jest to o tyle możliwe i łatwe, że na rynku znajdują się z reguły niewielkie ilości złotego „towaru", wystarczy więc dla przykładu, że na giełdzie w Zurychu lub Londynie pojawi się jakiś amator chcący ulokować swoje wolne środki pieniężne — w złocie, by z miejsca to wywołało lawinę spekulacji, hossę na cenę.

Wielkość wydobycia złota na świecie cechuje się dużą stabilnością. Jeśli w roku 1969 uzyskano 1260 ton (licząc tylko kraje kapitalistyczne) to w dwóch następnych latach odpowiednio — 1228 i 1250 ton.

UDERZENIE

Dziś, i to też jest jednym z objawów wielce nie ustabilizowanej sytuacji ekonomicznej świata, zaczyna się mówić o... zalewie światowych rynków przez złoto, przy czym za trafną datę początkującą zupełnie różną sytuację przyjmuje się powszechnie dzień 2 stycznia 1975 roku, w którym to rząd Stanów Zjednoczonych wprawdzie pod pewnymi uwarunkowaniami, przyznał obywatelom USA prawo zakupu i posiadania tego metalu, a jednocześnie przeznaczył ze swoich rezerw tkwiących w Forcie Knox 2 miliony uncji złotego kruszcu na sprzedaż. Już tylko ta decyzja, początkująca całą kampanię polityczną i ekonomiczną, wywołała spadek ceny złota o 20 procent...

A tak na marginesie: ile złota sprzedaje się rocznie na świecie?

Ze zrozumiałych względów, liczby, które tutaj niżej podajemy, należy traktować jako wielce przybliżone, ale i one dają pewną orientację przy czym odnoszą się one tylko do roku 1975. Tak więc w tym właśnie czasie USA sprzedały 38 ton złota. Związek Radziecki — około 100 ton, a wreszcie Międzynarodowy Fundusz Walutowy rozpoczął sprzedaż 24 ton złota podzielonych na 32 raty rzucane co jakiś czas dokładnie co sześć tygodni.

Wróćmy jednak do zasadniczego tematu, a mianowicie „podskórnego" mechanizmu ataku na złoto świata.

No właśnie.

Jeśli stwierdzimy, w tym miejscu, że u podstaw tego zamachu na złoto znajdują się czynniki polityczne, to będzie to bardzo, ale to bardzo bliskie prawdy. Gdzie jest pogrzebany przysłowiowy „pies"?

Upraszczając sprawę wygląda ona tak: złoto świecące pełnią swego blasku, to nic innego jak pomniejszanie roli d o l a r a, r e a l n e dla niego niebezpieczeństwo, bowiem gdyby cena złotego kruszcu rosła bądź też utrzymywała się na wysokim poziomie, byłoby to ogromną zachętą dla wielu państw, które — wzorem Francji — mogłyby zrewaloryzować swoje zasoby złota, a ten metal stałby się w konsekwencji fundamentem całego systemu monetarnego świata kapitalistycznego. Francja dokonała takiej operacji rewaluując 3140 ton złota w 1975 r. po cenie 170 dolarów za uncję. Co by się stało, jeśli tym śladem poszłyby Wielka Brytania, Republika Południowej Afryki, Szwajcaria, Republika Federalna Niemiec? Nic innego jak straciłby swój międzynarodowy walor dolar, pieniądz, który nie tylko w rozgrywkach ekonomicznych, lecz również politycznych służy dominacji Stanów Zjednoczonych w świecie kapitalistycznym.

Więc?

Złoto — dostało „nauczkę". Przynajmniej na razie.

FINAŁ?

Nie jest znowu takie pewne, iż właśnie taki będzie finał kariery złota, jako powszechnego miernika wartości. Opinie ekspertów są co najmniej podzielone i krótko mówiąc nie ma między nimi zgody. Amerykanie lansują np. tezę iż kruszec ten został raz na zawsze wyłączony z zachodniego systemu walutowego (na rzecz... dolara, oczywiście). Diametralnie odmienną opinię głoszą... Francuzi przede wszystkim, według których wcześniej czy później banki centralne rozpoczną dokonywanie transferów złota dla regulowania płatności międzynarodowych i wtedy kruszec ten odzyska walor ostatecznego środka rozliczeń finansowych. Dodajmy, że za przywróceniem blasku złota opowiadają się właściwie wszystkie kraje Europy, no i państwa będące producentami ropy naftowej. Uważa się, że ten proces będzie stopniowo postępował, a jego tempo uzależnione będzie od takich czynników jak dopływ złota z nowej produkcji, rozmiary inflacji, zjawiska recesyjne w gospodarce, wielkość zakupów złota przez kraje nafciarskie, wreszcie trudny do ustalenia czynnik jakim jest zaufanie lub też jego brak do pieniądza papierowego.

Polscy geolodzy interesują się możliwością występowania złota w Sudetach. Stwierdzono, że na dawnych, eksploatowanych już w średniowieczu terenach złotodajnych występują pewne ilości tego kruszcu. Hipotezy zakładają, że dawni górnicy nie sięgali do warstw głębszych, leżących poniżej wód gruntowych. Obszarami penetrowanymi są rejony Legnicy, Złotoryji, Lwówka Śląskiego. Najbardziej interesujące pod tym względem są Góry Sowie oraz Izerskie. Możliwości eksploatacyjne występują wtedy, gdy koncentracja złota w ilości 100 mg ma miejsce w 1 m sześć.

Jak potoczą się więc dalsze losy kruszcu, który dla wielu jest mitem, a dla innych przekleństwem?

Depesza z Londynu datowana z końca miesiąca września bieżącego roku: „Wbrew prognozom wolnorynkowa cena złota nie spadła poniżej poziomu z lipca, a nawet poszła do góry".

Co będzie dalej?

KRZYSZTOF POGORZELEC

Fot: W. Parys

ICH WIZJA ŚWIATA

Fot: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

równie istotnym problemem, jest kwestia implikacji polityki wewnętrznej na sferę działalności międzynarodowej USA. Ważne jest również ustalenie, czy w początkowym okresie kształtowania się amerykańskiego systemu politycznego i powstawania wstępnych warunków gospodarczego startu, odegrała jakąś rolę ingerencja bardziej zaawansowanego gospodarczo kraju. A jeśli tak, to czy nacjonalistyczne nastroje kontrakcji przyczyniły się tylko do modernizacji gospodarki, czy też także do militarnej i dyplomatycznej ekspansji na zewnątrz? Jak również, czy w wymienionym okresie nastąpiły jakieś większe zmiany konstytucyjne i w jakim stopniu były one związane z ingerencją z zewnątrz, bądź z ekonomicznymi i społecznymi zmianami w kraju? Nie mniej ważne staje się na tym tle pytanie następne: czym była uwarunkowana rola Ameryki na arenie międzynarodowej XX wieku?

Nieodzowne staje się zatem zarysowanie perspektyw i tendencji rozwojowych polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, bowiem wymaga tego zarówno ocena jej zasadniczych wzorców, jak i analiza procesów decyzyjnych w tej polityce oraz przedstawienie rodzaju, zakresu i kierunku międzynarodowych zaangażowań na podstawie całego współczesnego aparatu polityki zagranicznej. Przede wszystkim więc, musi być rzeczą możliwą ustalenie międzynarodowej strategii amerykańskiego społeczeństwa bez względu na stopień uświadamiania sobie przezeń tego faktu, jak i jego formułowania. Toteż w tym kontekście przez „strategię" należałoby pojmować — jak sugeruje Ekkehart Krippendorff w swej pracy: „Die amerikanische Strategie" — **„wspólny mianownik realizacji interesów społecznie dominujących grup w dziedzinie stosunków międzynarodowych, a nie ewentualne, warunkowe istnienie jakiegoś opracowanego, świadomego dla osób podejmujących decyzje polityczne i dzięki temu racjonalnie sprawdzanego — planu (...)"**

Nie ulega przy tym wątpliwości, iż historycznym punktem nawiązania do strategii amerykańskiej polityki zagranicznej w drugiej połowie naszego stulecia i jednym z istotnych czynników zrozumienia tej strategii w przeszłości, jest „rewolucja amerykańska".

KILKA CZYNNIKÓW

Aby pełniej uświadomić sobie ów fakt, rozpatrzmy bliżej proces kształtowania się polityki zagranicznej tego kraju. Można wyróżnić w nim kilka czynników, które odegrały pod tym względem rolę kreatywną. Walt W. Rostow w książce: „Politics and the Stages of Growth" (Polityka i stadia wzrostu) wymienia trzy takie czynniki.

P i e r w s z y, to **poczucie specjalnej roli i moralnej odpowiedzialności Ameryki,** które było wynikiem „kontrapunktu między wartościami etycznymi i instytucjonalnymi przeniesionymi z Anglii Tudorów z prymitywną rzeczywistością ogromnego kontynentu, obfitującego w żyzną ziemię i bogactwa naturalne". Z upływem czasu, wskutek oddziaływania warunków ekonomicznych i politycznych, wyłoniła się wizja Ameryki jako unikalnego sanktuarium, jako miejsca dającego wyjątkowe szanse materialne i mającej wypełnić transcendentną misję demokratyczną. Bezpośrednim efektem owej wizji stał się pogląd, łączący w sobie tradycje purytańskie i deistyczne (reprezentowany przez Jeffersona i jego zwolenników), **„iż Bóg powołał nas do stworzenia nowego rodzaju ludzkiego i jesteśmy dla Boga amerykańskim narodem wybranym, amerykańskim Izraelem" (Reinhold Niebuhr: „The Irony of American History").**

Ponieważ jednak w rzeczywistości ani przez Boga, ani przez naturę nie zostało uznane, że cechy i cnoty Amerykanów są wyjątkowe i różnią się od cech innych narodów, amerykańskie życie polityczne zostało nacechowane „kontrapunkcją" „wspaniałej wizji" i nader przyziemnych rozgrywek o władzę i interesy.

D r u g i m z kolei czynnikiem, który wywarł istotny ślad na amerykańskiej umysłowości były **warunki ekonomiczne.** Otóż pewne specyficzne formy procesu uprzemysłowienia, który przypadł na lata 40-te XIX wieku (m. in. znaczny wzrost demograficzny, względna obfitość dobrej ziemi w stosunku do wykwalifikowanej siły roboczej, rolnictwo nastawione na maksymalizację produkcji, struktura społeczna i rozdział dochodów — sprzyjające nakierunkowaniu produkcji na masowy rynek, wyższe niż w Europie płace realne, konieczność pokonania trudności transportowych itd.) w dużej mierze zadecydowały (zwłaszcza po zakończeniu wojny domowej, gdy wyłonił się jednolity rynek krajowy) o powstaniu wielkich jednostek produkcyjnych, finansowych i handlowych. To zaś z kolei wywołało dylemat: jak pogodzić postępującą koncentrację gospodarczą z nakazami demokracji?

T r z e c i m zaś czynnikiem, kształtującym politykę USA, była **ekspansja terytorialna dokonywana kosztem plemion indiańskich** oraz ich separacja, a nawet eksterminacja, a także przejęcie po Anglikach **handlu niewolnikami.** W następstwie tych działań wyłonił się wyjątkowo ostry problem o charakterze moralnym, ludzkim i społecznym, który po dziś dzień pozostaje nie rozwiązany, stanowiąc najpoważniejszy ze społeczno-politycznych problemów współczesnej Ameryki.

ANALOGIE

O ile chodzi o ocenę roli, jaką ingerencja z zewnątrz odegrała w powstaniu w Ameryce wstępnych warunków dla gospodarczego startu, a następnie jej własnych działań za granicą, to miała ona trojaki charakter: wywołała bowiem wybuch „rewolucji", wpłynęła na treść i przyjęcie konstytucji i skierowała politykę wewnętrzną na uprzemysłowienie. Co się zaś tyczy charakteru amerykańskiej polityki bezpieczeństwa w stadium startu gospodarczego (lata 40-te XIX wieku) to może być ona uważana za odpowiednik polityki Bismarcka z lat 60-tych oraz polityki Japonii i Rosji schyłku XIX i początku XX wieku. Amerykanie owego okresu starali się zmienić arbitralne linie graniczne odziedziczone po rządach kolonialnych (wojna meksykańska w 1846 r. i rozszerzenie terytorium USA na Oregon, Teksas i Kalifornię) i nie byli pod tym względem wyjątkiem, na dodatek jeszcze napotkali w swej ekspansji na przeszkody, które dość łatwo mogli ominąć, bądź drogą dyplomacji, bądź przemocy lub też stosując oba sposoby jednocześnie.

W tym okresie dochodzi **do pierwszej próby rozszerzenia wpływów USA poza półkulę zachodnią,** która zgodnie z doktryną prezydenta Monroe'a miała być jedynym obszarem dla zachowania amerykańskiego systemu wartości i miała stanowić wyłącznie strefę interesów Ameryki. Polityka „otwartych drzwi", ogłoszona w 1900 roku, była ukierunkowana na uzyskanie w Azji (a zwłaszcza w Japonii) korzystnych koncesji handlowych. W tym samym czasie pojawia się koncepcja Mahana, dotycząca **nowej roli sił morskich w amerykańskiej polityce zagranicznej,** w ocenie której centrum światowych sił znajdowało się na kontynencie euroazjatyckim. Z racji strategicznej pozycji Ameryki doktryna Mahana domagała się budowy silnej floty i rozwinięcia przez państwo systemu sojuszów, z czasem jednak dostosowała się do dominujących w końcu XIX wieku nastrojów nacjonalistycznych.

Rola Ameryki na arenie międzynarodowej w XX wieku była więc rezultatem sekwencji etapów rozwoju, stwarzających określone sytuacje i budzących wśród Amerykanów poczucie zagrożenia. Na początku bieżącego stulecia ideologiczne koncepcje **nowego imperializmu** (możliwość wypełnienia politycznej próżni po tradycyjnych imperiach: Wielkiej Brytanii i Hiszpanii przez państwo nieprzyjazne Stanom Zjednoczonym, o ile zachowają one swoją bierność) nakładające, z racji poglądów o amerykańskim obowiązku, interesie i przeznaczeniu, nową odpowiedzialność na USA, starły się ze starymi **tradycjami izolacjonizmu.** Zostały one, wprawdzie na krótko, „przezwyciężone", gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do pierwszej wojny światowej po stronie państw Ententy, ale zaraz po jej zakończeniu „odżyły" na nowo. **„Toteż jedną z najważniejszych cech polityki narodowego bezpieczeństwa na etapie wysokiej konsumpcji** — jak pisze Walt Rostow — **wydawała się być: niechęć do angażowania się na arenie międzynarodowej poza pewne absolutne minimum, jakie narzucają aktualne pojęcia o wymogach narodowego bezpieczeństwa".**

MIT IZOLACJONIZMU

Czy rzeczywiście można zgodzić się z takim poglądem? Przecież historia rozwoju amerykańskiej polityki zagranicznej w wieku XIX i na początku obecnego stulecia świadczy o czymś wręcz przeciwnym. Przecież **właśnie w tym okresie** mocarstwo to stoczyło szereg wojen i kilkadziesiąt razy uciekło się do użycia siły militarnej w celu zabezpieczenia swoich interesów gospodarczych, poza granicami własnego kraju i to zarówno na półkuli zachodniej jak i wschodniej. A faktu przystąpienia USA do pierwszej wojny światowej nie można interpretować inaczej niż jako zapoczątkowanie kolejnego etapu w polityce Ameryki wobec reszty świata — **fazy globalizmu.** Odwołując się przy tym do historii, łatwo zauważyć (porównując rewolucję amerykańską i francuską), iż, jak słusznie stwierdza Hannah Arendt: **„Rewolucja francuska, która zakończyła się katastrofą, wpłynęła na bieg historii świata, natomiast fakt, że rewolucja amerykańska, która odniosła wielki triumf, pozostała wydarzeniem mającym znaczenie niemal tylko lokalne",** ma swoje przyczyny między innymi **„w przedwczesnym jej przerwaniu przez kontrrewolucyjny zamach stanu wielkich właścicieli ziemskich i burżuazji handlowej w 1787 roku".** W ujęciu historycznym spowodowało to nie tylko wykształcenie się przekonania, że amerykańska rewolucja nie uosabia tradycji rewolucyjnej, ale i tego, że również w samych USA strach przed rewolucją stanowi ukryty motyw przewodni amerykańskiej powojennej polityki zagranicznej — i nie tylko amerykańskiej. Tak więc właściwa różnica pomiędzy polityką zagraniczną do wybuchu drugiej wojny światowej i polityką późniejszą nie polega na ostatecznym wyrzeczeniu się „izolacjonizmu", albo na rezygnacji z wielkich tradycji nie zawierania sojuszów, ale na tym, że USA stały się obecnie potęgą gospodarczą i militarną i — jak stwierdza E. Krippendorff: **„postawiły zadanie przeżycia w sensie zachowania systemu, w związku z czym stały się konieczne nowe taktyczne odpowiedzi i reakcje".**

Jeśliby spróbować podsumować efekty skuteczności oddziaływania amerykańskiej polityki zagranicznej w obecnym świecie, to nie trudno dostrzec, iż poniosła ona w ostatnich trzydziestu latach szereg poważnych porażek. Zastanówmy się, co było ich zasadniczą przyczyną.

KONCEPCJA STRATEGII

Przede wszystkim obserwując symptomy kierunku, w którym zmierzały „światłe" rozważania polityków amerykańskich na temat celów i koncepcji strategii polityki zagranicznej USA, trudno było oprzeć się wrażeniu, iż mieliśmy do czynienia z klasycznym syndromem wyjątkowej krótkowzroczności politycznej, który w powszechnej świadomości Ameryki przybrał wręcz zaskakujące rozmiary. Jednowymiarowy, asymetryczny i etnocentryczny obraz świata, to właśnie konsekwencja owego specyficznego, historyczno-politycznego samookreślenia narodu amerykańskiego. Następstwem tego było znacznie zwiększone prawdopodobieństwo popełniania błędów w ocenie wydarzeń i wyboru środków, jakie należało podjąć w zależności od rozwoju sytuacji. Charakterytyczne, że wiele z tych błędów nie pociągało za sobą natychmiastowych skutków w postaci poważnego osłabienia potęgi politycznej USA. Nikogo jednak nie powinno to zbytnio dziwić, bowiem jednym z kryteriów potęgi politycznej jest właśnie ewentualność **„popełniania błędów bez ponoszenia bezpośrednio widocznych konsekwencji, gdyż rozporządzane zasoby pozwalają na stosunkowo duży margines działania, a zatem i na popełnianie błędów"** (E. Krippendorff).

Wpływa na to szereg czynników, między innymi prasa, która swym zbyt skąpym prezentowaniem spraw zagranicznych w małym stopniu przyczynia się do przełamania owego etnocentryzmu, informacje, jakie przekazuje społeczeństwu, są już zarówno ilościowo jak też jakościowo wyselekcjonowane i określają z góry mniemania bądź decyzje. Decyzje z zakresu polityki zagranicznej w sensie węższym są przestarzałe przez to, że zinstytucjonalizowane aparaty i kanały informacyjne, które stoją do dyspozycji grup kierowniczych, niezależnie od prasy, mają niejako wbudowane ideologiczne i socjologiczne filtry zniekształcające. Również dyplomacja, sfery wojskowe i tajna służba wywiadowcza (CIA) jako źródła informacji i czynniki relacjonujące sytuację zwężają strumień wiadomości napływających ze świata do systemu i zmuszają go w coraz większym stopniu do reagowania na podstawie swoich własnych, nie sprawdzonych za pomocą konfrontacji, przesłanek wartościujących, to jest kapitalistycznych, aksjomatów społeczno-politycznych, które funkcjonują w całym społeczeństwie amerykańskim i nie są kwestionowane. Dobitną ilustracją takigo działania systemu politycznego mogą być ekipy rządzące Eisenhowera, Kennedy'ego, Johnsona i Nixona, których warstwy kierownicze cechuje w odniesieniu do prowadzonej na przykład w Wietnamie wojny, strukturalna niezdolność do właściwych rozeznań i dlatego musiały one z konieczności „reagować przesadnie", kontynuując niemożliwą do wygrania wojnę. Jest to, nawiasem mówiąc, niezdolność poznawcza, która ma swoje metody i strategię i odwołuje się do bardzo dobrze znanych interesów własnych.

Konsekwencją popełniania błędów w zakresie podejmowanych decyzji jest utrata poczucia rzeczywistości, początkowo tylko w sferze polityki zagranicznej (cechuje ona dominujące grupy i warstwy społeczeństwa amerykańskiego), następnie zaś pociąga to za sobą dodatkową utratę poczucia realizmu i wypaczenie ocen problemów polityki wewnętrznej, co objawia się wyraźnie w obliczu zamieszek rasowych i rewolt studenckich. Toteż podejmowanie decyzji dotyczących polityki charakteryzuje w wysokim stopniu: brak przejrzystości, wzajemne paraliżowanie się konkurujących ze sobą biurokracji i aparatu, brak odpowiedzialności politycznej, bądź brak możliwości kontroli, a przez to zmniejszenie efektywności sprawowania władzy i podlegania wpływom partykularnych interesów, takich jak przemysł zbrojeniowy, koncerny naftowe, rolnictwo i armia — i to zarówno w Kongresie, jak i w sferze działania egzekutywy oraz jej ministerstw i władz.

Dyfuzja amerykańskiej procedury politycznej odzwierciedla zatem wzrastający irracjonalizm systemu społecznego, który nie potrafi racjonalnie sformułować, a następnie rozwiązać swoich problemów i sprzeczności wewnętrznych, jak też tych, które powstają w trakcie dostrzegania i realizacji własnych interesów w polityce zagranicznej. Stabilność systemu jest więc ugruntowana ideologicznie na zasłanianiu i ukrywaniu konfliktów wewnętrznych i zewnętrznych, które są personalizowane, a nie pojmowane strukturalnie, co właśnie umożliwiłoby ich rozwiązanie.

AMERYKAŃSKI PRAGMATYZM

Ten improwizatorski charakter procesu podejmowania decyzji w polityce zagranicznej jest usprawiedliwiany ideologicznie jako „pragmatyzm", na którym opiera się właściwa siła amerykańskiego społeczeństwa i jego sposób myślenia. W rzeczywistości zaś ów pragmatyzm to nic innego, jak system decyzji ad hoc, opierających się na bezkrytycznie afirmowanej podstawie stabilnych interesów społeczno-ekonomicznych.

„Historia — pisał George F. Kennan w „American Diplomacy 1900—1950" **— nie wybacza nam naszych błędów, ponieważ wynikają one z naszej polityki wewnętrznej. Kiedy mówi się, że błędy w przeszłości były nieuniknione ze względu na nasze wewnętrzne predyspozycje i nawyki myślenia, to twierdzi się tym samym, że to demokracja, praktykowana u nas, przeszkodziła nam być efektywniejszymi (...). Naród, który usprawiedliwa własne błędy nietykalnością swoich własnych nawyków, prowadzi sam siebie przez takie usprawiedliwienia do całkowitej katastrofy."**

A zatem można chyba stwierdzić, iż praktyka amerykańskiej polityki zagranicznej demonstruje strategię prymatu prywatno-kapitalistycznych zasad ustrojowych i interesów takich właśnie systemów społecznych, nad praworządnością, demokracją, czy liberalną strukturą konstytucyjną w ogóle. Czy jednak nie istnieje możliwość jakościowej zmiany strategii amerykańskiej polityki zagranicznej?

Zasadniczo wydaje się, iż odpowiedź musi być negatywna, bowiem strategia ekspansywnego forsowania amerykańskich zasad gospodarczo-ustrojowych odzwierciedla potrzeby i interesy amerykańskiej gospodarki narodowej. Pryncypialne nakazy kapitalistycznego systemu produkcyjnego, nastawione są na ekspansję dotyczącą rynków czy dostępu do źródeł surowców i wymuszają taką właśnie, dynamiczną, zagraniczną politykę społeczną. A zatem, ponieważ celem musi być w konsekwencji rozszerzenie sfery wpływów mocarstwa, a w szerszym sensie zasięgu jego rynków, to zadanie polityki zagranicznej tego państwa — we wszystkich jej formach instrumentalnych dyplomacji, propagandy, polityki kulturalnej, pomocy gospodarczej itp. — polega w zasadzie na tym, żeby stworzyć ten rynek, bądź też, jeżeli on już istnieje, stworzyć warunki umożliwiające jego stabilizację, albo stłumienie, o ile to możliwe, za pomocą środków pokojowych — wszelkich sprzeczności, jakie z konieczności muszą występować przy realizacji tej społeczno-politycznej strategii.

Wynika stąd bezpośrednio funkcja polityki zagranicznej, wyrażająca się w tłumieniu międzynarodowych, czy występujących w innych krajach sprzeczności społecznych, które z konieczności ujawniają się przy realizacji amerykańskich interesów „życiowych". Funkcja ta była ściśle związana z celem amerykańskiej strategii, który głosił konieczność: **„stworzenia i utrzymania warunków zewnętrznych, które są zgodne z naszym sposobem życia i naszymi wartościami".** (A. Bowie: „The American Assembly, the Secretary of State", Englewood Cliffs).

Niemożność osiągnięcia tego celu, co było efektem zarówno czynników zewnętrznych (m. in. istnienia światowego systemu państw socjalistycznych oraz rozszerzającej się ciągle sieci ruchów radykalnych w krajach rozwijających się), jak też czynników wewnętrznych (narastający opór społeczeństwa amerykańskiego wobec kursu polityki zagranicznej) — spowodowała taktyczne przystosowanie się do warunków tych krajów, wymuszone względami realno-politycznymi, militarnymi i społecznymi (częściowa, choć stale rozwijająca się współpraca z ZSRR). Nie nastąpiło jednak równoczesne jakościowe przystosowanie strategiczne, to znaczy przystosowanie **„długofalowych planów zapewnienia bezpieczeństwa".** Nie mogło to nastąpić m. in. z tej przyczyny, że owe pojęcia dotyczące celów i ustroju stanowią produkt społeczno-ekonomicznych i ideologicznych interesów amerykańskiego społeczeństwa, które uważane są za oczywiste, jak również ze względu na to, że kierownictwo polityki zagranicznej jest strukturalnie słabe, to znaczy rządzi systemem, który wymknął się spod jego kontroli. Nie mogłoby nim bowiem pokierować, zwłaszcza w sytuacji, gdyby — przypuśćmy — zechciało zainicjować jakąś zmianę jakościową.

Tak więc dumne, idealistyczne, choć niejasne i puste wewnętrznie hasło deklaracji programowej Wilsona, określające cel i kierunek amerykańskiej strategii „Pax Americana": **„to make the world for democracy"** (pozyskać świat dla demokracji) nabrało po mocarstwowym przełomie w trakcie drugiej wojny światowej, nowej, wewnętrznej precyzji. Ilustruje ono odtąd wizję ukształtowania świata drugiej połowy XX wieku jako powiązanego wewnętrznie „towarzystwa" produkcji, dystrybucji i konsumpcji dóbr, zgodnie z zasadami kapitalistycznego systemu gospodarczego, którego centrum badawczo-rozwojowe i polityczno-gospodarcze mają oczywiście tworzyć Stany Zjednoczone.

ANDRZEJ BLAJER

ROMAN JERZY

„WIELKIE UCHO"

Fot: Archiwum

Drzwi numer 6510 w Departamencie Stanu USA otwiera się po ustawieniu skomplikowanego kodu szyfrowego. Chronią one cały labirynt pomieszczeń bez okien, oświetlonych specjalnym światłem jarzeniowym. Dzień i noc stukają tu maszyny szyfrujące; osłaniają je specjalne ściany nie przepuszczające fal radiowych. Jeszcze jedne drzwi, otwierane w niemniej skomplikowany sposób, odgradzają wejście do „świątyni świątyń". Dostęp do niej ma najwyżej pięć procent pracowników Departamentu Stanu. W centralnej części „świątyni" dominuje blok układu elektronicznej maszyny cyfrowej dalekiej łączności. Do niej, niekończącym się strumieniem, płynie sama „śmietanka" informacji z podsłuchu „elektronicznej otoczki" Ziemi... Jest ona nasycona buczeniem zagranicznych radiolokacyjnych urządzeń obrony powietrznej, szumem błyskawicznych dalekopisów przekazujących informacje dyplomatyczne, piskiem telemetrycznych instalacji rakietowych, brzęczeniem komputerów wielonarodowych korporacji, nieszyfrowanymi rozmowami radiowymi, monotonnym „pianiem" różnojęzycznej mowy zmienionej nie do poznania przez urządzenia szyfrujące, szybką „rozmową" wojskowych telegramów radiowych przekazywanych szyfrem lub otwartym tekstem...

Za pośrednictwem kanałów tej „elektronicznej otoczki" można też usłyszeć rozkaz dowództwa jakiejś obcej armii o dyslokacji pułku, i uwagi chińskiego lotnika o dostrzeżonych usterkach w czasie doświadczalnego lotu, i sprawozdanie przedstawiciela Arabii Saudyjskiej z dopiero co zakończonego posiedzenia OPEC, i mnóstwo innych danych wywiadowczych.

Dziesiątki tysięcy podobnych informacji przechwytują codziennie amerykańskie stacje podsłuchowe rozrzucone po całym świecie i przekazują do specjalnego kompleksu w Fort Mead do rozszyfrowania i dalszego przekazania do wiadomości Departamentu Stanu, Białego Domu, Pentagonu i CIA...

NIE BYŁO TAJEMNICY

...Wysoki, dobrze zbudowany generał w uniformie lotnika, usiadł za stołem w sali konferencyjnej amerykańskiego senatu. Naprzeciwko generała zajęli miejsca członkowie specjalnej komisji senackiej, desygnowani do prowadzenia śledztwa w sprawie działalności amerykańskich organów wywiadowczych. Przewodniczący uderzył młotkiem w stół i rozpoczęło się posiedzenie.

Wszystko właściwie przypominało początek tysiąca innych podobnych posiedzeń, jednakże to było wydarzeniem daleko odbiegającym od zwykłej procedury komisji senackich. Po raz pierwszy szef największego i najbardziej tajnego wywiadowczego organu USA wyszedł z „podziemia", żeby szczegółowo opowiedzieć o działalności kierowanej przez siebie instytucji oraz odpowiedzieć na zarzut dokonania zamachu na prywatne życie Amerykanów. Przed obliczem komisji stanął generał-porucznik A. Allen, obecny dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (ABN). Organ ten, zwany potocznie „wielkim uchem" Ameryki, stara się usłyszeć to, co nie jest dla niego przeznaczone.

Poza codziennym „zdobywaniem" i opracowywaniem solidnej porcji przechwyconych informacji radiowych z całego świata, ABN trudniło się także bezprawnym podsłuchiwaniem rozmów wielu obywateli USA, w tej liczbie znanych działaczy ruchu antywojennego, a także obecnego dyrektora Narodowego Biura do Walki z Handlem Narkotykami, pracowników różnych urzędów państwowych itp., itd. Okazało się także, iż ABN zmusiła trzy największe kompanie telegraficzne USA do przekazywania Agencji większej części korespondencji telegraficznej. Do jednej z tych kompanii agenci ABN przychodzili między 5 a 6 rano, zabierali korespondencję zagraniczną, przygotowaną już i posegregowaną przez pracowników firmy (którzy podobno otrzymywali za te usługi po 50 dolarów tygodniowo), fotografowali ją i zwracali. Kiedy telegramy zaczęto zapisywać na taśmie magnetycznej. Agencja otrzymywała je w formie zapisu magnetycznego. Ogółem przekazywano po około 150 tysięcy tego rodzaju informacji miesięcznie. Wszystko to zaczęło się z górą 28 lat temu. Można sobie wyobrazić, ile prywatnej korespondencji przeszło przez ten czas przez ręce agentów ABN!

Były prezydent Nixon przyznał niedawno, że korzystał z usług ABN do przechwytywania „nietelefonicznych" informacji". Chciał — jak powiedział — wyjaśnić w ten sposób przyczynę przecieków informacji z aparatu Krajowej Rady Bezpieczeństwa i Komitetu Dowódców Sztabów. Istnieją dowody, iż ABN przekazywała bezpośrednio prezydentom: Johnsonowi i Nixonowi informacje, o czym mówili i co robili znani Amerykanie za granicą.

IMPERIUM SZYFRÓW

Niedawno dwaj specjaliści z uniwersytetu w Stanford oskarżyli ABN o próby użycia do własnych celów szyfru standardowego, opracowanego dla systemu komputerów i zaleconego przez organa państwowe. Chodzi tu o kod, który pozwala każdemu z użytkowników jednego komputera na utrzymywanie swojej informacji w tajemnicy przed innymi komputerami. Uczeni złożyli oświadczenie, iż przy pomocy przeróżnych manipulacji ABN dąży do narzucenia ludziom interesu takiego systemu kodowania, który będzie wprawdzie bardzo trudny do rozszyfrowania przez konkurentów, ale łatwy do rozwiązania dla wykwalifikowanych specjalistów wywiadu. Otworzyłoby to Agencji dostęp do informacji ekonomicznej wpływającej do komputerów, jak również do szyfrowanych informacji o charakterze prywatnym.

Zresztą w zakresie szpiegostwa przemysłowego, ilość przechwytywanych informacji przez agentów ABN zwiększa się i tak wyjątkowo szybko. Komisja Izby Reprezentantów do zbadania działalności organów wywiadu — bo i taką powołano — w swym sprawozdaniu wyraża zaniepokojenie z powodu stwierdzonego „wtargnięcia Agencji Bezpieczeństwa Narodowego do sfery prywatnych i międzynarodowych kontaktów poszczególnych amerykańskich obywateli i organizacji".

Nasuwają się pytania: kto sankcjonował podobne naruszenie prawa? Dlaczego z taką łatwością ABN mogła przeniknąć do sfery prywatnego życia obywateli na żądanie innych instytucji rządowych? Czy głównym ogniwem w tym łańcuchu nie był sam prezydent — i co za tym idzie — czy nie ma on możliwości wprowadzenia inwigilacji w skali przewyższającej najgorsze doświadczenia niedawnej przeszłości? Czy Agencja Bezpieczeństwa Narodowego jest niezbędna dla ochrony bezpieczeństwa państwa? Jak pogodzić cele, którym służy, z działalnością podważającą praworządność?

W odróżnieniu od CIA Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie została stworzona decyzją Kongresu i dlatego nie ma wyraźnego zakresu działalności. „Imperium szyfrów" za podstawę prawną ma tylko rozporządzenie prezydenta. A całą działalność ABN utrzymywano w tak głębokiej tajemnicy, że tekst jej zaledwie siedmiostronicowej dyrektywy nigdy nie został podany do publicznej wiadomości. Ta mania tajemniczości rzuca się od razu w oczy podczas wizytowania sztabu Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, usytuowanego w okolicy Fort Mead, niedaleko od autostrady Waszyngton-Baltimore. Jest on otoczony podwójnym ogrodzeniem z sześcioma rzędami drutów pod wysokim napięciem. Wysokie ogrodzenie wieńczy drut kolczasty. Czterech wejść strzegą posterunki piechoty morskiej. Za ogrodzeniem wznosi się nowoczesny, trzypiętrowy gmach, zbudowany w kształcie litery „A", a obok — dziewięciopiętrowy krępy wysokościowiec. Ten układ zabudowy oddaje lodowato-posępny charakter tej instytucji.

Gdyby nie biały dym unoszący się z kominów, ów kompleks budynków osnutych pajęczą siecią anten mógłby się wydać opustoszały. Wokół zbudowano gigantyczny parking dla samochodów dwudziestu tysięcy zatrudnionych tutaj pracowników. Ludzi tych przesiano przez niezwykle gęste sito kontroli, nim dopuszczono ich do tej ściśle tajnej pracy. Niemniej mogą być zwolnieni w każdej chwili przy najmniejszym podejrzeniu o nielojalność. Wewnątrz budynków ruch pracowników jest bardzo ograniczony. Kolor znaczka, umieszczonego na lewej górnej kieszeni munduru czy marynarki od razu wskazuje strażnikom, do jakich pomieszczeń może, a do jakich nie może wchodzić jego posiadacz.

PODSŁUCH RADIOWY

Pracownicy Agencji opracowują szyfry i zasady systemów szyfrowania bacząc by informacje, na przykład, Departamentu Stanu nie ułatwiały, przez analogię kodu, odczytywania treści telegramów, na przykład, ministerstwa obrony. Jednakże głównym zadaniem ABN jest wywiad radiowy, podsłuch. Wydaje się na ten cel około miliarda dolarów rocznie. Poza etatowym dwudziestotysięcznym personelem, Agencja dysponuje około 80 tysiącami pracowników wojskowych, rozsianych po całym świecie i zatrudnionych w komórkach szyfrujących wojsk lądowych, marynarki wojennej i lotnictwa wojskowego. Podlegają oni bezpośrednio Agencji. Jeżeli zsumować wydatki tych wszystkich jednostek wywiadu radiowego z innymi wydatkami ABN, to budżet Agencji wynosi około 15 miliardów dolarów rocznie.

Z punktu widzenia struktury organizacyjnej, pozycja ABN jest dwuznaczna: wchodzi w skład ministerstwa obrony, lecz nie jest jego częścią. Minister tego resortu jest tylko wykonawcą woli prezydenta w zakresie kierowania działalnością Agencji. Nie podlega ona CIA, ale jej dyrektor zasiada w Prezydenckiej Radzie Konsultatywnej do Spraw Wywiadu USA, której przewodniczy dyrektor CIA. Szef ABN ma z reguły stopień generała-porucznika lub wiceadmirała. Dyrektora ABN mianuje prezydent USA.

W przeciwieństwie od informacji dostarczanych przez większość wywiadowczych organów USA. ABN dostarcza informacji na bieżąco, z ostatniej chwili. Informacja od szpiegów idzie bardzo długo, fotografie ze sztucznych satelitów Ziemi także. Natomiast ABN przechwytuje informacje w momencie ich pojawienia się w eterze. Z drugiej strony, wywiad prowadzony za pośrednictwem środków łączności łatwo unieszkodliwić. Jeśli się jakiekolwiek państwo zorientuje, że jego rozmowy są podsłuchiwane, nie potrzebuje organizować obławy na szpiegów; wystarczy, że zmieni szyfr. A to przekreśla napływ informacji nie od jakiegoś jednego informatora, lecz z obszaru całej rozgałęzionej sieci podsłuchu elektronicznego. Oto dlaczego rząd amerykański z taką nerwowością podchodzi do wszystkich publicznych wzmianek o działalności Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Pracownicy ABN nie występują bynajmniej w charakterze myśliwych na szyfry. Wykonują zlecenia innych ogniw aparatu państwowego, które informują Krajową Radę Bezpieczeństwa, jakiego rodzaju informacje są im potrzebne od ABN. Z polecenia Rady, dyrektor CIA przekazuje „zamówienie" do ABN. Na przykład: ustalić dyslokację dywizji „x" armii chińskiej i śledzić jej ruchy, albo — ustalić techniczne charakterystyki punktów radiolokacyjnych wokół Berlina. Pierwszym krokiem zmierzającym do wykonania takiego zadania jest zawsze poszukiwanie odpowiedniego zagranicznego źródła przekazu radiowego. Niektóre nasłuchy prowadzą specjaliści ABN zatrudnieni w amerykańskich ambasadach.

Sporo informacji wychwytują ośrodki ABN z Kosmosu przy pomocy specjalnych sztucznych satelitów Ziemi, zwanych w żargonie „psami służbowymi". Żeglując bezgłośnie nad stepami i miastami Europy i Azji, lub „zawieszone" nad złotymi piaskami i cieśninami Bliskiego Wschodu, te gigantyczne cylindry, uzbrojone w macki anten, zapisują na taśmach megnetycznych każdy elektroniczny „szept".

WYWIAD ELEKTRONICZNY

Jednakże większość informacji wywiadowczych napływa z ośrodków wywiadu, obsługiwanych przez ludzi. Niektóre z nich znajdują się w powietrzu. W przygranicznych strefach powietrznych krajów obozu socjalistycznego patrolują amerykańskie ponaddźwiękowe samoloty rozpoznawcze typu: SR-71, ES—135 i ES—121. Załoga każdego samolotu z tych typów składa się z 30 ludzi, którzy obsługują wywiadowczy sprzęt elektroniczny o wadze sześciu ton. Do zadań tych samolotów nie należy przechwytywanie informacji radiowych, lecz coś znacznie ważniejszego — wywiad elektroniczny.

We współczesnej wojnie wywiad elektroniczny nabiera ogromnego znaczenia. Przypuśćmy, że amerykańskie lotnictwo zechce rzucić na stolicę jakiegoś kraju eskadrę bombowców — pisze publicysta „NY Times Magazine". Urządzenia radiolokacyjne strony przeciwnej potrafią wykryć te samoloty, ustalić ich położenie, kierunek lotu i szybkość, co pozwoli wysłać na spotkanie agresora np. samoloty myśliwskie. Żeby odwlec ten moment wykrycia, napastnik musi koniecznie wprowadzić w błąd radiolokatory, to znaczy nadać im takie impulsy, które stworzą fałszywy obraz współrzędnych i szybkości bombowców. Ale do tego trzeba znać przede wszystkim częstotliwość fal, intensywność impulsów oraz inne charakterystyki urządzeń radiolokacyjnych. Tym właśnie należy tłumaczyć fakt, iż w roku budżetowym 1974, według danych Waszyngtońskiego Centrum Badań Problemów Bezpieczeństwa Narodowego, samoloty amerykańskiego lotnictwa wojskowego przebywały w powietrzu około 36 tysięcy godzin, wykonując zadania wywiadu elektronicznego.

Inne placówki wywiadowcze Agencji są ukryte w głębinach oceanów i mórz — w łodziach podwodnych. Do niedawna marynarka wojenna USA operowała dziewięcioma statkami, prowadzącymi wywiad radiowo-elektroniczny, jednakże po wielu incydentach postanowiono z nich zrezygnować.

Większość amerykańskich ośrodków podsłuchu radiowego pracuje na lądzie. Przede wszystkim są one rozlokowane wokół Związku Radzieckiego, blisko jego granic usadowiły się w Turcji. Palisada anten pokryła góry Okinawy. Dyżurni operatorzy wsłuchują się dzień i noc w szyfrowane rozmowy radzieckich aparatów Morse'a. Na kanałach łączności radiotelefonicznej słychać nawet, jak na manewrach porozumiewają się żołnierze. „Słuchacze" przekazują teksty przechwyconych rozmów analitykom. Ci selekcjonują dane pozwalające na sformułowanie wniosków na temat taktyczno-technicznych parametrów pojazdów wojskowych oraz zaopatrzenia, na temat nastrojów żołnierzy, a także wyjaśnienia nazw i zestawienia charakterystyk dowódców. Zakodowane teksty przesyła się do deszyfrantów, szamanów wywiadu radiowego. Pracują w przestronnych salach, przy stalowych biurkach. Bardzo uważnie studiują różnokolorowe kartki papieru, uderzają w klawisze perforujących maszyn komputerów, kolorowymi ołówkami wpisują do kratek szeregi znaków im tylko znanych, popijają kawę, wymieniają uwagi, naradzają się. Wyniki ich pracy pozostają w najgłębszej tajemnicy.

Sukcesy osiągają przede wszystkim przy odczytywaniu tekstów, szyfrowanych w krajach Trzeciego Świata. Kraje rozwijające się nie mają ani środków, ani specjalistów, żeby z powodzeniem chronić swoje tajemnice przed ciekawością Amerykanów. Korzystają z maszyn szyfrowych będących na rynku. „Rozgryzienie" ich kodu nie przedstawia specjalnych trudności dla specjalistów z ABN, którzy dysponują największym w świecie parkiem komputerów, zebranych pod jednym dachem.

SZYFRY NIE DO ODCZYTANIA

Z drugiej strony wielkie mocarstwa używają maszyn układających tak trudne szyfry, że mając nawet pod ręką szyfrogram i jego otwarty tekst, dysponując wszystkimi komputerami świata, deszyfrantom nie starczy stu lat, aby odtworzyć sam system kodowania i przeczytać następny radiogram zakodowany analogicznie. Innymi słowy, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego jest zupełnie bezsilna jeśli chodzi o zdobycie najważniejszych dla niej informacji, to jest informacji ze Związku Radzieckiego i Chin. Zresztą teren, na którym deszyfrant może mieć nadzieję na odniesienie sukcesu, stale się kurczy. Ogrom pracy gwałtownie przerasta granice możliwości. Dlatego ABN ucieka się do pomocy „kolegów". Agenci FBI włamują się pod osłoną nocy do zagranicznych ambasad w Waszyngtonie. CIA próbuje przekupywać szyfrantów w zagranicznych stolicach. Znany jest wypadek, kiedy pewnemu Kubańczykowi w Montevideo zaproponowano 20 tysięcy dolarów za zdradzenie szyfru. W 1966 roku Amerykanie zainstalowali urządzenia podsłuchowe w pomieszczeniu szyfrów ambasady egipskiej, które wychwytywały wibracje maszyny kodującej. Specjaliści ABN, nie mogąc odczytać kodu Egipcjan, przeanalizowali zapisy wibracji, ustalili strojenie maszyny kodującej i odczytali treść zaszyfrowanej korespondencji.

Do pomieszczenia Departamentu Stanu, chronionego pancernymi drzwiami numer 6510, przechwycone informacje napływają na białych standaryzowanych kartkach z nagłówkiem: „Do sekretarza stanu od DYRABN" (od dyrektora ABN). Najważniejsze informacje (w czarnej teczce, CIA używa teczek czerwonych) doręcza się codziennie kliku pomocnikom sekretarza stanu.

Sensacyjne podsłuchy zdarzają się rzadko. A nawet, jeśli się i zdarzą jakieś ważne informacje, to ich wykorzystanie rzadko wywiera dostrzegalny wpływ na bieg wydarzeń. Któregoś razu wpłynął tekst podsłuchu skłaniający do wyciągnięcia wniosku, iż w jednym z krajów powinien za parę godzin nastąpić przewrót państwowy. Informację natychmiast przekazano ówczesnemu zastępcy sekretarza stanu. Ten przeczytał ją, kiwnął głową, powiedział: „bardzo ciekawe" i zwrócił ją pracownikowi. Po prostu nie mógł już nic przedsięwziąć.

W odpowiedzi na gwałtowną krytykę działalności ABN, prezydent Ford wydał niedawno zarządzenie, formalnie zakazujące Agencji podsłuchiwania rozmów obywateli amerykańskich. Załóżmy nawet, że zostało wydane w najlepszej intencji, to przecież w istocie jest ono i tak bezprzedmiotowe, bowiem zakaz jednego prezydenta może anulować drugi.

„Jeśli kiedykolwiek w naszym kraju — powiedział przewodniczący senackiej komisji do zbadania działalności amerykańskich organów wywiadowczych, senator Frank Church — **wstąpi na tron dyktator, to techniczne możliwości, które rząd oddał do dyspozycji organów wywiadowczych pozwolą mu narzucić nam absolutną tyranię..."**

Jak widać, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, podlegając kompetencji bardzo wąskiego grona urzędników najwyższego szczebla administracji państwowej, odgrywa szczególną rolę w organach wywiadu USA. Ujawnione fakty działalności ABN wzbudziły głęboki niepokój i protest szerokich kręgów społeczeństwa amerykańskiego. I nie tylko amerykańskiego. Niebezpieczne praktyki wywiadu lotniczego u granic krajów naszego obozu nie służą sprawie odprężenia międzynarodowego i wzbudzają zrozumiały niepokój światowej opinii publicznej.

CMENTARZE

Z dzieciństwa — a było to wojenne dzieciństwo — pamiętam dobrze właśnie cmentarz. A właściwie dwa cmentarze. To dziwne — jeden z nich jest dziś zapuszczony i dziki, na grobach rośnie sucha, ostra trawa. Ścieżki między grobami zarosłe chwastem, mech, bardzo dużo jaskrawo zielonego mchu, nawet na niskich ławeczkach przy rodzinnych grobowcach.

Znam to doskonale, bujne chwasty i sucha ostra trawa na grobach — cmentarz opuszczony przez żywych. Wówczas, ponad trzydzieści lat temu, polski cmentarz był zarośnięty i dziki. Wtedy zbyt blisko śmierć ocierała się codziennie o żywych, aby mieli oni dość siły myśleć o tych, co już odeszli.

Polski cmentarz. Właśnie tak — polski. Nie katolicki, to wówczas było mniej istotne. Chodziliśmy tam po ową suchą, raniącą dłonie trawę, której nawet króliki nie chciały jeść. Trawa zresztą była pretekstem. Tu, na cmentarzu, czuliśmy się najpewniej, tu nie przychodzili nasi rówieśnicy w piaskowych mundurach HJ.

Jest w tym jakiś paradoks i jakaś prawda mojego dzieciństwa — cmentarz był moim placem zabaw, jedynym miejscem na ziemi, jakie nam wówczas zostało. Historia obdarzyła nas cmentarzem nie tylko zresztą jako miejscem zabaw. Zbyt boleśnie i zbyt dosłownie był to polski cmentarz.

Dziś ten drugi porasta jałową trawą, odeszli od niego żywi, odmienił się czas, ale nie potrafię z tego powodu odczuwać satysfakcji. Cmentarz bowiem jest miejscem godnym szacunku zawsze, mimo meandrów Historii.

Cmentarz jest s a m ą Historią. W naszych dziejach nabrał szczególnej symboliki. Pisał Cyprian Norwid:

„Za wolność każdy umrzeć chce z ochotą
Jak gdyby cmentarz tylko zwał się wolny
A lada koniec jakby był istotą
Nieskończoności?..."

Ktoś powiedział, że polskiej historii najlepiej uczyć się na cmentarzu. To prawda, choć oczywiście nie tylko polskiej historii... Ale dziejów naszego narodu istotnie uczyć się można na wszystkich cmentarzach świata. Na paryskim Père Lachaise, wśród grobów pod Lenino i pod Monte Cassino, na cmentarzach polskich i żydowskich, rosyjskich i niemieckich, amerykańskich i angielskich. I na Powązkach.

Zapomniany zupełnie poeta, Witold Łaszczyński, pisał:

„Powązkowski nasz cmentarz — to przez śmierć wydarta
z księgi życia Warszawy najwspanialsza karta!
Z jakich mężów i niewiast gród syreni słynie,
wypisane masz na niej jak na pergaminie.
Uwieczniło zaś onych nie pióro, lecz dłuto,
Każdą bowiem literę w kamieniu wykuto..."

Jest wiersz Łaszczyńskiego swoistym bedekerem cmentarza powązkowskiego, wymienia — strofa za strofą — imiona z kart historii: hetman Ogiński, Michał Poniatowski, Stanisław Moniuszko, Cyprian Godebski, Antoni Malczewski, który swego grobu tu nie ma, bo „nieznana nikomu mogiła poety", ale uczczono go nagrobkiem.

A w trzeciej alei „grób Pięciu Poległych, stawiąc żywo przed oczy liczniejsze ofiary, budzi w sercach wspomnienie lat dawno ubiegłych..." Jest to grób poległych 17 lutego 1861 roku na Placu Zbawiciela. Ich pogrzeb był jedną z największych wówczas manifestacji narodowych, niejako prologiem Powstania Styczniowego.

Łódź nie ma cmentarza tak starego jak Powązki. Najstarszy łódzki cmentarz znajdował się na dzisiejszym Placu Kościelnym i został zamknięty jeszcze w roku 1822. Został po nim tylko jeden nagrobek, obok kościoła na Starym Mieście. Tak więc Stary Cmentarz przy ul. Ogrodowej wcale nie jest najstarszym łódzkim cmentarzem.

Ale jest to — jak pisze Wacław Pawlak w swojej książce „W cieniu ratuszowej wieży" — cmentarz o szczególnej wartości zabytkowej. Znajdują się tu mogiły wszystkich niemal ludzi, którzy wznosili ongiś zręby przemysłowej Łodzi. Urządzono go w roku 1855 „na opolu za miastem ku zachodowi, w przedłużeniu ulicy Ogrodowej. Pierwotnie opasany był wałem ziemnym i fosą. Dzielił się tak, jak dzieliła się ówczesna społeczność miasta — na trzy odrębne części: dla katolików, prawosławnych i ewangelików.

Spotykamy tu groby najstarszych łódzkich rodzin, jeszcze z czasów Łodzi rolniczej. We wspólnej mogile leżą powstańcy z 1863 roku. Liczne nagrobki kryją szczątki ludzi, którzy tworzyli ongiś środowisko kulturalne Łodzi. Na cmentarzu ewangelickim znajdują się grobowce pierwszych osadników przemysłowych, pionierów włókiennictwa w Łodzi.

W „Kwiatach polskich" pisał Julian Tuwim:

„Gdzie krzyż żelazny zardzewiały
Pół wieku rósł z omszałej skały (...)
Skurczone kępki macierzanki
Zszarzałe wrzosy, niegdyś miodne,
Nieśmiertelników żółte wianki
O grobach oschle szeleszczące...
O, kwiaty — mumie, śmierć wieszczące!
O, złudne życia prochowisko!
O, bezcelowe i bezpłodne,
Jak ja, jak wszyscy i jak wszystko!
Więc nawet tam, w grobowcu prawie
Przy głuchym głazie, skąd czas wyżarł
Nazwisko fundatorki krzyża..."

Listopadowy wieczór rozpali łuny nad cmentarzami. Ostatnie jesienne kwiaty — chryzantemy — zabieleją na grobach. „Szlachetny naród grobom się nie sprzeniewierza" — wołał poeta, a inny dodawał: „Dzieje twojej ziemi na grobowcach czytaj". Cmentarze są strażnikami naszej pamięci.

JERZY WILMAŃSKI

Fot: W. Parys

NAGROBKOWE STROFY

„Trzeba tu przyjść, trzeba tu być,
by podumać nad tym,
co zgasło i już nie zaświeci"

Tak pisał o warszawskich Powązkach Karol Klimek, autor „Przewodnika po cmentarzach". Głęboki sens tej pięknej sentencji odnosi się do wszystkich cmentarzy.

„Miasta umarłych" są zbiorowym pomnikiem dziejów narodów, ich kultury i sztuki. Strofy spotykane na grobach nie tylko postaci wybitnych, znanych twórców — poetów, pisarzy, malarzy, kompozytorów, uczonych, ale także zwykłych szarych ludzi stanowią ogromnie bogaty dokument obyczajowy. Są śladem historii społeczeństw.

W dniu Święta Zmarłych, gdy będziemy myślami przy swoich najbliższych, których nie ma już wśród nas, pomyślmy również o innych. Spacerując po cmentarzach spójrzmy od czasu do czasu na inne groby i pomniki, które są miejscem spoczynku imiennych i bezimiennych. Poczytajmy też strofy na nich wykute.

Poniżej przytaczamy 16 epitafiów pozostawionych na grobach i płytach nagrobkowych — dla potomnych.

Ja już umarłem. Teraz na ciebie czekam. Za tobą znów inny przyjdzie. Wszystkich jednako zagarnia Hades w swój dom.
(nagrobek starogrecki)

„O, człowieku, kimkolwiek jesteś i skądkolwiek przychodzisz, ponieważ wiem, że przyjdziesz; ja jestem Cyrus i ja zdobyłem dla Persów ich królestwo. I dlatego nie okradaj mnie z tej garstki, która pokrywa moje ciało.
(napis, który Cyrus kazał umieścić na swoim grobie)

Przechodniu, powiedz Sparcie: tu leżym jej syny
Prawom jej do ostatniej posłuszni godziny.
(z mogiły Leonidasa i jego wojsk pod Termopilami)

W Mantui ujrzałem światło dnia,
Kalabria mnie zachwyciła.
A teraz przyjął mnie Neapol.
Opiewałem łąki, pola i wojowników.
(napis na grobowcu Wergiliusza koło Neapolu)

Dobry przyjacielu na miłość Jezusa
Nie rozkopuj prochów tu złożonych:
Błogosławiony człowiek,
Co oszczędzi ten kamień,
A przeklęty ten,
Co poruszy moje kości.
(na grobie Szekspira w Stratford-on-Avou)

Tu leży Grek:
Natura mu zawierzyła sztukę,
Sztuka studia,
Iris swoje barwy,
Febus światło,
Lecz nie zawierzył cieni swych
Morfeusz.
Uczcij go i idź dalej.
(na grobie El Greco w Toledo)

Duszę Bogu — życie Ojczyźnie oddała.
(z mogiły Emilii Plater w Kopciowie k/Druskiennik na Litwie)

Przyrody wszelkie dzieło w pomroce leżało.
Bóg rzekł: „Niech będzie Newton" —
— i jasno się stało.
(epitafium Newtona)

Śmierć tu pogrzebała bogaty łup
i jeszcze piękniejsze nadzieje.
Tu leży Franciszek Schubert...
(nagrobek kompozytora)

Lecz zaklinam,
niech żywi nie tracą nadziei.
(z pomnika Słowackiego w kościele krzemienieckim)

Gdzie jest skarb twój, tam serce twoje.
(napis w kościele św. Krzyża w Warszawie, w miejscu gdzie znajduje się serce Chopina)

Jeśli przylecisz tu ptaku,
zanuć najpiękniejszą ze swych pieśni,
(epitafium na bezimiennym grobie na cmentarzu Père Lachaise w Paryżu)

...Senator poeta zawołany mówca wyborny
sławny przodków czciciel
wierny dziejów ojczystych miłośnik i pisarz
wszystko cokolwiek sprawił mówił pisał
cokolwiek w duszy karmił niespożyty Polak
świętą miłością ojczyznę rozpromieniał
przed śmiercią taką na swoim grobie kazał wykuć skargę
roki żyłem
ojczyznę kochałem
umieram na wygnaniu
w Paryżu 21 maja 1821 r.
(z płyty nagrobnej Juliana Ursyna Niemcewicza w kolegiacie św. Marcina w Montmorency koło Pałyża)

Bo piękno na to jest, by zachwycało
Do pracy — praca, by się zmartwychwstało
(Promethidion)

Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek
(z płyty zbiorowej mogiły, w której spoczywa m.in. Cyprian Kamil Norwid na cmentarzu w Montmorency)

Serce serc.
(z grobu Bolesława Prusa na Powązkach w Warszawie)

Tu spoczywa
nieznany żołnierz polski
poległy za ojczyznę.
(z Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie)

Wyszukał, opracował:
MARIUSZ HORTYŃSKI

Pamięci Władysława Piekarskiego portiera w Klubie Dziennikarza.

☆ ★ ☆

...Te opuszczone, zapuszczone i zapadłe groby, gdzie jedynie rodzina nieboszczyka-sąsiada stawia przez litość jakiś ogarek... Na tabliczkach zatarte imiona i nazwiska tych, którzy kiedyś byli: byli i się zmyli, i nawet tę żałosną resztkę „pobytu" wśród nas, tę tabliczkę i spłowiały na słońcu napis zaciera i zmywa listopadowa mgła. Przystając nad takimi grobami, nad takimi tabliczkami, które mogą zainteresować kogoś już tylko przez czczą ciekawość, mam wrażenie, że wskrzeszam tych ludzi na chwilę, chociaż niekiedy nie ma nawet tabliczki a tylko pewność, że ktoś był przedtem. Kto to był — czego chciał?...

☆ ★ ☆

Niewielu z nas, przeciętnych śmiertelników, przetrwa w pamięci pokoleń i na dobrą sprawę jeśli nie wnuk, to prawnuk nie będzie już pamiętał... A synowie, a córki prawnuków... Bez specjalnych upodobań genealogicznych nie będą nawet podejrzewać naszego istnienia; gdy ponownie rozkopią naszą kwaterę, gdy ślad po naszym życiu rozetrze się na ziemi a balast pamięci przesypie do ostatniego ziarnka wśród potomnych — czy jeszcze — jakoś — będziemy może obecni?

☆ ★ ☆

Życie jako kilkadziesiąt lat między narodzinami a śmiercią, i życie jako biologiczne kontinuum, od prostych form białka do— ? Jako pociąg, do którego my wsiadamy tylko na parę stacji i jedziemy, czasem nie w pełni świadomi, że ta jazda w jednym przedziale czasu, owa zadziwiająca dosyć na tle wieczności jednoczesność naszych istnień jest chyba podstawą dostateczną, by kochać się jakąś ludzką miłością. „Kochaj nieprzyjacioły swoje..." — nie, nie aż tak. Może jednak aprioryczny szacunek dla N.N. Pasażerów.

☆ ★ ☆

— Czy ty wierzysz, że umrzesz?
— Ależ ja wiem, że umrę!
— Ja wiem, że ty wiesz. Ale ja pytam, czy w to wierzysz...
Dialog, który pamiętam dobrze, bo tak prawdę mówiąc to i sam wiem, że umrę, chociaż w to nie wierzę...

☆ ★ ☆

Nie wystarczy ubrać trupa w szaty pogrzebowe, trzeba jeszcze ubrać jego życie w szatę słowną. Lapidarnie, krótko, treściwie. „Nieoceniony...", „Nieodżałowanej pamięci..."
Powiedzieć można — każdy pracuje na swój nekrolog, pracuje całym swoim życiem, oczywiście. A przecież są tacy, po których śmierci nie dobiera się słów „Nieoceniony...", „Nieodżałowanej pamięci..."; zdaje się, że znakomita większość umiera bez nekrologów bez jednoznacznego, ogólnego i powszechnego odczucia, „jaka szkoda, że umarł". Większość ludzi umiera niejednoznacznie pod tym względem.

☆ ★ ☆

Co zostało po moim pradziadku? Zasadzony orzech, jakiś przepis na konfiturę, pokutujące w rodzinie powiedzonko. A przecież chciałbym wiedzieć — zamówiłbym nawet u odpowiedniego uczonego rozprawkę na ten temat — „Jaki był wpływ mojego pradziadka na mnie", poza oczywiście wpływem genetyczno-prokreacyjnym...

☆ ★ ☆

Wpływ, jaki wywieramy za życia na bliźnich. Często fałszywie oceniany. Czasem nasze małe, dla nas niewidoczne nawet gesty, odruchy, nieuświadamiane w pełni myśli i przypadkowe słowa okazują się śladem trwalszym niż to, co realizowaliśmy jako wielkie decyzje; które czasami umierają razem z nami, a czasem — jeszcze wcześniej.

☆ ★ ☆

Był portier w Klubie Dziennikarza, Władysław Piekarski.
Był to człowiek cichy, dobry, którego obecność wprawiała mnie w dobry humor, bo był to człowiek właściwy. Nieco staroświecki, sztywny, ale myślę, że pod tą sztywnością nie ja jeden dostrzegałem pogodę ducha, życzliwość, jakąś najprostszą ludzką dobroć. Umarł cicho, niepostrzeżenie, „na palcach", i odtąd jest tu w Klubie puste miejsce, przynajmniej dla mnie. Tak mi zostało już, i ilekroć wchodzę do Klubu myślę: „Ot, nie ma już Piekarskiego". Dzięki niemu — chociaż wymienialiśmy tylko „Dzień dobry", „Do widzenia" i inne zdawkowe uprzejmości — staram się czasami myśleć lepiej, szlachetniej, że się wyrażę stosownie: staroświecko: a podobno co człowiek myśli, tym się staje i jak myśli, tak żyje. Wpływ tego człowieka na mnie jest dla mnie oczywisty — szkoda, że nie powiedziałem mu tego wcześniej. Jeden z tych śladów, który być może poprowadzę poza siebie, dalej.

MARIAN MISZALSKI

U PRZYJACIÓŁ

Jednym z największych muzeów świata będzie Państwowa Galeria Obrazów ZSRR, której budowę rozpoczęto w centrum Moskwy. Powierzchnia ekspozycyjna tego obiektu wyniesie ok. 25 tys. m kw. Budynek galerii obrazów wzniesiony zostanie w Parku Sztuk, położonym nad brzegiem rzeki Moskwy. Eksponowane tutaj będą najwybitniejsze prace artystów ze wszystkich republik Kraju Rad powstałe po 1917 r. Natomiast dzieła malarzy rosyjskich z okresu przedrewolucyjnego pozostaną w salach Galerii Trietiakowskiej.

W Państwowej Galerii Obrazów ZSRR oprócz sal ekspozycyjnych znajdować się będą również sale odczytowe i kinowe, pracownie konserwatorskie, biblioteka. Niedaleko od galerii wzniesiony zostanie obiekt przeznaczony na wystawy urządzane przez Związek Artystów Malarzy ZSRR. Pierwsza część galerii zostanie otwarta za rok. Zaprezentowana zostanie w niej jubileuszowa ekspozycja poświęcona 60 rocznicy Rewolucji Październikowej. Cały gmach oddany zostanie do użytku w roku 1980

* * *

Niemiecka Republika Demokratyczna należy do krajów o najwyższych wskaźnikach produkcji wydawniczej, na jednego mieszkańca przypada rocznie siedem i pół książki. Ubiegła pięciolatka była okresem znacznego skoku ilościowego w produkcji wydawniczej, o czym świadczą następujące porównania: w 1970 r. ukazało się 5.234 tytułów w 122 milionach egzemplarzy, a w 1975 r. 6.003 tytuły w 130 mln egz. Ta wysoka dynamika produkcji wydawniczej rosnąć będzie nadal, co pozwoli na osiągnięcie w roku 1980 produkcji ok. 6.800 tytułów w łącznym nakładzie prawie 155 mln egz.

Poważną część tej produkcji zajmuje literatura polityczna i społeczna, osiągając nakład około 30 mln egz. rocznie. Plon wydawniczy ostatniego roku w ujęciu tematycznym przedstawia się następująco: na utwory beletrystyczne przypada 1.100 tytułów, na książki poświęcone technice, przemysłowi, rolnictwu — 600 tytułów, na wydawnictwa przyrodniczo-matematyczne — 400 tytułów, na prace medyczne — 200 tytułów, na książki dla dzieci i młodzieży — 600 tytułów.

Dużą wagę przykłada się do dzieł literatury światowej o czym świadczy fakt, że co siódma książka jest tłumaczeniem z języka obcego. Rocznie dokonuje się przekładów z ponad 40 języków, a w samym 1975 roku ukazało się 925 książek autorów zagranicznych.

Do najpoważniejszych osiągnięć edytorskich ostatnich lat należy wydanie dzieł Marksa i Engelsa w 40 tomach o łącznym nakładzie 40 mln egz., jak również dzieł Lenina w nakładzie 17 mln.

Wraz z rozwojem ruchu wydawniczego wzrasta czytelnictwo książek. Co czwarty obywatel NRD jest stałym czytelnikiem którejś z licznych bibliotek publicznych, związkowych czy naukowych. Ponad 4,6 mln czytelników wypożycza przeciętnie po jednej książce na miesiąc.

* * *

Niedawno zakończyły się na Białorusi Dni Polskiej Literatury. Początkowo planowano zorganizowanie ok. 300 większych imprez. Okazało się jednak, że podczas „Dni" odbyło się w fabrykach, sowchozach i kołchozach, wyższych uczelniach ok. 25 tys. spotkań i wieczorów literackich, odczytów i wystaw. Prawie każda szkoła i biblioteka urządzała wieczornice, pogadankę, wystawę lub pokaz filmu poświęcone polskiej literaturze i kulturze. W uroczystościach wzięła udział delegacja Związku Literatów Polskich. Spotkania z polskimi pisarzami cieszyły się dużą frekwencją i zainteresowaniem. W tym czasie tylko jedna księgarnia „Drużba" w Mińsku, specjalizująca się w sprzedaży zagranicznych wydawnictw, sprzedała przeszło 8 tys. egzemplarzy książek polskich autorów. Warto przy okazji przypomnieć, że rocznie w Związku Radzieckim sprzedaje się ok. 2,5 mln egz. książek z Polski, z czego przeszło ćwierć miliona kupują mieszkańcy Białorusi.

Dni Literatury Polskiej były również okazją do przedstawienia mieszkańcom Białorusi szerokiej panoramy dorobku naszej kultury. W stolicy republiki została otwarta wystawa fotograficzna pn. „Polska między VI a VII Zjazdem". W wielu miejscowościach zorganizowano projekcje filmów dokumentalnych (zestaw obejmował przeszło 50 tytułów). Każdego dnia, niezależnie od relacji z uroczystości, ukazywały się w prasie artykuły poświęcone polskiej literaturze i kulturze oraz osiągnięciom budownictwa socjalistycznego w Polsce.

SZWECJA

PO WYBORACH

Choć od wyborów do parlamentu szwedzkiego — Riksdagu — minęło już dość sporo czasu, prasa zachodnia nadal poświęca im dużo uwagi, analizuje ich wyniki i snuje przeróżne domysły.

Jest to zrozumiałe, bowiem przesunięcie sił w parlamencie oddało władzę w kraju koalicji trzech partii burżuazyjnych: Partii Centrum, (chłopska), Umiarkowanej Partii Koalicyjnej (działała jako Partia Konserwatywna) i Partii Ludowej (liberałowie). Zresztą w wyniku minimalnej różnicy 1,2 proc. głosów.

Występując na konferencji prasowej Olof Palme wyjaśnił porażkę swojej partii w wyborach demagogiczną kampanią opozycji, zajmującej kluczowe pozycje w środkach masowej informacji. Istotnie, wyborom towarzyszyła szumna kampania propagandowa, rozkręcona przez opozycję burżuazyjną spekulującą na trudnościach wywołanych kryzysem ekonomicznym. Wiadomo, ile pustych haseł obliczonych na poklask rzucają partie burżuazyjne podczas kampanii wyborczych. Ale nie w tym rzecz. Główną rolę w porażce szwedzkich socjaldemokratów odegrała niekonsekwencja partii rządzącej, która — głosząc socjalistyczne cele — nie wystąpiła jednak zdecydowanie przeciwko władzy kapitału. Dopóki w ekonomice panują monopole, wszelkie plany jakichkolwiek poważnych reform socjalnych w interesie ludzi pracy są nierealne.

Szwedzka Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza pozostaje jednak nadal największą partią w kraju, w wyborach otrzymała 43 procent głosów i 150 miejsc w Riksdagu (przedtem 156 miejsc).

Gotowość do sformowania trójpartyjnego gabinetu zgłosił przewodniczący Partii Centrum, 50-letni Thorbjon Felldin, właściciel fermy hodowlanej. Wielu zachodnich obserwatorów politycznych przewiduje, iż szwedzki rząd koalicyjny zetknie się z poważnymi rozbieżnościami wewnątrz koalicji, i to zarówno z silną opozycją ze strony związków zawodowych, jak i ze strony socjaldemokratów.

Najwięcej domysłów wzbudza zagraniczna polityka nowego rządu, chociaż w zasadzie jej linia zarysowała się już podczas kampanii wyborczej. Przedstawiciele partii burżuazyjnych występowali za utrzymaniem dotychczasowego kursu zagranicznej polityki Szwecji, jednakże krytykowali jej „zbyt drastyczny styl". Głównym przedmiotem ataków była współpraca z Kubą, popieranie narodowowyzwoleńczych ruchów w Afryce, antyamerykańskie wystąpienia podczas wojny w Wietnamie.

A oto co na ten temat pisze prasa na Zachodzie:

W przededniu wyborów do Bundestagu springerowska gazeta „Die Welt" zamieściła artykuł o zwycięstwie bloku partii burżuazyjnych nad szwedzkimi socjaldemokratami, publikując go pod tytułem: „Klęska socjalizmu w jego własnym raju". Nasuwa się pytanie, czy można mówić o socjalizmie w Szwecji? — pyta publicysta **„Unsere Zeit"**.

Powołajmy się na pierwsze kryterium socjalizmu: kto jest właścicielem środków produkcji? Udział państwowego sektora w ekonomice Szwecji stanowi mniej więcej pięć procent. Koncentracja kapitału nie ominęła tego „socjalistycznego raju". W styczniu 1975 roku dziennik szwedzkich przedsiębiorców — „Vekans Afferer" opublikował artykuł na temat 25 największych monopoli w kraju, tworzących tzw. „złoty klub". Z artykułu wynika, iż w okresie od 1964 do 1974 roku liczba pracowników tych 25 koncernów niewiele wzrosła. Najpotężniejsze spośród największych monopoli — koncerny Vallenbergów — zwiększyły w tym okresie czasu liczbę swoich pracowników z 260 do 400 tysięcy osób.

Socjaldemokratyczny rząd Palme nie zdołał zahamować, charakterystycznego dla imperializmu, eksportu kapitału przy jednoczesnym zmniejszeniu miejsc pracy w kraju. Szwedzkim koncernom udało się w ostatnich latach zwiększyć liczbę pracowników w swoich zagranicznych filiach do 300 tysięcy robotników i urzędników, to jest podwoić ją. W podstawowych przedsiębiorstwach tych firm, znajdujących się w Szwecji, liczba miejsc roboczych zmniejszyła się w tymże czasie (1964—1974) o 20 tysięcy. Dwadzieścia procent personelu szwedzkich firm pracuje poza granicami kraju. W ostatnich latach monopole zainwestowały w swoje zagraniczne filie pięć razy więcej środków niż w Szwecji. Suma ta wynosi średnio 22 procent wszystkich rocznych wydatków inwestycyjnych szwedzkich monopoli (w USA wskaźnik ten wynosi 20 procent).

Gospodarka rolna w Szwecji od wielu lat także przeżywa proces koncentracji. W okresie od 1951 do 1974 roku liczba gospodarstw farmerskich zmniejszyła się o ponad połowę. Obecnie jest ich 133 tysiące. 49 procent przedsiębiorstw rolnych dostarczających surowce dla przemysłu spożywczego (fermy mleczarskie, młyny, rzeźnie), a także firmy odnajmujące technikę rolniczą oraz banki rolne znajdują się w rękach Związku Farmerów, kontrolowanego przez wielkich obszarników i ich Partię Centrum.

A teraz drugie kryterium. Pytanie: w rękach jakiej klasy znajduje się władza polityczna? Wystarczy rozpatrzeć tylko jeden aspekt tego zagadnienia, a mianowicie — kto kontroluje środki masowej informacji.

Otóż do koncernu prasowego Bonerow należą, na przykład, takie codzienne gazety, jak „Dagens Nyheter" i „Expressen", dwie trzecie szwedzkich tygodników i 70 procent pozostałych periodyków. Rząd socjaldemokratyczny stojąc u steru władzy 44 lata, nie ma ani jednej własnej gazety codziennej, która by się rozchodziła po całym kraju i może się jedynie opierać na związkowej gazecie „Aftonbladet". W związku z porażką socjaldemokratów w ogólnych wyborach Palme powiedział, że zazwyczaj woli zadowalać się milczeniem. „Wszyscy byli przeciwko nam — i przemysłowcy i środki masowej informacji" — powiedział były prezes ministrów.

Szwedzkim robotnikom i urzędnikom rzeczywiście udało się zdobyć wysoki, jak na stosunki w społeczeństwie burżuazyjnym, standard życiowy i szerokie ubezpieczenia społeczne. Dotyczy to zarobków, świadczeń socjalnych i możliwości zdobycia wykształcenia. Rządy socjaldemokratyczne, w trosce o zabezpieczenie trwałości ustroju kapitalistycznego, starają się o ukierunkowanie ruchu robotniczego na drogę reformistyczną, dzięki czemu wprowadziły w życie szereg zmian. Ale kryzys kapitalizmu nie zatrzyma się u granic Szwecji, a „system socjalnych regulacji" okazał się w tym kraju tak samo wątpliwy, jak w RFN. Ceny rosną, zarobki za nimi nie nadążają. Zasiłki dla bezrobotnych wypłaca się z funduszów państwowych, a to oznacza, że kurczą się środki na budownictwo komunalne.

Szwedzcy socjaldemokraci przegrali w wyborach nie dlatego, że zrobili „bardzo dużo ustępstw wobec socjalizmu", a właśnie dlatego, że w ogóle wyrzekli się jakichkolwiek socjalistycznych przeobrażeń. Przez 44 lata władzy socjaldemokratów Szwecja przeszła drogę od kraju agrarnego do państwa monopolistycznego.

Realne przyczyny porażki socjaldemokratów — czytamy w paryskiej **„Quotidien de Paris"** — są o wiele głębsze niż można by o tym sądzić na pierwszy rzut oka, i o wiele bardziej złożone, a ponadto pouczające dla wszystkich socjalistycznych i socjaldemokratycznych partii Europy.

W ciągu ostatnich lat zaczęła się zarysowywać swego rodzaju sprzeczność. Z jednej strony Socjaldemokratyczna Partia Szwecji cieszy się poparciem przede wszystkim w ruchu robotniczym, silnym i bogatym w tradycje i sukcesy, ale bez opracowanej alternatywy własności prywatnej. Z drugiej strony przedsiębiorcy stale umacniają swoje wpływy i rozszerzają inwestycje za granicą. Ta sztuczna równowaga zaczęła się z wolna chwiać w związku z rosnącym wysysaniem szwedzkiej ekonomiki na rynek światowy. Twarde rygory międzynarodowej konkurencji wywierały wpływ na wewnętrzną socjalną i ekonomiczną strukturę kraju, rodząc wzmagającą się presję ze strony liderów przemysłu, pogoń za zwiększeniem produkcji i rozszerzeniem eksportu kapitału, co otworzyło nowe miejsce pracy nie tyle w Szwecji, ile poza jej granicami.

Ta ewolucja, która zaczęła się około lat 60-tych, groziła z czasem zaprzepaszczeniu zdobyczy socjalnych, a w każdym razie już przeciwdziałała ich rozszerzaniu. Problem, w czyich rękach spoczywa cała władza ekonomiczna (który tak długo ignorowano), wyłonił się teraz i stanął przed szwedzkimi socjaldemokratami, urastając do rangi problemu życia lub śmierci. Szwedzka burżuazja nie omyliła się w tym wypadku: żeby być konsekwentnym, reformizm wcześniej lub później powinien wyjść poza ramy reform jako takich.

W planie ekonomicznym ta ewolucja szwedzkiego społeczeństwa rodziła także socjalne następstwa, których socjaldemokraci nie przewidywali, być może, w dostatecznym stopniu. Chodzi tu o rozszerzenie sfery usług, i co za tym idzie, o wzrost warstwy społecznej, nie całkiem skłonnej do utożsamiania się z partią robotniczą. Oprócz tego dążenia społeczeństwa zaczynają coraz bardziej odbiegać od linii polityki socjaldemokratów w takich zagadnieniach, jak stopa życiowa, polepszenie warunków pracy i ochrona naturalnego środowiska człowieka. Ta warstwa społeczna głosowała na konserwatystów, znęcona rozkręconą przez Partię Centrum demagogiczną kampanią przeciwko budowie elektrowni jądrowych. Zagadnienia jakości życia, stopy życiowej i ochrony środowiska osiągnęły obecnie nową skalę w ramach ruchu socjaldemokratycznego.

Współczesny ruch socjaldemokratyczny nie znalazł jeszcze swojej własnej drogi w warunkach presji kapitalistycznej ekonomiki, która przeszkadza ruchowi na drodze do socjalizmu. Szwedzkie doświadczenie było próbą znalezienia tej drogi. I dlatego porażkę poniesioną przez szwedzkich socjaldemokratów należy głęboko przemyśleć i to nie tylko w Szwecji. **„Newsweek"** podkreśla, iż nowy rząd stoi w obliczu dużych trudności. Kiedy Felldin, lider Partii Centrum, sformuje swój koalicyjny rząd, on i jego partnerzy napotkają sporo niemałych przeszkód, trzeba się bowiem dogadać w wielu spornych problemach. Jakich by kompromisów nie osiągnięto, mówią ludzie dobrze poinformowani, pryncypialne rozbieżności między partnerami w koalicji nie mogą nie wywołać napięć.

Przed wyborami przywódcy związków zawodowych zawarli wstępne porozumienie z rządem Palme, w sprawie planu reformy podatkowej, która zmniejszyłaby obciążenia podatkowe świata pracy i zwiększyła podatki od zysków przedsiębiorców. Konserwatyści są przeciwnikami tego planu i będą walczyć, żeby się Felldin na to nie zgodził, kiedy problem stanie na porządku dnia. Jeśli do tego dojdzie, to — zgodnie z prognozami niektórych obserwatorów — związki zawodowe mogą oddać cios, ogłaszając strajk. „Naszym pierwszym zadaniem będzie targowanie się ze związkami zawodowymi — powiedział jeden z przedstawicieli Partii Centrum. — Nie zdążymy jeszcze zająć naszych miejsc, jak już będziemy się musieli zmierzyć z najtrudniejszym problemem".

Spotkają się oni także z naciskiem ze strony socjaldemokratów; partia ta pozostaje nadal największą i najsilniejszą polityczną partią w Szwecji. Chociaż Palme jest bez wątpienia strapiony swoją przegraną, to jednak obiecał stworzyć „twardą i efektywną opozycję" i z pewnością wykorzysta każdą oznakę słabości ze strony liderów koalicji na swoją korzyść.

JERZY CZECH

WCIĄŻ WYRÓWNANE SZANSE
NOWY ETAP WALKI O WŁADZĘ
55 POROZUMIENIE

Sytuacja przedwyborcza w Stanach Zjednoczonych — na krótko już przed datą głosowania — **nie daje wyraźnej przewagi żadnemu z dwóch czołowych kandydatów na prezydenta.** Różne sondaże różnie określają pozycję Forda i Cartera. Kiedy przed kilku dniami minister rolnictwa naubliżał Murzynom amerykańskim — mimo, że Ford natychmiast zwolnił go z urzędu, bojąc się o głosy wyborców kolorowych, **wskazówka wyborcza odchyliła się w stronę Cartera.** Nie decyduje to jeszcze o niczym, ale świadczy, jak zrównoważone są pozycje obu kandydatów.

Podobno w tegorocznych wyborach weźmie udział rekordowa liczba wyborców, chociaż tylko część z nich skorzysta z prawa wyborczego. Jeszcze bardziej utrudnia to ocenę sytuacji. Komentatorzy skłonni są jednak uważać, że nad „uśmiechem" Cartera weźmie górę „doświadczenie" Forda i że dla wyborców pewniejsza okaże się polityka już znana niż ta nie znana, którą przyniósłby do Białego Domu kandydat demokratów. Chodzi tu o politykę wewnętrzną. Kandydat demokratów prezentuje siebie jako zwolennika głębszych reform, uważając na przykład, że głównym złem w życiu USA jest bezrobocie, które należy likwidować przez rozwój budownictwa. Opowiada się też za społeczną powszechną służbą zdrowia. Ford dla odmiany na plan pierwszy wysuwa walkę z inflacją.

W polityce zagranicznej — jak już to wyjaśnialiśmy — **różnice między rywalami nie są duże.** Obaj opowiadają się za dyskusją i współpracą ze Związkiem Radzieckim, ale obaj też zapowiadają nieosłabianie potęgi militarnej USA. Inne natomiast wykazują podejście do niektórych problemów szczegółowych.

Co więc zadecyduje? O tym się przekonamy za kilka dni.

Teraz natomiast podkreślmy duże zainteresowanie amerykańskimi wyborami w świecie. Jak wiadomo, prezydent USA wyposażony jest w dużą władzę i wywiera rzeczywisty wpływ na politykę państwa. Stany Zjednoczone wiele zaś znaczą na arenie międzynarodowej.

W rozwoju światowego odprężenia nie powinno być przerw, a tym bardziej zakłóceń. A to zależy także od polityki amerykańskiej. Stąd listopadowe wybory budzą szerokie zainteresowanie.

Zmieńmy temat komentarza i przenieśmy się **do Chin.** Jak doniosły agencje, nowym przewodniczącym KC KP Chin został Hua Kuo-feng. Można się było tego spodziewać, ponieważ jego pozycja za życia Mao Tse-tunga na to wskazywała. Ale nominacja ta, jak się dowiadujemy, nie przyszła łatwo. Kto przeciwstawał się tej kandydaturze można domniemywać z kampanii obecnie w Chinach prowadzonej, a **wymierzonej przeciwko tzw. radykałom.** Przypomnijmy, że na czele tej grupy stoi żona zmarłego Mao — Ciang Cing. Agencja Sinhua, a więc to już oficjalne potwierdzenie, poinformowała, że w Pekinie odbył się wiec, na którym manifestujący wyrażali radość „z wielkiego zwycięstwa, jakim było rozbicie spisku antypartyjnego kliki Wang Hung-wena, Czang Czun-ciao, Ciang Cing i Jao Wen-juana, zmierzającego do uzurpowania władzy w partii i państwie". Z tego samego komunikatu dowiadujemy się, iż owa „czteroosobowa banda" „sprzeciwiała się proletariackiej rewolucyjnej linii przewodniczącego Mao w wielu sprawach polityki wewnętrznej i zagranicznej". Bodaj po raz pierwszy **ujawniono w ten sposób, że rozbieżności wśród maoistów dotyczyły nie tylko spraw wewnętrznych, ale również zagranicznych.** Niektórzy korespondenci, np. AFP, wyciągają stąd wniosek, że być może nastąpią teraz zmiany w chińskiej polityce zagranicznej.

Za wydarzenie tygodnia można również uznać **55 już porozumienie w Libanie o przerwaniu ognia.** Wszystkie walczące strony oświadczyły, że będą w pełni przestrzegać porozumienia.

Tymczasem w Kairze trwają dyskusje arabskich ministrów spraw zagranicznych na temat składu i wyposażenia arabskich sił pokojowych, które mają liczyć 30 tysięcy żołnierzy i nadzorować warunki zawieszenia broni.

Plan przywrócenia pokoju w Libanie, który opracowany został na konferencji w Rijadzie, **zakłada wycofanie się walczących stron na pozycje, zajmowane przed rozpoczęciem działań,** a więc sprzed kwietnia 1975 roku. Oznaczałoby to na przykład wycofanie się oddziałów prawicowych z palestyńskiego obozu Tel Al-Zaatar.

Radio bejruckie stwierdziło, że „cały naród wstrzymał oddech, czekając na to, czy nowy tekst pokojowy doprowadzi do uratowania kraju".

Na zakończenie przeglądu odnotujmy, że sekretarz generalny ONZ przedłożył uczestnikom XXXI sesji Zgromadzenia Ogólnego **trzeci raport o sytuacji w Chile.** Raport potwierdza panoszące się tam bezprawie i torturowanie ludności, zauważa, że wszystkie apele o zaniechanie tych praktyk są lekceważone przez rząd chilijski i domaga się podjęcia konkretnych kroków w imieniu międzynarodowej społeczności.

W. SŁAWSKI

TELEWIZJA

CO KTO LUBI

Telewizja, jak mało kto, ma tę cudowną umiejętność wprowadzania nas na przemian w stan zachwytu, wzruszeń, irytacji i — także — szewskiej pasji. Może zresztą tak powinno być?

Próbowałem sobie nieraz wyobrazić telewizję idealną. Program, w którym bezustannie mielibyśmy audycje tylko wysokiej klasy, teatr na najwyższym poziomie, informację szybką i podaną atrakcyjnie. Myślę, że taka telewizja jest w ogóle niemożliwa, choćby z tego prostego powodu, że to, co dla jednego będzie znakomite i pasjonujące, dla drugiego będzie głupie i nudne.

Program telewizyjny determinowany jest ową wielomilionową rzeszą odbiorców o zróżnicowanym poziomie, gustach, wrażliwości, poczuciu humoru i wiedzy. Dlatego konieczna jest chyba owa eklektyczność telewizyjnego programu. Pod warunkiem, że będzie się ona mieścić w przyzwoitych granicach.

Dla mnie, na przykład, irytujący, a miejscami śmieszny jest program **Mieczysława Pawlikowskiego „Co kto lubi"**. „Zagrywka" na poufałość skrzypi dość tanim aktorstwem, repertuar też niezbyt rewelacyjny, razi sztuczność owej kawiarenki z upozowaną publicznością... Ale mieści się ów program w przyzwoitych granicach; wiadomo, że ma on bardzo wielu zwolenników, którzy dobrze się czują w tej sztucznej aurze wytworzonej sztucznie przez dobrego przecież aktora.

Nie mam więc nic przeciwko kawiarence **Mieczysława Pawlikowskiego**, skoro mogę od czasu do czasu zobaczyć programy z cyklu **„Róże Montreux"**, że mogę zobaczyć (zbyt rzadko niestety) **„Wieczór z balladą"**, że spędziłem parę wieczorów z **Aleksandrem Bardinim.**

Nie jest klęską słaby program czy nawet słaby cykl audycji, jeśli nie są one jedyną pozycją telewizji. Jeśli te inne, lepsze — są również, gotów jestem zgodzić się na ową eklektyczność programu.

Nie zachwycił nowy program **„Ludwik Sempoliński i jego uczniowie"**. Pisałem o tym dwa tygodnie temu, a ostatni blok Redakcji Publicystyki Kulturalnej jeszcze mnie w owym braku zachwytu utwierdził. Profesor **Sempoliński** miał bardzo wielu uczniów, program więc można ciągnąć w nieskończoność. Ale po co? Zdaje się, że nikt z wychowanków mistrza nie przerósł, niewielu mu dorównało...

Był tylko jeden kongenialny, żywiołowy fenomen estrady — **Bohdan Łazuka**. Piszę „był", bo tak się jakoś stało, że stanął w miejscu i dziś tylko powiela z play-backu siebie sprzed lat. Skłonny jestem przypuszczać, że mniej tu winy samego artysty, co raczej sytuacji, układów, pokus, w które wpada każdy „młody zdolny". Potem określenie „młody" traci swój sens, a pozostaje tylko niewiele mówiące „zdolny", określenie dla artysty w średnim wieku także raczej bez sensu.

Profesor **Sempoliński** na tle wychowanków zapewne ma swoich wiernych widzów, niech więc ich bawi tak długo, jak długo będzie to bawić realizatorów. Bo przecież jednocześnie telewizja robi świetny film **„Rekolekcje dla głuchoniemych"** — próbę zderzenia literackiego opisu miasteczka Kowal w książce **Krzysztofa Skudzińskiego** właśnie z tym rzeczywistym, realnym światem ludzi z owego miasteczka. Rzecz jest i do śmiechu i do gorzkiej zadumy.

Niech sobie lecą w niedzielę wyjątki z bogatej twórczości reżyserskiej **Janusza Rzeszewskiego**, czyli program o tym, co nam się n i e podobało przed paru laty. Bo przecież ta sama telewizja daje nam w poniedziałek znakomity spektakl **Johna Osborne'a „Nie do obrony"** — jedną z najwybitniejszych sztuk tego pisarza. Jest to opowieść o współczesnym człowieku z jego lękami, obsesjami, niemożnością porozumienia, pokazująca wielkie osamotnienie we współczesnym świecie...

Jeden z krytyków angielskich napisał: **„Osborne odkrył tę głęboką prawdę, że w gruncie rzeczy nikt nikogo nie słucha, a najmniej słuchają ci, których uwaga jest najbardziej rozmówcom potrzebna. Zaczynamy się z niepokojem zastanawiać do jakiego stopnia nasze życie zależy od dobrej woli innych".**

Nikt nikogo nie słucha... To chyba prawda, ale telewizji słuchają wszyscy. I może dlatego potrzebna jest na szklanym ekranie gorzka prawda Osborne'a i słodka rewietka z nierówno tańczącymi girlsami.

TELEMAN

FILM

NASZ STARY znajomy-AFONIA

Na słabo zasiedlonych obszarach filmowej komedii pojawia się czasem nieśmiało utwór istotniejszy — zazwyczaj mniej reklamowany i mniej błyszczący od kolorowych, renomowanych przygód inżyniera Karwowskiego. Ostatnio jest to, strasząca pustymi rzędami w „Iwanowie", komedia Gieorgija Danielii „Afonia". Inna sprawa, że „komediowość" tego filmu jest rzeczą dyskusyjną — biorąc pod uwagę ogólnie przyjęte kryteria. Oczywiście, jeżeli uznawać za komedię film zawierający tzw. gagi, to „Afonia" dałby się zdefiniować w taki sposób, ale nie jest to przecież najistotniejsze. Początkowo jednak odnosimy wrażenie, że znajdujemy się w świecie skrajnie skonwencjonalizowanym: bohater tytułowy — życiowy nieudacznik, lekkoduch i w dodatku hydraulik-partacz, to postać nienowa w filmowej produkcji satyryczno-dydaktycznej. Zachowanie naszego bohatera jest dość charakterystyczne: w przyzakładowej stołówce Afonia dolewa pod stołem z przemyconej butelki sąsiadowi, który niepewnie wykręca się alergią; u śmiesznego pana naukowca popsuty kran reperuje nasz bohater, inkasując dodatkowe pięć rubli („tych części nie ma w sprzedaży, mam tylko japońską, drogą uszczelkę, ale..."). Wydaje się więc z pozoru, że idzie tu o sprawy czysto interwencyjne. Lecz, jak okazuje się po pewnym czasie, nie chodzi o ostrą krytykę usług świadczonych „dla" ludności, ani napiętnowanie naruszania dyscypliny pracy. Podstawowym zaskoczeniem jest tu bowiem konstatacja wbrew pozorom nowa: z niejakim zdziwieniem dostrzegamy, że bohater filmu — zewnętrznie rodem z gazetki ściennej — dysponuje na swój prywatny użytek czymś tak niecodziennym, jak życie wewnętrzne, wspomnienia, ambicje. „Czy ty Afonia jesteś zadowolony z życia?" — pyta go gruby kumpel-pijaczek — „bo tak filozoficznie rzecz biorąc, to ja nie". „O, tak filozoficznie, to ja też nie" — odpowiada Afonia i wtedy właśnie zaczyna kiełkować pierwsze, niepewne jeszcze podejrzenie, że coś tu nie jest w porządku. Później już prawie nabieramy pewności. Jaskrawa bylejakość życia bohatera nie zostaje — o dziwo — spożytkowana na usługi moralistyki filmowej, fabuła zwalnia tempo, „gagów" coraz mniej, a wniknięcie w świat wewnętrzny bohatera nie szuka bynajmniej odwołań i uzasadnień w jawnej tezie publicystycznej. Świat przeżyć bohatera — naiwny, pozbawiony głębszej autorefleksji — nie stara się wcale dopomóc w rozwiązaniu zagadki: dlaczego Afonia jest inny niż grzeczni i nie rzucający się w oczy pracownicy jego zakładu i ludzie napotykani na ulicy. W dodatku — jak na utrapienie — bohater ani rusz nie ma zamiaru wygłaszać zdań uzasadniających swoje, jakże naganne postępowanie, swoją inność.

Może Afonia nie chce żyć jak wszyscy? — Tak, to na pewno, ale jak chce żyć? Czy można powiedzieć, że nie odpowiadają mu obserwowane obok siebie wzory, czy gardzi życiowym szablonem, konwenansem? Te wszystkie — cokolwiek śmieszne — ankietowe pytania, ustawiają się jakby obok sprawy, albo lepiej obok Afonii. Z pewnym zdziwieniem stwierdzamy ich absolutną nieprzystawalność do postaci, do opisywanego świata. Prasowi recenzenci kwitowali problem w dwojaki sposób. Jedni w ogóle nie przejrzeli przez oczekiwany schemat i z uznaniem odnajdywali w filmie Danielii zdecydowaną krytykę niespołecznej postawy bohatera. Inni, o wiele bardziej spostrzegawczy, a zarazem podejrzliwi, całkowicie odwracali sprawę. Widzieli w „Afonii" krytykę akurat systemu pedagogicznego, który tworzy i nie zauważa autentycznych kolegów Afonii. Taka interpretacja bywa zresztą bardzo powabna i — zdawałoby się — mocno uzasadniona.

Bo oto proszę: któreś z wielu zebrań zakładowych w sprawie już etatowego podsądnego — Afanasija Borszczowa; połowa zebranych już drzemie, ponieważ nikt nie zabiera głosu; damy Borszczowowi napomnienie — Afonia: „niestety, już mam napomnienie" — damy więc Borszczowowi naganę, byle prędzej do domu, sprawa z głowy. Wydaje się jednak, że żadne z przytoczonych stanowisk wobec filmu nie wyczerpuje problemu. Inna rzecz, że działają tu mechanizmy „ogólnofilmowe". Jeżeli komedia, to krytyka; jeżeli krytyka, to czego, to przeciw czemu, to satyra na co? Na którymś z kolei zebraniu sprawa Afonii staje na ostrzu noża. Zwolniony definitywnie z pracy, bohater znajduje się w stanie kompletnej frustracji. W komediowy nastrój wkrada się nowy ton: Afonia — wzorem Jegora Prokudina z „Kaliny czerwonej". — wraca do punktu wyjścia, jedzie do rodzinnej wsi. Tutaj wszystko się już zmieniło, nie żyje już stara kobieta, która go wychowywała, a którą opuścił przed laty nie podając nowego adresu. Afonia wyjeżdża, na jakimś lotnisku leży na trawie czekając na samolot, potem zmienia w bilecie numer lotu i czeka dalej. „Przed kim to obywatel tak ucieka?" — przerywa mu drzemkę milicjant — służbista. „Przed sobą" — odpowiada Afonia i w tym akurat wypadku stary banał nie kłamie. „Można uciec przed sobą, ale nie przed milicją" — stwierdza funkcjonariusz i to też jest prawda. Film Danielii jest przecież komedią. To jednak bardzo istotne. Komedia? — proszę! Wystawiamy kamerę na ulicę. I kogóż to widać? Toż to nasz stary, niepoprawny znajomy, leń i wałkoń — Afonia. Jaki śmieszny. I jaki charakterystyczny. Właśnie — charakterystyczny! Afonia, to bowiem przede wszystkim problem do załatwienia, problem społeczny, wychowawczy, produkcyjny — a nie jakiś tam Afanasij Borszczow z ulicy. Nieprawda — mówimy — to nie tylko problem, to ktoś o wiele ważniejszy. To właśnie jedyny, niepowtarzalny Afonia.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

PLASTYKA

TEATRZYK MIKOŁAJA DAWIDZIUKA

Widzów, którzy wybiorą się do Galerii Bałuckiej na wystawę Mikołaja Dawidziuka czeka nieco emocji, bo jest to okazja do spotkania z malarstwem przekornym i zaczepnym. Dwadzieścia kilka obrazów tworzy cykl, gdzie na stale jednakowym, nasyconym głębokim fioletem lub sadzą tle pojawiają się kontrastowo — czerwone obłe kształty głów z wybałuszonymi, szerokimi oczyma o połyskliwych źrenicach. Głowy wyrastają z groteskowo pomniejszonych, pokracznych korpusów rozstawionych niczym porcelanowe figurki na pogrążonych w mroku płaszczyznach. Czasem towarzyszą im jakieś rekwizyty: walizka, szklanka, popielniczka lub okno; niekiedy z tułowi wysuwają się błony skrzydeł a na głowach pokazują czapki — korony. Są także obrazy, na których u podstawy korpusów można zauważyć kluczyk czy korbkę i od tej chwili rzecz się wyjaśnia: chodzi o nastraszenie wizją świata zapełnionego przez ludzi — kukiełki groteskowego teatrzyku, gdzie scenografię tworzą rekwizyty z najbliższego otoczenia. Tylko oczy, przesadnie wyeksponowane jak w malarstwie schizofreników, śledzą bacznie widownię po drugiej stronie płótna.

Można z satysfakcją oddać się radości krytyka i próbować wysnuć jakąś linię odniesień tej sztuki. Będzie ona prowadzić od Odilona Redona poprzez ekspresjonistów do Paula Klee, surrealistów, i dada a zakończy się — prawdopodobnie — „Mechaniczną pomarańczą" Stanleya Kubricka. Z Polaków ukłoniliby się pewnie Witold Wojtkiewicz i Tadé Makowski. Można szufladkować zupełnie inaczej. Pokazana przez Dawidziuka depersonifikacja dzieje się od dawna w malarstwie „nowej figuracji" — gdzie ciało bywa szarpane i wykrzywiane na coraz nowe sposoby. Pogarda dla ideału Fidiasza i Michała Anioła idzie w parze z lekceważeniem (także u Mikołaja Dawidziuka) warsztatu a nawet tytułu obrazów.

Drogę poszukiwań na polu aluzyjnej przedstawieniowości wybiera obecnie wielu młodych artystów. Często jednak równa się to eklektyzmowi trudnemu do udowodnienia, bo nie istnieją przecież we współczesnej sztuce żadne granice eksperymentu czy wyraźne kryteria. Zastąpiły je autorytety lub jeszcze częściej — obiegowe, powierzchowne mity o autorytetach. Eklektyzm poglądów na sztukę ciąży mocno na produkcji artystycznej wielu twórców, zawsze mimo to gotowych zasłonić się buforem czyichś myśli i doświadczeń. Dla przykładu: jednym z najbardziej dotkliwych nieporozumień jest — jak uważam — częste odwoływanie się do twórczości krakowskiej Grupy Samokształceniowej z lat 50 i Andrzeja Wróblewskiego. Zwłaszcza Wróblewski („Moje obrazy są ordynarne, rażą swoją wyrazistością...") buntowniczo-romantyczny, podejmujący drapieżne wyzwanie mieszczańskim gustom, naznaczony przeżyciami wojny — dla setek młodych jest wzorcem postawy najchętniej deklarowanej. Tyle, że inspiruje już nie Kolumbów ale pokolenia, które noszą w sobie podświadomy kompleks niewiary w prawdziwość i sens jakiegokolwiek buntu. Nie da się także rozdzielić twórczości Wróblewskiego od jego postawy: podejmowania aktualnej, żywej tematyki społecznej. Tymczasem u wielu współczesnych przedstawicieli zaangażowanej sztuki figuratywnej pozostaje sam nonkonformizm i przekora bez ostro zarysowanego celu. Metaboliczne procesy ścierania się postaw — wierzę, że takie jeszcze zachodzą — dzieją się w konsekwencji jakby poza obrazami.

Na tym tle wszelkie mocniejsze akcenty o zdecydowanej temperaturze mają niespodziewaną siłę przebicia. Należy do nich, jak sądzę, malarstwo Mikołaja Dawidziuka z Łodzi: podszyty drwiną, groteskowy teatrzyk. Jego główną zaletą jest właśnie wyrazista sugestywność, na którą rzadko zdobywają się eufemiczni rówieśnicy. Dawidziuk zakłada świadomą prowokację widza; ma ona zupełnie inny niż niegdyś u Wróblewskiego kontekst prywatnej zabawy z odbiorcą, ale za to graniczy z ryzykiem jakie charakteryzowało twórczość „neo-barbarzyńców" (by użyć tu określenia Aleksandra Wojciechowskiego). Podejrzewam, że sprawy sztuki nie są mu obojętne i dlatego uważam wystawę za wartościową.

ANDRZEJ MAJER

KSIĄŻKA

ANTOLOGIA NOWELI RADZIECKIEJ

Stało się więc już wydawniczą tradycją, że PIW-owska oficyna oddaje co rok do rąk czytelnika nowy wybór opowiadań współczesnych pisarzy radzieckich. Tradycją, jako iż „Czemu równa się X" jest już czternastym tomem tej serii zapoczątkowanej w 1972 r. Jak poprzednie antologie, pomyślana jest jako swoistego rodzaju karta wizytowa tego co najciekawsze ukazało się w radzieckiej nowelistyce ostatnio. Stąd obok nazwisk już nam znanych, jak np. Pawła Nilina, Natalii Barańskiej, Jurija Szczerbaka, Anatola Tkeczenki, napotykamy nazwiska nowe, które zresztą mało są jeszcze znane i w Związku Radzieckim. Ale tak powinno być, jeśli chce się prezentować nie nazwiska, ale literackie zjawiska, kiedy chce się pokazać całą złożoność problematyki poruszanej przez pisarzy, poprzez literaturę zaprezentować niejako codzienne życie narodów radzieckich.

Oczywiście trudno by tu mówić o czymś odkrywczym, o czymś co już nie znalazło swojego odbicia w dotychczasowej twórczości pisarzy radzieckich. A mimo to i w tych opowiadaniach znaleźć można dużo nowego, nieznanego. Jak choćby w opowiadaniu Zorija Bałajana „Czerwona jaranga". Ta w londonowskim tonie utrzymana opowieść o wierności, stanowi w gruncie rzeczy relację o życiu ludzi dalekiej Syberii, którzy muszą dokonywać ostatecznych wyborów, od których nie ma odwrotów. Bo każdy odwrót równa się tchórzostwu. Toteż tutaj bohaterstwo i odwaga oscylują na pograniczu patosu. I trzeba nie lada pióra, aby pokazując tych dziwnych ludzi z ich jakże surowym ale i pełnym drobnych radości życiem, nie popaść w tani optymizm, z normalnego codziennego bohaterstwa nie zrobić zwykłej bohaterszczyzny.

Rzecz przy tym charakterystyczna, wszystkie opowiadania dzieją się absolutnie współcześnie. Już nawet ostatnia wojna — temat jakże ulubiony dotychczas — jawi się tu tylko jako swoisty zapis pamięci z przeżytych chwil wczesnego dzieciństwa. Owszem wojna odciska swoje piętno na psychice bohaterów, ale już tylko jako cząstka szerzej potraktowanej biografii. I tylko Aleksander Bachwałow całe swoje opowiadanie „Ostatni lot" poświęca wojennym wydarzeniom. Również do wojennych przeżyć powracają w swoich opowiadaniach Paweł Nilin „Drobne nieprzyjemności" czy Aleksander Rekiemczuk „Sól na perkusji".

Większość autorów stara się utrzymać swoistego rodzaju dystans do swoich bohaterów, co pozwala im w sposób trochę prześmiewczy i ironiczny zaprezentować ich powszednie drobne wady i ułomności charakterów, ale równocześnie budzić do nich sympatie czytelników. Bo czyż nie czujemy sympatii dla dwojga staruszków z opowiadania Mariny Gelwi „Staruszkowie", którzy przeżywszy całe życie na wsi, postanowili nagle spędzić dłuższy czas w Moskwie u córki. Staruszkowie są zagubieni nie tyle w samym mieście, ile w odmienności sposobu bycia i myślenia młodych, którzy popadli w rutynę wielkomiejskiego życia. Lecz znowu nie jest to bynajmniej jakiś konflikt pokoleń. Po prostu brak porozumienia wynika z odmienności widzenia i oceniania tych samych spraw i problemów. Zresztą zasadniczo się różni życie wielkomiejskie od małomiasteczkowego czy wiejskiego. I bynajmniej nie jest to przysłowiowe odkrywanie Ameryki ale jedynie konstatacja i to konstatacja smutna. Stąd może wielu pisarzy chwali codzienne życie prowincjonalne, dostrzegając w nim nieprzemijające dla psychiki człowieka wartości. Zresztą dla większości autorów wyboru opowiadań, rzeczy ciekawe rozgrywają się właśnie poza nurtem wielkomiejskiego życia. To ludzie małych chutorów, syberyjskiej tajgi muszą na co dzień składać egzamin z dojrzałości, muszą podejmować ostateczne decyzje, ponosić klęski i odnosić sukcesy. Tam na przysłowiowej prowincji jest to najbardziej widoczne, najbardziej wyeksponowane na widok publiczny. Tam się nie da nic ukryć, zachować w tajemnicy. Stąd właśnie ta prowincja staje się prawdziwą szkołą życia, umiejętnością obcowania z innymi ludźmi.

„Czemu się równa X" jest wyborem dwudziestu dwóch opowiadań. Każde z nich czytane oddzielnie mówi o danym autorze, o jego pisarskich zainteresowaniach, artystycznych zdolnościach. Czytane łącznie dają wielką panoramę życia współczesnego społeczeństwa radzieckiego. I szkoda tylko, że Wydawca nie zaopatrzył tej antologii w przypisy biograficzne, tym bardziej, że większość pisarzy jest polskiemu czytelnikowi prezentowana po raz pierwszy.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Czemu równa się x. Opowiadania 1974. PIW. Warszawa 1976 s. 459 cena zł. 45.—

ROZPIĘTOŚĆ CHWILI

„Trwaj chwilo!" Danuty Bieńkowskiej to w podstawowym zrębie studium psychologiczne nie pogodzonej z wiekiem dojrzałym kobiety. Niespodziane przedłużenie służbowego pobytu w Rumunii pobudza bohaterkę do wspomnień spędzonych tu przed 30 laty dni, turystycznych eskapad, wreszcie do ulokowania pewnego kapitału emocji w grze uczuć. Praca naukowa w dziedzinie chemii, aczkolwiek katalizuje niepokoje Sylwii (nadto uosabiającej żywą i frapującą kobiecość), nie zaspokaja jej apetytów intelektualnych oraz niedosytu uczuć. W samym obrazie psychologicznym, skreślonym z dużym wyczuciem, więcej naturalności niż zaproszenia różem. Ze względu na rodzajowość sprawy — parę refleksji o retuszu i osobie dramatu.

Witalne zasoby Sylwii wyczerpuje potykanie się z ustępującą młodością — ukłony w stronę wspomnień, inicjowanie podniecających zmian nastroju itp. Nimbus erotyzmu umiarkowanie ją osłania i obnaża. W przenikliwości posunięta aż do sceptycyzmu wobec własnego sceptycyzmu coraz mniejszy zastęp mężczyzn na swej drodze pozbawia ochronnych masek i prawie dokumentnie prześwietla. Ukazują się śmieszni w zadufaniu, kiedy indziej domowi, psychicznie rozneglizowani, mimo iż co krok duszę i ciało (w kontemplacji) odsłania wyłącznie bohaterka.

Cała historia łamania się uczucia z logiką życia sięga korzeniami wstecz, co książka w pełni uwidacznia. Z wycieczek w przeszłość wynika, że warunki obiektywne układały los Sylwii zgodnie z linią podporządkowującą wzloty uczuć realiom. Stąd nadwrażliwość zbuntowanego „ja", kompleksy, urozmaicony świat kulis, ale także i ślady tradycyjnej mentalności, spokrewnionej przez skalę wahań choćby z wczesną powieścią Orzeszkowej. W sumie ożywczy strumień dla kobiecych ambicji z alternatywą przeistoczenia się w pasmo samoudręczeń.

Czytelnikowi obecnemu, najogólniej biorąc przysposobionemu do tolerancji kompleksów wynikłych z nieprzeciętnej wrażliwości czy meandrów cudzej myśli — byle ciekawej, sprawia niejaki kłopot materii pomieszanie. Dojrzawszy np. nie umotywowane pierwiastki, kaleczące sugerowaną pisarskim pociągnięciem strukturę osobowości, gotów z akademickim wścibstwem szukać przyczyn powyższego w warsztacie.

Sylwię toczy robak — rys ostatniej książki, rozmowy, zasłyszanej myśli, skutek działalności współczesnych „mieczyków kawiarnianych", a szerzej — homogenizacji kultury. Jak umykające dni i co piękniejsze chwile chwyta każdą efektowną myśl, spostrzeżenie, z których rzecz jasna można wycedzić i sporej wartości okazy. Z równą powagą pochyla się nad pryncypialnymi zagadkami bytu jak i nad brodzikiem filozofii życia i człowieka. Wyszlachetniający wpływ jej przyjaciółki (humanistki) Klary nie zrównoważył wyjaławiającej presji lektur. Dlatego horyzonty życia przymierza nierzadko do granic zgrabnej analogii; myśli cytatami z Rilkego, Zawiejskiego, Choromańskiego i wielu innych. — „Wracając do auta Sylwia myślała o świecie minionym, o świecie ziemiańskiej kultury. Mało dworków miało szczęście stać się przedmiotem troski konserwatorów, zabytkiem chronionym dla przyszłych pokoleń. A przecież w takiej scenerii w ciągu wolno płynących godzin, w klimacie sprzyjającym rozmyślaniom i rozpamiętywaniu — powstały wielkie dzieła literackie, gromadziło się pisarskie tworzywo, które po dzień dzisiejszy olśniewa w prozie polskiej. Dość przypomnieć nowele Iwaszkiewicza, autobiografię Pruszyńskiego, całe rozdziały z „Gruców", s. 44; „Te kunsztowne pienia kojarzyły się Sylwii z „Królem Rogerem" Szymanowskiego, z muzyką cesarskiego Bizancjum", s. 86. Cytowane fragmenty, z respektem dla celności skojarzeń, ilustrują jedynie zasadę.

Wstawki, nakłuwające intelekt, dobroczynnie eseizują powieść, jeśli nie zmuszają czytelnika do ekwilibrystyki słabo uzasadnionej wyższym celem. Dobrze wiedzieć, że „ranny strach przed pustką dnia nie wypełnionego pracą" to inaczej horror vacui. Kompletne rozszyfrowanie mowy wewnętrznej Sylwii ze s. 95 („Co to znaczy być sobą? Jeśli oddać głos jednej tylko z kilku Gracji, to uprości się wprawdzie psychologiczny portret, sprowadzi go się do wyraźnych konturów, lecz jednocześnie odbierze mu się cała głębię i właściwie zafałszuje") wymaga już od nie dość oczytanego pewnej inweneji. Dociekliwy wróci do s. 17 („Wydaje się, że znam dwie albo trzy Sylwie — żartowała Klara nawiązując do powieści Huxleya"), skojarzy obie informacje ze słownikiem, aby ustalić chociaż, że chodzi o książkę A. Huxleya „Dwie albo trzy Gracje".

Nazbyt rozległe napięcie 8 dni w Rumunii do roli przysłowiowego deux ex machina spowodowało wtórny szew w pisarskim warsztacie. Obserwacji psychologicznych nie dało się np. złączyć bez kompromisów z realizacją innych celów poznawczych, sygnalizowanych niemal encyklopedycznymi wiadomościami o historii, literaturze i kulturze materialnej Rumunii. Do s. 159, gdzie pojawia się ostatnia dłuższa dygresja, nie mniej niż 10 proc. tekstu zajmują komponenty mogące złożyć autorski, bardzo osobisty mini-baedeker. Niedostatek beletryzacji dokucza przecież i wrażliwej naturze Sylwii, zmuszonej np. barwą chwili do wysłuchania erudycyjnego popisu swego cicerone — profesora archeologii. Okazjonalne przerywniki („I to właśnie chciał mi pan pokazać", „Trochę pan przesadza", „Sylwia puszczała mimo uszu wywody profesora") w niewielkim stopniu podtrzymują zainteresowanie stron dość nużącą oracją. Zniecierpliwienie bohaterki ma prawo udzielić się konsumentowi książki, trudniejszemu zazwyczaj do utrzymania w biernym oporze.

Sylwia, profesor i powieść najlepiej zapisują się rozegraniem partii końcowej. Ekscytacja niespełnieniem w stylu Mannowskiej „Oszukanej", przesilanie się pewności i zwątpienia utrzymują czytelnika w obezwładniającym zawieszeniu. Tylko specjalista — psycholog zgromadzi materiał do precyzyjniejszej diagnozy, postronny obserwator ukontentuje się zaś powątpiewaniem w każdą rację.

BOGDAN MAZAN

Danuta Bieńkowska, Trwaj chwilo!, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1976.

ANDRZEJ GRUN

I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu

Książkę Jana Brzękowskiego, zbiór wspomnień i szkiców, wziąłem do ręki nieomal z rocznym opóźnieniem. Ale ponieważ Brzękowski „przejeżdża" w niej nasz wiek od jego początków aż po dzień powojenny, moje kilkumiesięczne opóźnienie nie ma w tym kontekście żadnego większego znaczenia. Przyznam się, że łasy jestem ogromnie na wszelkiego rodzaju pamiętniki, wspomnienia, wspominki i pamiętniczki. Lubię ten rodzaj pisarstwa, ponieważ odczuwam potrzebę kontaktu z życiem, tym także, które już przeminęło, które jest już historią. Wolę także, gdy są to pamiętniki czy wspomnienia ludzi sztuki lub ludzi ze sztuką i kulturą w jakiś sposób związanych, bowiem ten rodzaj człowieczej działalności interesuje mnie bardziej od innych. Przepadam również za XVII- i XVIII-wiecznymi pamiętnikami i księgami rodzinnymi. Niezmiernie lubię również wczorajsze relacje podróżników z dalekich, niedalekich i zupełnie bliskich krajów.

Wspomnienia polityków, działaczy, dowódców w zasadzie mnie nie interesują, bo nie interesuje mnie polityka ani wojna na szczeblu sztabu. Wojna interesuje mnie na szczeblu maksimum dowódcy kompanii, ale najbardziej przejmująca, a zatem najbardziej godna uwagi i poznania jest na szczeblu szeregowego żołnierza. Co do polityków, to są oczywiście wyjątki, ale jest ich na szczęście niewiele. Uważam politykę za proceder nieciekawy; nasz świat obfituje w dostatecznie dużą ilość spraw bardziej interesujących, w każdym razie mnie osobiście. Zresztą może opieram się na złych przykładach i mylę się. Gdybym jednak nie uznawał prawa do omyłki, niczego bym nigdy nie napisał i niczego nie czytał. Nigdy bym niczego nie narysował, ani nie oglądał cudzych obrazów, ani nie chodził do kina. Człowiek, który siada nad kartką papieru albo przed czystym płótnem, aby wyrazić swoją myśl, musi mieć dojmującą świadomość, że ma prawo się mylić. Nie należy jednak w tym prawie utwierdzać na przykład budowniczego mostów, bo skończy on w kryminale, albo na szubienicy.

Wracając zatem do wspomnień (cudzych), książkę Brzękowskiego wziąłem do ręki z dużym zainteresowaniem zrazu, jako że i poezje jego czytywałem i znany był mi jego niepośledni wkład w zgromadzenie kolekcji Sztuki Nowoczesnej w Łodzi, która stała się zaczątkiem obecnego Muzeum Sztuki oraz żywa i twórcza sympatia dla naszej awangardy międzywojennej, szczególnie dla kręgu Strzemińskiego. Przecież także lata spędzone we Francji, szczególnie w Paryżu, 20-te i 30-te, gdy był on, po raz ostatni, pełnym po brzegi same tyglem wrzącej, bulgocącej sztuki — dawały autorowi gotowy kredyt u chętnego czytelnika. Na koniec spis rozdziałów, od którego między innymi rozpoczynam czytanie większości książek, zapowiadał treść obiecująco: Seuphor, Max Jacob, Cendrars, Cocteau, Paul Dermée, Pierre Albert Birot, Tzara i dadaizm, Futuryści, Breton i surrealiści, Fernand Legèr, Robert i Sonia Delaunay, Marcoussis, Ozenfant, Gleizes, Mondrian, Arp, Aleksander Calder, Aragon, Dufy... z Polaków — Peiper, Przyboś, Jalu Kurek, S. I. Witkiewicz, Strzemiński, Lechoń...

Po przeczytaniu książki Brzękowskiego przypomniała mi się scena z pewnej XVIII-wiecznej farsy, w której dwóch młodych kleryków przygląda się z przejęciem pochodowi tancerek.

Jeden woła: — Tyle dobra!

Drugi szepce cicho: — I co z tego...

Scena ta jest jedną z pierwszych i w dalszych akcja rozwija się pomyślnie, ku obopólnemu zadowoleniu kleryków i tancerek. Brzękowski, a i czytelnik, mają mniej szczęścia. Bo kogóż we wspomnieniach mogą obchodzić kompilacyjne wykłady na temat surrealizmu, dadaizmu, Legèra, Bretona? Okres, któremu Brzękowski poświęca całą nieomal książkę, lata międzywojenne mianowicie, są nawet średnio zainteresowanemu konsumentowi kultury, sztuki i plotki artystycznej dość dobrze znane. Pikassy, braki, leżery, apolinery i inne maksy jakoby — to dla nas chleb z masłem. Może gorzej jest z Turnerem, Hogarthem, na pewno nie najlepiej z Giambattistą Tiepolo, zupełnie źle jest z Sebastianem del Piombo i Jacopo Palma. Ale z tym, co po Van Goghu, nie ma problemu. Dlatego właśnie Brzękowskiemu nie udały się wspomnienia i szkice (taki jest podtytuł książki). Szkice historyczno-krytyczno-wyjaśniające o stylach i kierunkach są niepełne, ubogie, okrojone i odnosi się wrażenie, że czytelnik wie więcej niż piszący, a nudne przez to, że autor nie daje własnej interpretacji faktów, której wreszcie od twórcy, świadka naocznego i uczestnika należałoby oczekiwać. Co zaś do wspomnień o ludziach, to te, krom kilku niezbyt intrygujących plotek, są szare i bez wyrazu. Max Jacob jest taki jak Cendrars, Paul Dermée taki jak Tzara, Breton jak Desnos — a wszyscy żadni. Bardziej ciepło i więcej pisze Brzękowski może tylko o tych, którzy dobrze mówili o jego wierszach. Wszyscy inni są nijacy, bez wyrazu, bez treści. Sądzić można (na podstawie książki), że przewinęli się przed oczyma Brzękowskiego jak niemy i trochę porwany w najciekawszych miejscach film. Może zresztą było inaczej, ale co innego widzieć i słyszeć, czuć i rozumieć, a co innego napisać i opisać.

Pisząc pamiętnik, wspomnienia, trzeba, jak sądzę, czuć przede wszystkim potrzebę opowiedzenia i utrwalenia czegoś sobie i w sobie. Może dlatego mało ciekawe są wspomnienia Brzękowskiego, że wszystko, co chciał naprawdę powiedzieć, zapamiętać i utrwalić, zapisał Jan Brzękowski w swoich wierszach.

Jan Brzękowski „W Krakowie i w Paryżu", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975.

Andrzej Grun — „Ziemia jałowa".

MIECZYSŁAW KUŹMICKI

FILM W MUZEUM

Pod hasłem „Monografia artysty, monografia dzieła" odbył się w Kielcach w dniach 13—15 października kolejny, 9 już Muzealny Przegląd Filmów. Monograficzny charakter tegorocznego Przeglądu sprawił, iż pokazane filmy stanowiły zwartą całość tematyczną. W skład zestawu weszły trzy kategorie dzieł: filmy kinowe produkcji polskiej, filmy wyprodukowane przez Telewizję Polską oraz kinowe filmy zagraniczne. Stał się Przegląd również monografią jednej wytwórni, jako że wszystkie prezentowane kinowe filmy polskie zrealizowane zostały w Wytwórni Filmów Oświatowych, a w pokazach i dyskusjach uczestniczyła liczna grupa reprezentująca Wytwórnię z dr Maciejem Łukowskim na czele.

Filmy, które pokazano, pochodziły z lat 1972—76, była więc okazja do porównania różnych sposobów przedstawiania na ekranie artystów i ich dzieł. Gwoli oddania sprawiedliwości stwierdzić należy, że filmów będących monografią dzieła było znacznie mniej. Większość dotyczyła bowiem sylwetek twórców i ukazywała większe lub mniejsze fragmenty ich dorobku. Uwaga ta dotyczy zarówno filmów polskich kinowych i telewizyjnych jak i obrazów zagranicznych.

Na dobrą sprawę były tylko trzy, z różnych lat pochodzące, obrazy poświęcone jednemu tylko obiektowi. Należą do nich: „Świat Memlinga w trzech odsłonach" K. Muchy (WFO), „Aleksander Gierymski. W altanie" S. Grabowskiego (WFO) i „Albrecht Dürer — Święto Różańcowe" reż. O. Kamm (Austria). Istotną cechą tych filmów była chęć przybliżenia współczesnemu odbiorcy, by nie rzec konsumentowi, kultury masowej problematyki, jaka zawiera się w dziełach, autorzy których weszli do panteonu sztuki (Memling, Dürer) lub też przedstawienia dramatycznych losów dzieła i walki artysty z tworzywem (Gierymski).

Stwierdzić należy, że zarówno film o Memlingu jak i o Dürerze klasycznymi monografiami nie są. Film Muchy w szeregu zdynamizowanych ujęć ukazuje poszczególne części i fragmenty tryptyku „Sąd Ostateczny". Niewątpliwą zasługą filmu jest tu pewna swoboda w operowaniu kamerą, która pozwala spojrzeć na dzieło w sposób nieosiągalny przy innym oglądzie. Takie przedstawienie jednego z arcydzieł XV-wiecznego malarstwa niderlandzkiego stanie się też zapewne impulsem i zachętą do jego szczegółowej kontemplacji.

Inaczej skonstruowany jest film o „Święcie Różańcowym". Obraz Dürera został tu ukazany na tle panujących wówczas kierunków w sztuce; ukazane zostały również rysunki, studia i szkice dzieła. Przy całej swej dużej zawartości informacyjnej film grzeszy nadmiarem natrętnej dydaktyki, skutkiem której ogląda się go z pewnym znużeniem. Ciekawszą część przeglądu stanowiły monografie artystów. Pokazano wiele interesujących i wybitnych, nierzadko nagradzanych filmów, jak choćby „Skarby Katedry Gnieźnieńskiej" J. Popiel-Popiołka, „Ślad" H. Włodarczyk, „Idzie Mróz" P. Andrejewa (wszystkie produkcji WFO) czy „Duda — Gracz" W. Karłowskiej i J. Gierak, „Żywioły Władysława Hasiora" G. Dubowskiego i „Imiona czasu" F. Kuduka (produkcji Telewizji Polskiej). Cieszy fakt, że swą klasę potwierdzają twórcy młodzi i najmłodsi, jak choćby Józef Robakowski, Tadeusz Junak, Helena Włodarczyk czy Piotr Andrejew, których filmy są propozycją nowego spojrzenia na sztukę. Utwory ich, często bardzo impresyjne, są także interpretacjami, próbują również sięgać do źródeł i inspiracji, z których wywodzą się prezentowane dzieła.

Znamienny jest tu film Józefa Robakowskiego wg scenariusza Janiny Ojrzyńskiej „Z mediomagnetycznego atelier Tytusa Czyżewskiego", zrealizowany w roku 1972 w WFO. Film jest bardzo osobistą próbą przedstawienia twórczości malarskiej Tytusa Czyżewskiego, przy czym autor filmu świadom trudności wynikających z przekładu dzieła na inne tworzywo daje raczej jego filmowy ekwiwalent niż wierne odbicie. Świat przedstawiony w filmie jest światem zabarwionym emocjonalnie. Odrębność i nowatorstwo sztuki Czyżewskiego są tu ukazane przez środki wyrazu właściwe filmowi a nie malarstwu. Film ten jest propozycją pewnego, skrajnego może, traktowania tematu sztuki, artysty w dziele filmowym. Przykładem innego traktowania tego samego tematu może być „Duda — Gracz" prod. TVP z 1975 roku, sławny już i nagradzany. Urok filmu kryje się niewątpliwie w samej postaci artysty, który jest jego bohaterem, komentatorem własnej twórczości, autorem interesujących i dowcipnych wypowiedzi. Film posiada klasyczny schemat: artysta mówi o sobie i o świecie, o sztuce, którą uprawia. Towarzyszą mu obrazy a także rekwizyty, które w szczególny sposób umiłował, wśród których wyrósł i które być może są kluczem do jego dzieł. Zasługą autorek filmu jest to, iż wszystkie jego elementy zostały połączone w harmonijną całość, w której niewidoczna jest ingerencja reżysera.

Oczywiście wymienione tytuły nie stanowiły całości Przeglądu, na którym pokazano ponad trzydzieści filmów. Można je uznać jednak za typowe dla tendencji, jakie rysują się we współczesnym polskim filmie o sztuce.

Na zakończenie kilka refleksji. W projekcjach kieleckiego Przeglądu uczestniczyło grono osób zainteresowanych filmem, podobnie jak dzieje się na wszelkich przeglądach i festiwalach filmów krótkich, które są zawsze świętem także i filmów o sztuce. Bardziej jednak powinno nas interesować funkcjonowanie tych filmów w codziennej działalności oświatowej i popularyzatorskiej kin, szkół, muzeów, klubów i domów kultury. Kinowy żywot krótkiego metrażu nie trwa długo. Jako tak zwane dodatki wegetują krótkometrażówki przy boku filmów fabularnych i są na ekranach tylko przez okres wyświetlania tych ostatnich. O czymś takim jak informacja prasowa o towarzyszącym filmowi fabularnemu dodatku krótkometrażowym nie ma nawet co marzyć, ale mogłaby znaleźć się ona przynajmniej w poszczególnych kinach. Zdarzają się naturalnie wyjątki, kiedy to z różnych okazji prezentuje się wyłącznie filmy krótkometrażowe (w tym i te o sztuce), są to jednak akcje sporadyczne. Telewizja ma, teoretycznie przynajmniej, największą szansę dotarcia z filmem krótkim do szerokich warstw odbiorców. Teoretycznie, bo w rzeczywistości ogląda je niewielka liczba zainteresowanych przy całej masie widzów biernych, oglądających cały program bez wyboru. Wydaje się, że szansą dla filmu krótkiego, w tym wypadku filmu o sztuce, mogą stać się szkoły oraz kluby filmowe. Edukacja filmowa młodzieży szkolnej posiada swoje prawa i specyficzne dla niej metody, ale pewne jej elementy są wspólne dla wszelkiej pracy z filmem. To samo da się powiedzieć o istniejących w Łodzi Dyskusyjnych Klubach Filmowych, wśród których działa nawet kilka młodzieżowych. Byłoby bardzo dobrze, gdyby udało się wprowadzić do ich repertuaru film krótki, zestawiony naturalnie w cykle tematyczne, poprzedzony prelekcją.

Szansę tę, szansę upowszechnienia dobrego filmu o sztuce powinny wykorzystać w znacznie większym stopniu niż dotychczas muzea. Film o sztuce nie zastąpi dzieła sztuki. Jednakże może je przybliżyć, może odkryć jego tajemnice, pokazać inaczej. Wiele arcydzieł malarstwa funkcjonuje w społeczeństwie w postaci reprodukcji. Film, obok wielu innych umiejętności, posiadł też w doskonałym stopniu umiejętność reprodukowania rzeczywistości.

NIEJAKI G. A.

W Salonie Współczesnym na Piotrkowskiej wystawa w stylu op-art czyli sztuki polegającej na takich kombinacjach form, linii i kolorów, aby oglądającemu ćmiło się i migotało w oczach, w miarę możności jak najbardziej. Im bardziej tym lepiej. Jeśliby ktoś chciał zostać wytrawnym znawcą sztuki wizualnej, służę przepisem z pełną gwarancją. Niech zatem wybierze sobie jakieś dzieło w tym stylu i niech nań popatrzy szeroko otwartymi oczyma, niech popatrzy tak „prosto z mostu", otwarcie i szczerze. Jeżeli po upływie 2 do 5 sekund dostanie ewidentnego oczopląsu tudzież zamroczenia, znaczy to, że stoi wobec prawdziwego dzieła sztuki. Jeżeli oczopląs i zamroczenie nastąpią po 10 sekundach, dzieło jest niższego lotu. Jeżeli po 15-tu — jest bardzo mierne. Jeżeli po 20-tu, to najwidoczniej mamy do czynienia z jakimś innym rodzajem sztuki współczesnej, być może z hiper- albo superrealizmem. Jeżeli oczopląs i zamroczenie nie nastąpią w ogóle, może się zdarzyć, że stoimy np. przed Rembrandtem. Wtedy trzeba sprawdzić podpis.

Taszyzm w swojej formie pierwotnej, czystej, był właściwie nużący i jednostajny. Zaowocował jednak niespodziewanie jako źródło inspiracji w wielu kierunkach późniejszych, niekoniecznie w czystym malarstwie. Przykładów podobnych mógłbym przytoczyć wiele.

Op-art, ten najczystszy, jest sztuką niemożliwą do oglądania, chyba, że ktoś ma wadę wzroku i nie widzi nic, albo ogląda go z daleka i też nic nie widzi. Ale op-art, czyli optical art jako doświadczenie plastyczne jest wprost nieoceniony, zwłaszcza dla pewnych grup twórców, np. dla parających się plakatem, grafiką: reklamową, artystyczną i edytorską, dla projektantów odzieży, galanterii, biżuterii. Także niektórzy malarze potrafili wyciągnąć z op-artu daleko idące wnioski, a są nawet tacy, którzy uprawiają ten kierunek sztuki obok swego głównego, niejednokrotnie bardzo różnego nurtu, właśnie dla wzbogacenia swego warsztatu i poszerzenia swej wiedzy na temat barwy, formy, pozornego ruchu form na płaszczyźnie, uznając, że takie właśnie ćwiczenia, w tej właśnie postaci najwięcej im dają.

Optical art, sztuka wzrokowa, sztuka wizualna, sztuka kinetyczna, a zatem op-art nie jest czymś nowym, bo w ogóle niewiele jest rzeczy nowych. Układy form geometrycznych z reguły bardzo prostych, barwnych lub czarno-białych, powodujące pozorne mamiany głębi i ruch, znane były od dawien dawna i niejednokrotnie wykorzystywano je praktycznie. Przykładem mogą być ornamentalne mozaiki mauretańskie, tak ułożone, że w miarę przemieszczenia się patrzącego, stwarzały sztuczną głębię i pozorne falowanie i „uciekanie" ścian, stwarzając w małym wnętrzu ogromną, pulsującą przestrzeń. W wieku XX te proste zjawiska optyczne znalazły swoich teoretyków i praktyków (Albers, Soto, Vasarely, Ziemski) i podniesione zostały do rangi sztuki. Jest rzeczą znamienną, że sztuka wizualna, czyli op-art, znalazła wielu zwolenników na Zachodzie, szczególnie w krajach wysoko rozwiniętych i w Japonii, czyli tam, gdzie artysta jest w stanie korzystać z odpowiednio wyposażonego, nowoczesnego warsztatu. Jest bowiem op-art sztuką opartą na precyzji i czystości. Gdyby ktoś chciał zobaczyć, co rozumiem przez precyzję i czystość, niech wstąpi do Salonu przy Piotrkowskiej. Zrozumie rychło, dlaczego op-art nie znalazł u nas masowych realizatorów, choć przecie wdzięczne to, efektowne i dość proste.

Autorem wystawy w Salonie Współczesnym jest Włoch Getulio Alviani. Gdyby ktoś ze zwiedzających chciał się dowiedzieć, kto to jest Getulio Alviani, to się nie dowie, bo na wystawie nie ma ani katalogu, ani nawet ulotki informacyjnej, odbitej na powielaczu. Nie wydano. Kiedy zadzwoniłem do Biura Wystaw Artystycznych, uroczy głos damski zdziwił się, że nie wiem, kto to jest G. A., bo on jest bardzo znany i nawet był na Biennale w Krakowie i stamtąd tu go przysłali. Muszę wiedzieć kto to jest G. A.? Doprawdy muszę? Ejże! Ale gdybym chciał, to powinienem mieć na wystawie pod ręką wyczerpującą informację. Ja jestem w tej lepszej sytuacji, że jak będę chciał rzeczywiście dowiedzieć się, kto to jest Getulio Alviani, to się dowiem bez łaski BWA, ale wielu innych, zwłaszcza młodzież, jest w sytuacji gorszej.

Na wystawie słyszałem, jak młody chłopak mówił do dziewczyny: „Znowu c z y m ś zatkali dziurę". Może gdyby wiedzieli, że to coś, czym BWA zatkało dziurę, jest znanym bardzo artystą, który otrzymał nawet nagrodę na Krakowskim Międzynarodowym Biennale Grafiki, nie przelecieliby wystawy kłusem rumaków krwi pełnej, a zatrzymaliby się tu i ówdzie i pomęczyli trochę swe oczy, jak sądzę — w tym wieku ciekawe jeszcze obrazów świata.

A.G.

SPORT

DERBY na STOJĄCO

Derby — jak powszechnie wiadomo, są to zawody dla koni trzylatków, które w Anglii zapoczątkował w 1780 roku lord Derby, a także — jak jeszcze bardziej powszechnie wiadomo — są to zawody sportowe rozgrywane pomiędzy dwoma najsilniejszymi drużynami lokalnymi. W Krakowie ongiś były to mecze piłki nożnej rozgrywane przez Wisłę i Cracovię, które też nazywano „świętą wojną". Krakowscy kibice piłki nożnej dzielili się bowiem na zwolenników jednej albo drugiej drużyny i tak, jak zawodnicy tych drużyn toczyli zażarte boje na boisku, tak kibice spierali się nieustannie między sobą o to, która drużyna jest lepsza. Dziś na placu boju pierwszej ligi pozostała tylko Wisła, która ma wszelkie dane ku temu, aby stać się polską drużyną eksportową. Mimo remisu z Belgami na własnym boisku. Potrzeba na to tylko czasu i pracy, pracy, pracy...

A w Łodzi? W Łodzi właśnie, w ubiegłą niedzielę odbyły się kolejne, trzecie już piłkarskie derby. W dwu poprzednich spotkaniach piłkarskiej drużyny ŁKS i Widzewa zwycięstwo odnieśli piłkarze Widzewa. Ale to już historia. Wiele się bowiem od tego czasu zmieniło. Widzew otrzaskał się trochę po zagranicznych boiskach. Zawodnicy tej drużyny występowali w reprezentacji Polski. A ostatni występ Zbigniewa Bońka przyczynił się nawet do zdobycia drugiej bramki w meczu z zespołem Portugalii. Od zespołu tego odszedł długoletni jego trener Leszek Jezierski.

Leszek Jezierski objął prowadzenie zespołu piłkarskiego ŁKS i zespół ten w jesiennej rundzie obecnego sezonu uplasował się na czele tabeli ligowej. Piłkarze ŁKS, których kiedyś ochrzczono mianem „rycerzy wiosny", okazali się nagle „rycerzami jesieni", dowodząc tym, że w sporcie wszystko jest możliwe i pokazując jak wiele zależy od trenera.

Ta chwila wspomnień była o tyle konieczna, aby uzmysłowić sobie i innym warunki, w jakich doszło do spotkania dwu najsilniejszych zespołów piłkarskich Łodzi. Kibice od dawna cieszyli się na to spotkanie, obiecując sobie mecz zacięty, pełen zaskakujących akcji, dynamiczny — słowem widowisko piłkarskie w najlepszym tego słowa znaczeniu, mecz co najmniej ze znakiem „1". Ale srodze się rozczarowali.

W niedzielne południe obejrzeli bowiem na stadionie przy al. Unii — gdzie formalnie gospodarzami byli piłkarze Widzewa — mecz nijaki, nudny, statyczny, nieskuteczny. Obaj trenerzy przyjęli taką samą taktykę, kazali swoim podopiecznym grać w środku boiska, jakby się bali, że któryś z zawodników nie wytrzyma i strzeli zupełnie nieoczekiwanego gola. Obie drużyny pokazały zatem jak trzeba grać, aby nie wygrać. I zupełnie nieprzypadkiem dwie najciekawsze akcje rozegrali obrońcy Widzewa pod własną bramką, z których o mało co, a wpadłyby samobójcze bramki.

Takiego popisu niecelnych strzałów dawno nie widziałam. Zawodnicy obu drużyn wręcz popisywali się podawaniem piłki do bramkarza przeciwnika. A jeśli już strzelali na bramkę — bywało, że i na pusta — to dokładali maksimum wysiłku, aby w tę bramkę nie trafić. Obrona jednej, jak i drugiej strony rozgrywała ten mecz na stojąco i wcale nie było przypadkiem że była to gra tak precyzyjnie dżentelmeńska, że zupełnie niepotrzebny był tu sędzia. Był to bowiem mecz rozgrywany nie przeciw sobie, a między sobą.

Kibic, wychodząc ze stadionu przy al. Unii, mógł zadać sobie zupełnie logiczne pytanie: kto po tym meczu był najbardziej zadowolony? Moim zdaniem Leszek Jezierski. Znalazł się on bowiem w niezwykle niezręcznej sytuacji. Czy jakolwiek wygrana, niezręczność tej sytuacji pogłębiała i uwypuklała. Grali tu bowiem — a przynajmniej powinni byli grać przeciw sobie — byli wychowankowie Leszka Jezierskiego z obecnymi wychowankami Leszka Jezierskiego. Gdyby wygrali byli wychowankowie, kibic mógłby powiedzieć, że zagrały dawne sentymenty i trener nie przyjął skutecznej koncepcji gry, gdyby wygrali obecni, stawiałoby to w głupiej sytuacji następcę na stanowisku trenera Widzewa, a i trenera ŁKS również. Więc najrozsądniej byłoby przyjąć taką koncepcję, która zagwarantowałaby nieskuteczność. I obaj trenerzy zdaje się taką koncepcję przyjęli, dokumentując to jeszcze zmianami, jakie poczynili pod koniec meczu, wycofując z boiska najgroźniejszych napastników, zastępując ich graczami defensywy. A więc obaj dowiedli tym, że postawili na remis i robili wszystko, aby ten remis zachować. I tak też się stało. Ku rozczarowaniu widzów, którzy na stadion przy al. Unii przyszli popatrzeć na dobry mecz, jaki powinny im były zagwarantować dwie drużyny liczące się przecież w pierwszej lidze.

Widzew był w ubiegłym sezonie rewelacją. ŁKS jest — bez przesady — rewelacją jesiennej rundy tego sezonu. Ale spotkanie byłej i obecnej rewelacji odbyło się bez rewelacji. Można z całym spokojem stwierdzić, że najbardziej podobali się obaj bramkarze, którzy niewiele narobili się w czasie meczu, a mieli sporo okazji pokazać, że potrafią znakomicie przyjmować przyjacielskie podania.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (1)

Rozpoczynamy druk noweli filmowej „Dłonie i pięści", znanego łódzkiego reportera i prozaika. Chcemy tym samym zaprezentować Czytelnikom ujęte w oryginalny sposób problemy psychologiczno-obyczajowe, występujące w kontekście wielkich wydarzeń sportowych. Jednocześnie mamy także nadzieję, że rzadko prezentowana na łamach czasopisma forma noweli filmowej zainteresuje Czytelników jako przykład „filmowej kuchni". A. Makowiecki jest także autorem scenariusza na podstawie którego powstaje film fabularny w Zespole „Profil" — pt. „Małpi Gaj".

dłonie i pięści

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Rys. J. Szymański — Glanc

Pokój w mieszkaniu blokowym. Na szerokim, dwuosobowym tapczanie leży młoda kobieta. Jest pora brzasku. Poprzez szparę w kotarze wsącza się do pokoju wąski klin światła. Kamera najeżdża powoli na kurczowo zaciśnięte ręce kobiety, na pełne piersi w rozchyle jedwabnej piżamy, na spoconą, wykrzywioną grymasem twarz.

Kobieta rzuca się raz i drugi na tapczanie. Skopuje kołdrę. Oddycha głośno, chaotycznie, szybko, jak człowiek dręczony sennym koszmarem.

Kamera wdziera się pod zamknięte powieki.

Widać przez chwilę ogromną, nabitą po brzegi halę, ring obnażony z mroku, chmury dymu w snopach jupiterów.

Znowu twarz śpiącej: zagryzione wargi.

Znowu ring: szmer wielotysięcznej widowni. Gong! Biały z dwiema głębokimi szramami na policzku rusza chwiejnie z narożnika. Czarny podrywa się rześko — pajacuje, tańcuje. Idą do zwracia. Biały robi krok do tyłu. Czarny wali prawą z szybkiego doskoku. Biały wykonuje zastop, też wali, ale nie trafia, odkrywa się i to jest moment dla Czarnego...

Twarz śpiącej: kropla krwi pod zębami.

Ring: Czarny mierzy na maskę, w pęknięty, rozkwaszony łuk brwiowy i... po zwodzie trafia w korpus. Biały pada czołem na deski. Sędzia liczy. Sala gwiżdże, wrzeszczy, bije brawo! Ktoś rzuca na ring wilgotny, czarny kwiat.

Terkot budzika.

Śpiąca zrywa się jak wstrząśnięta prądem. Trzepocze rzęsami. Prawda — nie prawda? Sugestywne widziadło gra jeszcze w otwartych oczach. Ciągle jeszcze gra i gra, ale usta powtarzają dwukrotnie:

— Nie ma przecież czarnych kwiatów. Nie ma!

Szczupłe, wymanicurowane palce wyłuskują z paczki (Carmeny) papierosa. Wzrok błądzi po mieszkaniu, zatrzymuje się na reklamowym kalendarzu ściennym, na leżącej obok posłania gazecie. Fotografia tego białego z dwiema szramami i pokiereszowanym nosem. Wielki nagłówek: ZŁOTO CZY SREBRO DLA JERZEGO KIDASA?

Twarz kobiety odpręża się z wolna. Gołe nogi na puszystym dywanie.

Paląc staje przed wysokim lustrem. Śledzi podkowy pod oczami. Dotyka obiema rękami piersi, które teraz, w zmienionej pozycji, też są piękne, jędrne, wezbrane. Odkładając papierosa zaczyna się ubierać: wiśniowa, dopasowana bluzka z głębokim dekoltem, stebnowana spódnica z teksasu, sandały.

Z pokoju-sypialni wchodzi do pokoju stołowego: segmenty typu Łask — regał z książkami, kryształowy wazon na półce, obok, na innej półce, starannie poukładane chłopięce zabawki: armia ołowianych żołnierzy, czołg, amfibia, wagoniki elektrycznego pociągu, dwie lilipucie bokserskie rękawice. W pokoju są także cztery pluszowe fotele i tkwiący tyłem do szczelnie zaciągniętego kotarami okna telewizor o dwudziestotrzy calowym ekranie. Telewizor jest wyłączony, ale rzucając okiem w śliską czerń ekranu, kobieta widzi...

Ring. Ogromna (pusta jednakże) hala. Kilku Murzynów w podeszłym wieku czyści elektroluksami podłogę. Dwóch białych ustawia klocowate podium dla zwycięzców. Wielkie numery. Kolejno: 2-1-3.

Kobieta w kuchni. Nie wiadomo: jadła coś, nie jadła? Wiadomo natomiast, że pali. Wymanicurowany palec rozgniata w popielniczce niedopałek. I już następny papieros w ustach. Zarzucając torebkę na ramię, wychodzi z mieszkania poprzez pokój stołowy i wąski korytarz. Kiedy stoi na klatce schodowej i zamyka od zewnątrz drzwi, kamera pada na wizytówkę: ANNA I JERZY KIDASOWIE.

Wsiada do windy. Nie wyjmując papierosa z ust, otwiera windę na parterze i zderza się twarzą w twarz z pięćdziesięcioletnią, objuczoną zakupami damulką.

— Dzień dobry — mówi promiennie damulka.

— Dzień dobry. — Anna Kidas robi unik i szybko zmierza do wyjścia, słysząc jednak za sobą:

— Proszę pani, chwileczkę! Proszę pani!

Odwraca się niechętnie:

— Tak?

— Wie pani, mój siostrzeniec z Bydgoszczy — tokuje dama z częstotliwością pepeszy — wprost zakochał się w panu Kidasie i koniecznie chce mieć jego zdjęcie z autografem, więc pomyślałam sobie, że jak panią spotkam, to w końcu jesteśmy sąsiadkami i nie będzie z mojej strony...

— Kiedy ja nie mam żadnego zdjęcia — ucina Anna. — Syn wszystkie rozdał w szkole.

— Oj!... — jęczy dama. — Gdyby pani zechciała poszukać...

Dalszego ciągu Anna nie słyszy. Wybiega na spryskaną wrześniowym słońcem ulicę. Gasi papierosa o mur. Dziewięcioletni brzdąc z tornistrem na plecach łapie ją za rękę.

— Założyłem się z Makowskim — mówi.

— O co? — dziwi się Anna.

— Że Kidas wygra z Murzynem. Wygra czy nie wygra, proszę pani?

— Wygra. Obaj wygracie.

— No jasne! — Brzdąc marszczy łobuziakowatą gębę w okrutnym uśmiechu i dalej rąbie po nazwisku! — Kidas rozwali go w pierwszej rundzie! — a potem, ni stąd ni zowąd: — Mogę przyjść po obiedzie do Waldka?

— Waldek jest u babci.

— Uuuuu... — Malec nie kryje zawodu.

Anna ginie za rogiem ulicy.

Kamera łowi wiśniową bluzkę Anny z długiego systansu:

Ta bluzka i tłum spieszących do pracy ludzi.

Ta bluzka i potężna, nowoczesna panorama Warszawy.

A oto inna, potężna panorama egzotycznego miasta nocą. Drapacze chmur. Refleksy wielokolorowych neonów. Opustoszałe jezdnie, wymarłe chodniki, palmy przygięte podmuchami wiatru. Tu i ówdzie olimpijskie kółka na murach. Jakieś osłonięte żaluzją okno. Za tym oknem ciasna nyża. W tej nyży — łoże. Na łożu człowiek o szeroko rozrzuconych ramionach. Nie śpi. Zbliżenie na otwarte oczy, na pokancerowany policzek.

Warszawa. Anna podchodzi do przystanku tramwajowego. Otaczający ją tłum wibruje przeczuciem nadciągających emocji. Kolejki pod kioskami. Szelest wertowanych w biegu gazet. Powtarzające się nazwiska znanych sportowców: SZEWIŃSKA, GRUDZIEŃ, KIDAS-GRUDZIEŃ, KIDAS, SZEWIŃSKA.

Wagon tramwajowy. KIDAS-SZEWIŃSKA-GRUDZIEŃ! Anna stoi w tłoku na pomoście: oczy w oczy, brzuch w brzuch z trzydziestoletnim facetem. Nie wiadomo, o czym myśli Anna. Nie wiadomo, co czuje. Poddaje się naporowi tych obcych ud? Nie poddaje?

Wysiada. Znowu wspaniała, roziskrzona panorama Warszawy. Znowu podniecony, barwny, radosny, spieszący we wszystkich kierunkach tłum. Skrzyżowanie Świętokrzyskiej z Marszałkowską. Anna ginie w bramie urzędu. Już na schodach zapala papierosa. Wchodzi do niewielkiego pomieszczenia na piętrze. Dzwoni telefon. Siada za biurkiem, podnosi słuchawkę. Rzuca krótko:

— Tak?

— Anna? — trzeszczy męski głos w słuchawce. I pepesza: — ZŁOTO! Ja ci mówię, że ZŁOTO! Powiedz, pomyliłem się kiedyś? Było Tokio — powiedziałem ZŁOTO! Był Rzym — powiedziałem SREBRO! Żeście wtedy wszyscy krzyczeli, że kraczę, ale ja mam swój nos, i dzisiaj, żebym tak zdrowia nie doczekał...

Odkłada słuchawkę. I momentalnie rozlega się dzwonek. I znowu jakiś inny, męski, zadyszany głos w membranie:

— Anulka? Możesz się nawet, kochanie, nie martwić! Wypałuje frajera legalnie. Pac! Pac! Pac! Pac! I odjazd, proszę gościa! Medal dla Polski, zwłoki dla kostnicy!

Odkłada mikrofon. Wyjmuje z szuflady plik dokumentów. Zagłębia się w nie, ale znowu terkocze telefon. Podnosi słuchawkę i jednocześnie trzaska pięścią w widełki. Wyszarpuje sznur z kontaktu. Zapala kolejnego papierosa (wciąż Carmeny) i wzdryga się, bo ktoś puka do drzwi.

— Tak?

I wstaje. Wstaje na widok czterdziestoletniego mężczyzny w eleganckim, gabardinowym garniturze.

— Pan dyrektor?

— Ciii — szepcze mężczyzna, przykładając palec do ust. Podchodzi, wręcza Annie bukiet bladych goździków. — Ode mnie i od całej instytucji. Za zwycięstwo! — Chwyta ją obiema rękami za ramiona i całuje ostrożnie w policzek.

— Dziękuję — mówi Anna bez uśmiechu.

— Ciii — Dyrektor pokazuje jej zaciśnięty kciuk. I dodaje szeptliwie: — Wszyscy trzymamy.

Nyża w egzotycznym mieście. Koniec nocy, pierwsze, nieśmiałe światło dnia na ścianach. Człowiek z dwiema szramami na twarzy leży teraz na brzuchu; lewa ręka zwisa bezwładnie z posłania; głęboki, równomierny oddech świadczy o śnie.

Gabinet Anny. W popielniczce pełno ubabranych szminką niedopałków. Powietrze gęste od dymu. Anna trzyma twarz w dłoniach, zapalony papieros tli się na skraju biurka. Ktoś znowu puka do drzwi.

— Tak?

Wchodzi chłopak w kraciastej marynarce i rozchełstanej pod szyją koszuli.

— Czego? — syczy ze złością Anna.

— No, no! — Gość wyszczerza białe, równe zęby. — Nie poznajesz starych przyjaciół?...

Wzrok Anny ogniskuje się na tych zębach, na tych zmrużonych, ironicznych, z lekka bezczelnych oczach, na opalonym torsie, wreszcie na biodrach spiętych modnym, skórzanym pasem.

— Robert.

— Zgadza się.

— Co cię przywiało?

— Obwiązek.

— Nie powiesz chyba, że literaci interesują się sportem.

— O?... — Uśmiech w tych zmrużonych, bezczelnych gałach. — Widzę, że mnie czytasz.

— Czytuję.

— Więc wiesz... Zajmuję się życiem.

— Skandalem.

— Powiedzmy: kulisami.

— Albo plotką. „Polityka" cię przysłała?

— Zgadłaś. Mam zrobić wywiad z żoną boksera przed tą wielką, najważniejszą walką.

Egzotyczne miasto we wczesnych godzinach porannych. Na chodnikach pierwsi ludzie — Murzyni, Indianie, biali w kapeluszach panama. Na jezdniach pierwsze samochody. Przeszklony, niebieski autokar z napisem POLONIA sunie skrajem arterii. Kamera łapie człowieka z pokiereszowaną twarzą. Człowiek ten siedzi osowiale pomiędzy dwoma panami. Pierwszy pan, okularnik, trzyma go za puls gestem doświadczonego lekarza. Drugi, pięćdziesięcioletni pan o niewątpliwie bokserskiej przeszłości (spłaszczony nos), pyta z troską:

— Co ci jest, człowieku, jak Boga jedynego kocham? Spałeś?

Pokiereszowany ociera dłonią pot ze znużonej twarzy. I odpowiada:

— Nie bardzo.

Gabinet Anny.

— Lubisz boks? — pyta chłopak w kracistej marynarce.

Po długim namyśle Anna odpowiada:

— Znam się na nim. Potrafię wypunktować walkę z precyzją sędziego.

— Ooo! — cieszy się chłopak, zapełniając nerwowym, nieczytelnym pismem płachtę białego papieru. — Na pewno widziałaś większość walk męża? — Patrzy wyczekująco, przekonany, że Anna powie „tak", albo że skinie głową, a on już nada temu w wydziadzie odpowiednio głęboką treść.

Ssie żarłocznie papierosa, podrażniony przeciągającym się milczeniem. Ale wciąż się uśmiecha, żeby nie wybić kobiety z rytmu pytań. Uśmiecha się i Anna, wydmuchując kłąb dymu, mówi wreszcie:

— Tak, oczywiście, widziałam większość walk męża.

Chłopak gorliwie przytakuje głową. Pisze ostro, już po drugiej stronie białej płachty.

... i oglądałaś cały dotychczasowy przebieg turnieju?

— Tak. Bardzo przeżyłam klęskę Dragańskiego i Gąsiorka.

— A walka twojego męża z Kaidinem?

— To były nerwy, ale uważam, że Jurek wygrał zasłużenie.

— I mamy tak kłamać?

— Jak to kłamać? — dziwi się Anna. — Że wygrał?...

— Nie. Że to wszystko widziałaś. Zdobądź się na trochę szczerości...

Egzotyczne miasto. Gabinet lekarski. Palmy za szerokim oknem.

— Masz nadwagę — mówi pięćdziesięciolatek o spłaszczonym nosie.

Człowiek z pokiereszowaną twarzą schodzi z wagi i rzuca przez zaciśnięte usta:

— Jeść mi się chce!

— Słuchaj! — mówi oschle Spłaszczony Nos. — Jeszcze tylko trzynaście godzin. Później przyniosę ci co chcesz: konia, wieprza, barana, kurę po uzbecku.

Pokiereszowana twarz przybiera nagle wyraz poważny, myślący, odrobinę szyderczy:

— A jak przegram?

— Człowieku! — Spłaszczony Nos zbliża się do Pokiereszowanej Twarzy. — Mnie nie chodzi o to, żebyś wygrał. Mnie chodzi o to, żebyś zrzucił nadwagę i walczył!

Gabinet Anny. Dwa zapalone papierosy. Dwie zamazane dymem twarze.

— Przeczytać ci kawałek? — pyta chłopak w kraciastej marynarce.

— No...

— Wiesz, żebyś później nie miała pretensji... — Podnosi papier do oczu i zaczyna niskim, wymodulowanym głosem: — Poznałam go, redaktorze, w hali na Bielanach i zaczęliśmy się spotykać... Miałam wtedy siedemnaście lat, a on dwa lata więcej. Był jeszcze juniorem. Chodziłam na wszystkie jego walki, te w Warszawie i te na wyjeździe, i bardzo lubiłam boks, gdyż on zawsze w pięknym stylu wygrywał. A kiedy osiem lat temu wzięliśmy ślub, to byłam w trzecim miesiącu, a on już był seniorem i dalej chodziłam na wszystkie jego walki, i on wciąż wygrywał w pięknym stylu. Wreszcie, w szóstym miesiącu, pojechałam do Wrocławia na pierwsze jego Mistrzostwa Polski Seniorów i zaciskałam kciuki, kiedy walczył w finale z Kacperskim, który wtedy chodził w lekkopółśredniej i był dobry; w trzeciej rundzie uderzył swingiem, otwartą rękawicą, zobaczyłam krew na twarzy Jurka...

(c.d.n.)

„TELEWIZJA I MY"

Państwowy Instytut Wydawniczy w serii „Biblioteka myśli współczesnej" wydał niezwykle interesującą książkę Włodzimierza Sappaka „Telewizja i my". Książka ta ukazała się w ZSRR w 1963 roku. Już po śmierci autora, który zmarł w 1961 roku. Otrzymała w 1964 roku nagrodę im. A. Łunaczarskiego za najlepszą książkę poświęconą krytyce artystycznej. Jej drugie wydanie ukazało się w ZSRR w 1968 roku. Przełożona została na język angielski. U nas jej przekład ukazał się właśnie teraz.

Włodzimierz Sappak — absolwent Instytutu Literackiego im. M. Gorkiego w Moskwie — zajmował się wraz z żoną Wierą Szytową krytyką teatralną. Opublikowali oni kilka książek na temat dramaturgii i teatru radzieckiego. Ciężko i nieuleczalnie chory Włodzimierz Sappak jedyny kontakt z życiem utrzymywał za pośrednictwem telewizji. To skłoniło go do szczegółowej artystycznej analizy radzieckiej telewizji, a jego refleksja mają i dziś znacznie szerszy i bardziej uniwersalny charakter.

Telewizja — jak do tej pory — nie doczekała się sformułowania swojej estetyki, a to dlatego między innymi, że rozwój środków, jakimi się posługuje jest niebywale szybki i wszystko, co się o telewizji pisze i publikuje jest w stosunku do postępu jej środków przestarzałe. A mimo to publikacje takie są niezbędne. Przykładem tego „Telewizja i my", która mimo to, że dotyczy jakże już odległego okresu rozwoju telewizji, jest i dziś w pełni aktualna. Być może dlatego, że swoje uwagi i refleksje Włodzimierz Sappak sformułował jako uwagi człowieka sprzed ekranu do człowieka przy kamerze.

Włodzimierz Sappak — „Telewizja i my", przekład Zbigniew Podgórzec. PIW, Warszawa 1976, str. 200, cena: zł 20.—

„SZKICE O SZKOLNICTWIE WYŻSZYM"

Na problemach oświaty — jak głosi fama — znają się wszyscy już choćby tylko z tego powodu, że każdy w jakimś tam stopniu styka się z oświatą. Ale tak naprawdę to mało wiemy na ten temat, a jest on, jak wiele problemów naszego życia, przedmiotem zainteresowania naukowców. Dziś funkcjonujący system oświaty decydować bowiem będzie o kształcie i sprawności funkcjonowania społeczeństwa w najbliższych latach. Między innymi i dlatego problemy oświaty najszerzej rozumianej interesują wszystkich.

Jan Szczepański opublikował już wiele prac na temat szkolnictwa w Polsce, a był też kierownikiem prac nad tworzonym swego czasu „Raportem o stanie oświaty". Jego zainteresowania obejmują całość procesu kształcenia — od stopnia podstawowego do kształcenia wyższego. W 1958 roku zorganizował w Uniwersytecie Łódzkim Zakład Badań nad Szkolnictwem Wyższym. Opublikował wiele prac na ten temat, a ostatnio w popularnej serii „Omega" wydawanej przez Wiedzę Powszechną ukazały sie jego „Szkice o szkolnictwie wyższym".

Książka ta stanowi zbiór esejów poświęconych problemom szkolnictwa wyższego, drukowanych w różnych czasopismach w latach 1957 — 1974, które składają się na logiczną całość, wychodząc od przeglądu koncepcji szkolnictwa wyższego ukształtowanych w przeszłości i zamkniętych postulatami, jakie przed ta dziedziną życia społecznego stawia współczesność. Zebrane szkice Jan Szczepański zamyka esejem podsumowującym, w którym kreśli sugestie, jakie powinny być wzięte pod uwagę przy reformowaniu szkolnictwa wyższego. Wychodzi on bowiem z założenia, że szkolnictwo wyższe ukształtowane w zupełnie odmiennych warunkach kraju uprzemysłowiającego sie nie może spełniać swojej roli w kraju, w którym dokonuje się dynamiczny rozwój społeczno-gospodarczy.

Jan Szczepański — „Szkice o szkolnictwie wyższym", 293 publikacja „Omegi". Wiedza Powszechna, Warszawa 1976, str. 162, cena: zł 15.—

CZŁOWIEK I JEGO ŚRODOWISKO

Coraz częściej nadchodzą budzące niepokój sygnały o skażeniu naturalnego środowiska przez nierozważną i rabunkową działalność człowieka. Sygnały te budzą refleksję: co stanie sie z naszą planeta za kilkadziesiąt lat? — ale też nie zawsze pobudzają do zdecydowanego przeciwdziałania. Siła burzliwego rozwoju cywilizacji jest tak wielka, że mimo ogromnych wysiłków nie stać nas jeszcze na jej opanowanie. Rodzi to więc koncepcje ratowania tego, co jeszcze da się uratować, zachowanie przynajmniej części globu w stanie nie skażonym.

Profesor dr Bolesław Malisz proponuje inne rozwiązanie. Nie negując potrzeb ochrony przyrody, tych rejonów, które można zamknąć przed zgubnym działaniem żywiołowego procesu rozwoju cywilizacji, proponuje rozumne i celowe działanie człowieka, które nie hamując postępu cywilizacyjnego gwarantowałoby człowiekowi dobre warunki życia w naturalnym środowisku.

Profesor dr Bolesław Malinowski jest architektem — planista, twórcą tzw. analizy progowej — szeroko stosowanej dziś w swiecie przez urbanistów — profesorem zwyczajnym w Instytucie Geografii PAN. Zajmuje się praca naukową i dydaktyczną, wykładając nie tylko w kraju. W latach 1966 — 1968 był ekspertem ONZ do spraw planowania przestrzennego w Grecji i Jugosławii. Jest honorowym członkiem korespondentem Królewskiego Instytutu Urbanistyki w Wielkiej Brytanii i członkiem Akademii Nauk Technicznych w Meksyku.

W swojej książce „Przyszły kształt Polski", która jest trzechsetną publikacja popularnej biblioteki „Omega", wydawanej przez Wiedzę Powszechną, dokonał nie tylko analizy dotychczasowego, tradycyjnego planowania przestrzennego w Polsce, ale w oparciu o warunki, możliwości i potrzeby sprecyzował program dalszego przestrzennego rozwoju kraju, który to program nie stałby w kolizji z naturalnymi warunkami życia człowieka, a brałby je pod uwagę, dążąc do tego, aby w miarę realizowania owego programu postęp cywilizacyjny nie zagrażał człowiekowi. Mamy w tej dziedzinie już poważne osiągnięcia, które pozwoliły nasze metody podnieść w świecie do rangi „polskiej szkoły planowania przestrzennego".

Bolesław Malisz — „Przyszły kształt Polski", 300 publikacja „Omegi", Wiedza Powszechna, Warszawa 1976, str. 234, cena: zł 20.—

RYTMY BIOLOGICZNE

„Powstanie życia na Ziemi, jego rozwój i stała ewolucja odbywały się pod wpływem sił kosmicznych. Działanie tych sił, przejawiające się takimi zjawiskami, jak np. obrót Ziemi wokół swej osi, obrót Księżyca wokół Ziemi, obieg Ziemi dookoła Słońca, wykazuje ścisłą cykliczność. Owe regularnie powtarzające się cykle wywarły zdecydowany wpływ na skomplikowany proces ewolucji życia na naszej planecie już od momentu jego powstania". — pisze Tadeusz Dzierżykray — Rogalski we wstępie do swej książki „Rytmy i antyrytmy biologiczne".

Często wydaje się nam, że już wszystko wiemy o sobie i naszym świecie. A tymczasem uczeni badając coraz to nowe zjawiska, przekonują nas, że tak nie jest. Na przykład utarty zwyczaj, że gentleman nie pije alkoholu rano — jak się okazuje — ma swoje uzasadnienie w rytmie pracy wątroby. Ale to tylko jeden z licznych przykładów, jakie Tadeusz Dzierżykray — Rogalski omawia w swojej książce.

Autor jest lekarzem i biologiem. W 1951 roku habilitował się z antropologii. Od 1962 roku jest kierownikiem terenowej pracowni Enkologii Człowieka i Paleopatologii w Kairze. Pracownia ta należy do Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej PAN. Wykłada w wielu zagranicznych wyższych uczelniach. Jest autorem około 400 prac i doniesień naukowych.

B. M.

Tadeusz Dzierżykray — Rogalski — „Rytmy i antyrytmy biologiczne", 297 publikacja „Omegi", Wiedza Powszechna, Warszawa 1976, str. 203, cena: 15.—

WARTO PRZECZYTAĆ

JAN DOBRACZYŃSKI — Doścignięty. Czyt. 1976, str. 362, zł. 30.—

CZESŁAW K. DOMAGAŁA — Wzbierająca fala. KiW. 1976, tr. 575, zł. 55.—

ARTUR HUTNIKIEWICZ — Od czystej formy do literatury faktu. Główne teorie i programy literackie XX stulecia. WP. 1976, str. 296 zł. 60.—

LAJOS NAGY — Dziennik z piwnicy. Czyt. 1976, str. 81, zł. 22.—

ADOLF RUDNICKI — Wybór opowiadań. Czyt. 1976, str. 455, zł 32.—

KAZIMIERZ TETMAJER — Na Skalnym Podhalu, WL. 1976, str. 427, zł. 45.—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

DEDYKACJE DLA STANISŁAWA CZERNIKA

Niestrudzony dokumentalista zjawisk kulturalnych Łodzi — **Michał Kuna** — opracował i wydał rękopiśmienne dedykacje z księgozbioru Stanisława Czernika. Jest to dokument admiracji, jaka otaczała w pisarskim środowisku tego wybitnego poetę.

Jakże wiele przyszły badacz literatury może się na podstawie tej dokumentacji dowiedzieć. Są tu fakty z pozoru nieistotne — kiedy na przykład Czernik przeszedł na ty z Przybosiem, jakich tomów poetyckich innych autorów był redaktorem, jakiego młodego poetę otoczył życzliwością i opieką... Te ostatnie zresztą dedykacje świadczyć mogą tylko o wdzięczności i pamięci poszczególnych poetów, bowiem Czernik miał otwarte serce i ogrom życzliwości dla każdego, kto na drogę poetycką wstąpił. Nie wszyscy, którzy doświadczyli owej serdeczności, pamiętali później o tym, ale też ich dedykacji raczej w zbiorze nie ma.

Jest to przedziwna książeczka. **Nie ma w niej słowa napisanego przez Stanisława Czernika, składa się przecież z blisko 250 dedykacji różnych ludzi, często dziś zupełnie zapomnianych. A jednak jest to portret pisarza bardziej wiarygodny i autentyczny niż najbardziej obiektywna autobiografia.**

Piszą więc uznani dziś autorzy słowa podzięki: „pierwszemu serdecznemu opiekunowi moich skromnych wierszy", albo: **„poecie, któremu tak wiele zawdzięczam"...**, albo: **„Stanisławowi Czernikowi, którego uważam za Nauczyciela w sztuce życia i w sztuce słowa"...**

I nie są to konwencjonalne słowa. Stanisławowi Czernikowi — poecie, krytykowi, wydawcy i redaktorowi, a także prezesowi łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich — wiele dobrego zawdzięczają poeci i całe środowisko literackie. Nie towarzyska konwencja sprawiała więc, że większość dedykacji tchnie szacunkiem i przyjaźnią. Stanisław Czernik był przyjazny ludziom i jego serdeczność była zaraźliwa — ludzie w jego otoczeniu stawali się lepsi.

Nie znaczy to oczywiście, że wybitny poeta nie przeżył w tym mieście chwil trudnych i ciężkich, zawinionych przez ludzi tępych, zawistnych i nieczułych. Ale najczęściej byli to ludzie uprawnieni co najwyżej do podpisywania pism urzędowych, nie — książek, więc nie ma ich śladu wśród literackich dedykacji.

Bibliofilski druk, opracowany przez Michała Kunę, jest publikacją osobliwą. I jako dokument i jako lektura. Wbrew pozorom czyta się te dziesiątki dedykacji z prawdziwym zainteresowaniem, choć często są to tylko lakoniczne, stereotypowe zwroty. Ale kryje się za nimi bardzo wiele: układają się w interesujący obraz literackich przyjaźni, spotkań i fascynacji. Jako przyczynek do dziejów ruchu literackiego jest to pozycja naprawdę cenna.

Nie pierwsza zresztą w działalności **Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki.** W tekach tego Towarzystwa znajduje się na przykład ciekawy referat **Zdzisława Knorowskiego** na temat dedykacji książkowych. Myślę, że i ten tekst wart jest wydania.

Bo przecież polskie piśmiennictwo dotyczące dedykacji, choć dość obfite, jednak nie jest zbyt szeroko znane. Siedemdziesiąt parę dedykacji Adama Mickiewicza znajduje się w 16 tomie Wydania Narodowego sprzed ponad 20 lat; potem uzupełnił je **Stanisław Pigoń** w osobnym wydaniu z roku 1964. Dziesięć lat temu **Józef Długosz i Jan Trzynadlowski** zebrali dedykacje autorskie w księgozbiorze Ossolineum w publikacji jubileuszowej na 150-lecie wydawnictwa. Dedykacje 58 autorów dla **Juliana Tuwima** opublikowano w numerze 4 „Blok — Notesu Muzeum Mickiewicza", pisał o dedykacjach jeszcze przed wojną **Jan Lorentowicz** („Spojrzenie wstecz", Warszawa 1935)...

Temat jest bowiem wdzięczny i bardzo ciekawy. Pewno, że nie zainteresuje szerokich rzesz czytelniczych, ale dobrze, że ukazują się w małych, bibliofilskich wydaniach publikacje, mówiące o tym urokliwym i wdzięcznym przychówku literatury. **W ocalaniu od zapomnienia owych cymeliów i dokumentów literackich ogromną rolę i zasługi ma od lat Łódzkie Towarzystwo Miłośników Książki.**

WIDOK

LEWYM OKIEM

SPRAWA MĘSKA

Zdaje się, że grozi nam zupełne rozpasanie. „Nam" — to znaczy mężczyznom w wieku dojrzałym i później. Jest to groźba realna i poważna i zamiast ją lekceważyć, należałoby raczej zastanowić się nad podjęciem środków zaradczych. Jakie środki antyrozpasaniowe mogą w ogóle wchodzić w rachubę?

A więc najpierw powołanie do życia Biura Projektów Przemysłu Drobniutkiego, co wymaga oczywiście lokalizacji, etatyzacji i pięciu samochodów służbowych. Biuro to, po okrzepnięciu organizacyjnym, projektuje a następnie organizuje Centralne Laboratorium Przemysłu Drobniutkiego, złożone z kilkunastu specjalistycznych Zakładów, wśród których bezwzględnie znaleźć się musi Zakład Elementów Spinających Męskich, w skrócie ZESM. Szereg poczytnych tygodników z „Perspektywami" i „Panoramą" na czele ogłasza ilustrowane pięknymi zdjęciami reportaże, popularyzujące wśród ogółu czytających zwłaszcza profil Naczelnego Plastyka ZESMu, pani magister Karpatko, z uroczym trzymiesięcznym pudlem na kolanach, na tle unikalnego gobelinu w stylu opoczyńsko-kłodzkim.

Z reportaży wynika, że piękna i — było nie było — wiodąca kolekcja elementów spinających męskich, opracowana z uwzględnieniem najnowszych tendencji mody światowej, czeka na rozruch supernowoczesnego agregatu, zakupionego w jednym z krajów KK (reportaże nie rozszyfrowują tego symbolu — „KK" — ale przecież wszyscy wiemy, o co chodzi). Jednocześnie kilka innych Centralnych Laboratoriów koncentruje się na opracowaniu technologii produkcji nowego tworzywa — Kauczuku Indukcyjno-Termicznego, zwanego w żargonie fachowców KITem, opartego na licencji zagranicznej, ale ulepszonego przez rodzimą myśl chemiczną. KIT będzie surowcem do przerobu przez agregat, ten właśnie, który czeka na rozruch.

Po niecałych trzech latach, podczas których przywołani siedmiokrotnie fachowcy z jednego z krajów KK usunęli wszystkie usterki i uzupełnili zagubione wśród tak zwanych stoków magazynowych części zamienne, agregat zostaje uruchomiony, a pierwsze partie KITu wchodzą do prób na skalę pół — techniczną. Jest to na razie KIT w jednym kolorze — ciemny torf — ale poza tym parametry jego nie odbiegają od atestu dostawcy licencji. Pani magister Karpatko w międzyczasie zmieniła branżę i przygotowana przez nią kolekcja wiodąca Zdobin Mostowych Ciężkich cieszy oko czytelników „Perspektyw".

Następnie nie powinno się czekać dłużej niż rok na konkretne już propozycje rynkowe Przemysłu Drobniutkiego. Na Targach Krajowych ukaże się pełna kolekcja Elementów Spinających Męskich, złożona z dwustu klamer do pasków męskich w kolorze ciemny torf. Przy wszystkich prezentowanych wzorach zwiedzający zobaczą pięknie wykaligrafowaną etykietkę „Nowość", a przy stu dziewięćdziesięciu siedmiu ponadto etykietkę „Krótka seria". W języku targowym oznacza to, że handlowcy — gdyby chcieli — mogą zamówić 3 (-słownie: trzy) wzory klamer do pasków męskich w kolorze ciemny torf.

Ponieważ klamry do pasków, nawet te pod tytułem „Nowość", nie „robią planu" w sklepie, należy liczyć się z tym, że handlowcy nie od razu zainteresują się tym towarem, choćby nawet na odnośnym stoisku Przemysłu Drobniutkiego przez cały dzień grała orkiestra i kwitły cieplarniane orchidee. Kilka instytutów takich jak: Instytut Marketingu i Paletyzacji, Instytut Analizy Potrzeb Nieinwestycyjnych i Niekonsumpcyjnych, Instytut Sondażu Panelowego i Ciągnionego — zbada wszechstronnie zagadnienie popytu na klamry do pasków męskich w przekroju miasto-wieś, z uwzględnieniem sezonowości. W oparciu o wyniki tych badań, minister wyda okólnik, plecający objąć klamry do pasków męskich wachlarzem asortymentu minimalnego w sklepach z galanterią, i to zarówno w aglomeracjach miejskich, jak i w ośrodkach gromadzkich.

Od tego momentu proces rozpasania mężczyzn ulegnie zrozumiałym ograniczeniom. Stopniowo wszyscy zaopatrzymy się w klamry i zapniemy paski.

Tymczasem, zaś, jeżeli starą i przekładaną z paska na pasek klamrę połamią nam w pralni chemicznej, chodzić będziemy bez pasków i bez pasów. Jest nas coraz więcej. Odsyłają nas z jednego sklepu do drugiego, aż wreszcie w czternastym pani kierowniczka znajdzie czas, aby nam wyjaśnić: klamer męskich nie ma, nie dostanie pan, nie produkuje się.

Powstrzymajmy zdumione a nabrzmiałe pasją przekleństwo. Zapytajmy bardzo spokojnie: dlaczego? Do jasnej Anielki — DLACZEGO?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

Gdzie podział się Jan Ciszewski?

Moja ciotka, osoba swego czasu bardzo popularna w różnych kręgach towarzyskich, zwykła była znikać na pewien czas, nie przyjmowała zaproszeń, unikała nazbyt częstego bywania w tym samym towarzystwie. Zapytana, dlaczego tak postępuje, wyjaśniła, że najlepszym sposobem utrzymania popularności jest umiar. — Jak człowiek jest zbyt. nio na ludzkich oczach i językach — wyjaśniała moja ciotka — to najpierw się opatrzy ludziom, potem zacznie ich drażnić, więc będą o nim pletli nieistworzone rzeczy, aż w końcu będą uważali za swój punkt honoru pozbawić go nadmiernej popularności. A umiar — wyjaśniała dalej moja ciotka — może zapewnić popularnosć na długie lata. Uczcie się więc postępować i działać z umiarem.

Moja ciotka zapewne miała rację, ale jej racja pasowała do innych czasów. Tym nie mniej nie można jej poglądom na temat popularności odmówić słuszności. Jest w tym niewątpliwie racjonalne jądro — jakby to określili filozofowie. Życie bowiem stwarza ludziom warunki do tego, aby mogli być popularni, a już od nich samych zależy stopień, w jakim te warunki wykorzystają. Ale to jest tylko jedna strona zagadnienia.

Druga strona — to nagłe zanikanie ludzi popularnych i lansowanych. W telewizji — oczywiście. Występowanie w telewizji czyni z człowieka, jego twarzy, sposobu bycia, głosu, manier, uśmiechu wreszcie — społeczną własność. Człowiek występujący w telewizji zaczyna należeć do ludzi, do społeczeństwa, jest codziennym gościem w naszych mieszkaniach, przyzwyczajamy się do niego, zaczynamy go lubić, szanować, albo nas gniewa, drażni, ale mimo to jest nam bliski. W końcu ileż ludzi w biurze, w fabryce, w życiu towarzyskim nas gniewa, drażni lub budzi naszą sympatię, a niezależnie od naszych uczuć muszą oni stanowić nasze otoczenie. Towarzystwo do rozrywki możemy sobie wybierać, towarzystwa do pracy — raczej nie. Coś podobnego dzieje się w telewizji. Na przykład organicznie nie znoszę Urszuli Sipińskiej, jest mi zupełnie obojętna Zdzisława Sośnicka, natomiast bardzo lubię Marylę Rodowicz. Mam jednakże tę możliwość, że kiedy występuje Urszula Sipińska mogę wyłączyć telewizor, natomiast z takim Iksem niemal codziennie spotykamy się w gmachu redakcyjnym i chociaż się serdecznie nie cierpimy, ani ja jego, ani on mnie nie może wyłączyć. Takie już jest życie.

Nagłe znikanie gwiazd telewizyjnych, jak i nagłe się ich pojawianie budzi różne, najczęściej zupełnie nieuzasadnione komentarze, jak to zwykło bywać z różnymi niuansami polityki personalnej. Był na przykład swego czasu niezwykle popularny Wicherek. Pewnego dnia zniknął bezpowrotnie z telewizyjnego ekranu, ustępując najpierw Chmurce, a następnie wykresom, milibarom, strzałkom i planszom oraz anonimowemu głosowi, który to wszystko stara się nam dość przystępnie wytłumaczyć. Był to pomysł niewątpliwie dobry w poprzednim wydaniu dziennika, w tym — nowym — zupełnie nie pasuje. Czują to zresztą komentatorzy, którzy starają się jak mogą nadrobić aż nadto widoczne braki.

W nowym kształcie dziennika telewizyjnego, który budzi moje uznanie, aczkolwiek wymaga jeszcze doskonalenia, zniknął nagle ulubieniec „Szpilek" — Wojciech Zyms. I oto równie nagle pojawił się. Podobnie zresztą jak Andrzej Kozera, którego najpierw nie było wcale, a teraz jest go aż nadto dużo. W końcu gospodarze „Wieczoru z dziennikiem" składają wizyty w naszych domach i byłoby dobrze wiedzieć, kogo sie mamy spodziewać. Bardzo dużo niechęci wzbudził na przykład — zupełnie nie wiadomo dlaczego — Zygmunt Broniarek. Ale też najpierw Broniarka w ogóle nie było w telewizji, a teraz nagle rozpoczął się nieustający Broniarek-Show. Jak powtarzają ludzie wtajemniczeni Zygmunt Broniarek będzie nawet prezentował w Studio 2 popularny zespół „ABBA". Podejrzewam, że to plotki, które rozpowszechniają ludzie niechętni Zygmuntowi Broniarkowi.

Był kiedyś taki bardzo popularny Lucjan Kydryński, który nagle gdzieś się zapodział, zupełnie podobnie jak Jan Ciszewski. Ten ostatni uparcie towarzyszył sukcesom i porażkom piłkarskiego zespołu Kazimierza Górskiego. Teraz, kiedy Kazimierz Górski odszedł na zasłużony odpoczynek, również zniknął z telewizyjnych ekranów Jan Ciszewski, a spotkaniom piłkarskim nie towarzyszy jego jakże charakterystyczny głos.

Ja rozumiem, że ludzie przychodzą i odchodzą, że starsi powinni ustępować miejsca młodym, że popularność jest niezwykle słodkim narkotykiem i trudno tu zachować tak kiedyś zalecany przez moją ciotkę umiar. Ale ten umiar powinien też obowiązywać i tych, którzy lansują gwiazdy różnych sezonów. Jana Ciszewskiego — którego mimo wszystko bardzo lubię — pełno było w sportowych audycjach. Jan Ciszewski „sprawozdawał" wyścigi konne, motocyklowe, koszykówkę, siatkówkę, piłkę nożną. Może sie trochę zagalopowałem, ale coś w tym jest. Przepraszam, coś w tym było.

A w gruncie rzeczy chodzi mi po prostu o to, czy przy lansowaniu różnych gwiazd bierze się pod uwagę to, co sobą reprezentują, czy też to, że sie komuś podoba ich głos lub fizjonomia. Dalibóg, nie wiem.

MARCIN RODAK

magazyn

ANDRZEJ CZEKALSKI

FONTANNY DLA ORDYNACJI

„Trąd rozpoczyna się przelotną wysypką"
(Vademecum Lekarza Ogólnego)

Tymczasem plener się skończył. Ostatnią białą plamę na mapie ujęć z ulgą zamazano w produkcji na czerwono. Konie odjechały już wcześniej, żal tych koni, żal, szlaban szybko rozebrać trzeba, filmowe to oszukaństwo, na polnej drodze stoi i torów żadnych za nim nie ma, ale chłopi, cywilizacją skażeni, niechętnie przez niego przejeżdżają, bacznie na boki spoglądając, bo a nuż... Fontanny, co życie klasie posiadającej umilały, przestały pluskać, strażacy węże zwinęli, ciśnienie w kraju wróciło do normy. Na kamerę czeka już inna ekipa, w obce ręce pójdzie, nieczuła bestia, nie zatęskni nawet. Już nie trzaśnie klaps z groźnym napisem TRĘDOWATA, co będzie z klapsem, pewnie w pracowni malarskiej inny tytuł namalują. Zielonooki dog arlekin wróci w ręce prawowitego właściciela i liżąc przejechany przez powóz ogon, wspominać będzie wielkie dni psiego życia, gdy nazywał, się Pandur i był ulubieńcem Ordynata. Ktoś policzy wąsy, brody i peruki, ktoś rozliczy suknie i kapelusze, Stefci nikt już nie wskrzesi, pościel w której zgasła, o prozo życia, magazyn przejmie, bo tymczasem plener się skończył.

Wiele takich zakończeń się przeżyło, do jednych niecierpliwie dni liczno, inne zaskakiwały smutnymi rozstaniami. Tu jakoś dziwnie, inaczej, złota mgiełka nad polami, daleko na pustym kartoflisku słupka stanął zając, bezwstydnie się przygląda, mówią, że z Klubu Filmowego. Niby nic a lirycznie się robi, jeszcze moment i Leszka Teleszyńskiego o ciepły autograf na kapeluszu poproszę, chociaż wiem, że nie lubi, właściwie wstydzić się nie ma czego, przecież długo człowiek w melodramacie pracował.

Może czas do Kopalińskiego sięgnąć, teorią się dozbroić. „Melodramat: patetyczny, sentymentalny dramat o sensacyjnej fabule i moralizującej tendencji, operujący banalnymi środkami artystycznymi". Nieprzychylna to definicja dla niełatwego gatunku, powalczyć by można o ostatni jej przymiotnik.

Ale tymczasem plener się skończył. Więc, jak chcą niektórzy dziennikarze, pogasły jupitery, zamilkły agregatory, ucichły offy. Nie ma już dziennikarzy. A tylu ich było, z dzienników, miesięczników, tygodników, zdjęcia pstrykali, najcichsze westchnienia czujnie notując. Potem z zadowoleniem bystre reportaże czytano, obiektywne, bogate w informacje i anegdoty z planu, ale między wierszami zgodna w nich nieufność do dzieła pani Mniszkównej przebijała. Zdrowa to nieufność i dialektyczna, tylko nie obrażając nikogo, ryzyk — fizyk piszącego wykluczająca. A tu, przy pracy nad kapryśnym filmowym gatunkiem, ryzyko w cenę musi być wliczone. Nawet pies Pandur, ulubieniec Ordynata, gdy do drzwi Stefci drapie, ryzykuje psim swoim wdziękiem, czy rozczuli tych w siódmym rzędzie sali kina Kosmos.

Plener się skończył. Już mało i w wygodnych krzesłach sędziami będziecie w starciu między Siłą Miłości i Potęgą Sfery. Zgrzyta stół montażowy, z otwartych pudełek taśmy pachnie kamforą a w półmroku sali projekcyjnej aż prosi się o chwilę wspomnień.

W Łańcucie stoi pałac a płyta z cementu poucza, iż jest on symbolem ucisku. Ci z uciskanych, którzy dożyli, ucisk wspominają sympatycznie, to smuci, lecz może być przypisane kojącemu działaniu czasu. Pałac jest piękny. Z przodu ma fronton a z tyłu leży koks. W pałacu i obok można nakręcić jeszcze wiele ciekawych filmów, ale już chyba bez entuzjazmu jego Dyrekcji. Gdyby przed pałacem zgodziła się zaśpiewać Stenia Kozłowska, to nawet mógłby powstać Program Rozrywkowy TV. Ekipy filmowe nie są chlubą Łańcuta, chlubą Łańcuta są wycieczki. Tradycją wycieczek było stukanie palcem w złocone wrota bramy, dzieło Jurka Szeskiego, potem następował moment rozczarowania: „To drzewo?!? „Podobno po stutysięcznym stuknięciu brama odpowiedziała: „Proszę się ode mnie od...". W Łańcucie odbywają się również Zjazdy Muzyków. Miło będzie kiedyś opowiadać wnukom, jak jadąc przez park siódemką ogierów, spotkało się pod jaworem dziewczynę, ćwiczącą na skrzypcach Jana Sebastiana. Gustowne wnętrze pałacu, które określić można jako M — 500 albo i więcej, robi przyjemne wrażenie, kontemplacje utrudnia jedynie obowiązkowe posługiwanie się kapciami. Od kapciowego przymusu oficjalne zwolnienie miał tylko Jurek Hoffman, ale nie korzystał z niego, demokratyzm wewnątrzekipowy czynem głosząc. Biblioteka pałacowa jest podobno bogato zaopatrzona w literaturę tzw. frywolną, ale przykład wzajemnego uczucia Stefci i Waldemara (platoniczne!!!) narzucał inny styl bycia.

Smutne wspomnienie. Przez trzy upalne dni kręcona w pałacowej jadalni scena jedzenia szparagów. Pod koniec trzeciego wyznanie młodego rekwizytora debiutanta: „Do końca życia w rękę szparaga nie wezmę..."

Niedziele i wolne dni wesoło upływają w poszukiwaniu stosownego cmentarza. Tworzą się stronnictwa, próby przekupstwa, cmentarne sympatie i antypatie. W kuluarach często słychać: „Widziałeś cmentarz Iksa? To dno nie cmentarz! Ja mam cmentarzyk cacko..." W rezultacie Stefcia Rudecka (ważna wiadomość dla przyszłych wyznawców jej kultu) zostaje pochowana na starym Cmentarzu Miejskim w Rzeszowie, numer i kwatera tylko do wiadomości redakcji. Pogrzeb był wspaniały i wywołał olbrzymie zainteresowanie w różnych środowiskach. „My tylko na chwileczkę popatrzyć... — nieśmiało tłumaczyło dwóch panów w nieco spatynowanej czerni, nie wymienionych na liście statystów — „leżymy tu po sąsiedzku...".

Teatr Wielki w Warszawie, wielka scena balowa. W rytm Walca Chaczaturiana pięć długich dni wiruje kwiat baletu i aktorstwa. W bocznej sali, o potęgo tańca, dyżurny strażak prywatnie walcuje ze sprzątaczką. Przychodzi popatrzeć Janusz Głowacki, ale tańczyć z nami nie chce.

Scenę w bufecie poprzedza zrozumiałe podniecenie. Zgłaszają się na ochotnika szczupli statyści. Ekspres Wieczorny głosi: „Przysmaki na stół Ordynata szykują mistrzowie z Bristolu". Grupa pracowników o nieposzlakowanej przeszłości stoi od świtu na straży półmisków. A jednak na faszerowanym sandaczu ktoś pozostawia ślady ostrych zębów. Krótkie śledztwo wyjaśnia sprawę, sprawcą jest Upiór Opery. Incydent zostaje wyjaśniony, zawstydzony Upiór wraca do piłowania kandelabru nad widownią. Pieczołowicie podgrzane Szampanskoje strzela z temperamentem, plastikowe korki dyżurny malarz z ironicznym uśmiechem pomalował na kolor korka. Hrabia Barski wznosi cyniczny toast za zdrowie pięknej narzeczonej Ordynata. Cały stół podchwytuje toast, uwadze przyszłych krytyków polecam, że pijący zdrowie zdają się zapominać, iż w epoce tej w niektórych rejonach kraju dzielono zapałkę na cztery części.

Samotna na balowej sali Stefcia przedziera się przez tłoczny szpaler lżących ją bezkarnie Masek. Osobę, która w trakcie zorganizowanego zamieszania towarzyszącego tej scenie, mocno uszczypnęła Bohaterkę, prosimy o pilne skontaktowanie się, gwarantując zachowanie dyskrecji. Myśmy też kiedyś, dawno, ukradkiem kogoś uszczypnęli, gestem tym własny stosunek do problemu określając. Tym kimś był Herod Król. Spotkanie się szczypiących obiecuje ciekawą dyskusję światopoglądową.

Garden Party na tarasach zamku w Książu. Krąg do tańca kolorowe namioty, bufety, muszla z orkiestrą. Za muszlą sprytnie ukryci statyści we frakach, popijając piwo dyskutują godnie, ile garnirowany łeb świński wytrzyma na słońcu. W wysokich, różowych tortach, jak w wieżowcach, miejscowe osy zakładają spółdzielnie mieszkaniowe.

Jesień jeszcze ma kolor, niedaleko w stadzie skoki ćwiczą, jak wiatr powieje, to na fontannach wstaje tęcza, piosenkę Stefci do słów Adama Mickiewicza coraz ktoś zanuci. Kręci się, na Dolce zbudowany wielki kierat, budząc zdumienie turystów. Na jednym ramieniu kamera, na drugim Ordynat ze Stefcią swój pierwszy taniec tańczą. Młodzi tacy i piękni. Smuteczek jesienny cicho się wciska, i jej żal, że umrze młodo i jego żal, że przeżyje... Z drugiej strony tarasu gipsowe centaury za gipsowymi panienkami gonią. Jedna z panienek, jak pod odpowiednim kątem popatrzeć, męski atrybut posiada. Ale ile razy patrzeć można, wyjeżdżać trzeba...

I wszystko coraz dalej zostaje, to co ważne było, teraz tylko z boku kadru mignie, może anegdotę jakąś ktoś po premierze przypomni, delegację czas rozliczyć, protokoły i raporty podpisać, normalka, bo tymczasem plener się skończył.

Fot: Archiwum

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

ALE KINO!

W pierwszych dniach po potwierdzeniu wiadomości podawanej dotychczas nieoficjalnie zapowiadało się to w Warszawie jako wielka atrakcja. Gazety pisały o tym w tonie sporego podekscytowania. Najbardziej zagorzali kinomani zaczynali już gorączkowo rozpytywać się o bilety. Grasujące pod kasami kinkoniki szykowały się na większy zarobek. Wszystko zapowiadało mniejszą lub większą, ale zawsze sensację.

Po raz pierwszy zdecydowano się sprowadzić do Polski specjalną aparaturę kinową wielowymiarowych efektów typu „Sensurround". Na Zachodzie, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, ta i inne tego rodzaju aparatury stosowane są od dłuższego czasu z różnym wynikiem, ale zawsze stanowi to urozmaicenie dla przeciętnego widza w porównaniu z kinem stereotypowym. Podobnie u nas; a poza tym fakt instalowania w naszym kinoteatrze urządzeń serwujących inne obok wizualnych bodźce niósł z sobą posmak niebywałej atrakcji.

Niedawno wszedł na nasze ekrany amerykański film pt. „Trzęsienie ziemi" — jeden z wielu obrazów tzw. grozy realnie uzasadnionej. Właśnie do tego filmu superilustracją miały być wszelkie efekty uzyskiwane dzięki technicznej nowości naszej kinematografii.

Po upływie paru dni wszystko było wiadome; resztę wątpliwości rozwiały afisze Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych rozlepione w całej stolicy. „Trzęsienie ziemi" w swej wielowymiarowej wersji zdecydowano się wyświetlać w kinoteatrze „Moskwa" przy Puławskiej w ramach kino-rewii nazywającej się bodaj „Intersalto". W „Moskwie" — przy nieustannym zainteresowaniu „młodych wścibskich" — zainstalowano, co trzeba i gdzie trzeba. Sprawdzono, spróbowano i ogłoszono, że można zaczynać.

Początkowo bilety były do nabycia tylko z przedsprzedaży. Na trzy dni naprzód — jak głosiła kartka w kasach SPATiF przy Alejach Jerozolimskich. Decyzja była chyba słuszna, bo na wszystkie seanse waliły tłumy, chociaż cena jednego biletu wynosiła 100 złotych polskich i nie była wcale zachęcająca. Koniki wystające cierpliwie całe dnie pod „Moskwą" istotnie przez pierwsze pięć, sześć dni miały niezły utarg, a i widzowie chcieli się znaleźć w czołówce warszawiaków, którzy obejrzeli „Trzęsienie". Nawet ci, którzy już wcześniej mieli okazję oglądać ten film, żądni mocnych wrażeń wybierali się nań powtórnie z samej ciekawości nadprogramowych atrakcji. Jak się zdążyłem zorientować, oczekiwano jakichś cyrkowych tricków, spodziewano się niesamowitych rewelacji. Takie przynajmniej głosy można było usłyszeć w drodze do kina.

Rzeczywiście, nastrój wyczekiwania towarzyszył publiczności aż do momentu rozpoczęcia samej projekcji. Nie potrafił go rozproszyć nawet występ czechosłowackiego ansamblu muzycznego (notabene niezbyt interesującego w swym estradowym mini-programie, a w późniejszym okresie zastąpionego przez inną grupę), który został przewidziany w owej stówie za wstęp do kino-rewii. Zresztą zespół zaprezentował, na szczęście, krótki, niespełna półgodzinny recital, oddając — i słusznie, gdyż niecierpliwość widowni z każdą chwilą narastała — pierwszeństwo filmowi, który miał przynieść tak wiele emocji.

W krótkiej przerwie zapalono światła, a widzowie raz jeszcze — acz mniej pewnie — rozejrzeli się po sali i sztywno przywarli do swych foteli nie bardzo wiedząc co ich podczas tego seansu może czekać. Byli nawet tacy, którzy jakby z niepokojem zaglądali pod krzesła: czy aby stamtąd nie trzeba się spodziewać niespodzianek? Ale sala była normalną salą, rzędy, jak rzędy — rozstawione prawidłowo, i cała reszta też w porządku.

Światła przygasły, rozsunęła się kurtyna, z projektora wystrzelił różnokolorowy snop światła. „Earthquank"! Na wstępie jeszcze narracja w języku angielskim (tłumaczona polskimi napisami): „Będziecie mieli okazję zobaczyć, usłyszeć i odczuć to wszystko, co towarzyszy prawdziwemu trzęsieniu ziemi..." Napięcie sięga szczytu, gdy pojawia się na ekranie tekst: „Kino nie ponosi odpowiedzialności za doznania fizyczne i psychiczne widzów".

A potem rozpościera się przed nami obraz Los Angeles i widzimy biegnącego na tle gigantycznego napisu „Hollywood" — Charltona Hestona. Wszystko, jak w normalnym kinie. Ale każdy czeka na to, co tak przejrzyście sygnalizuje reżyser. I jest! Jakiś, jak gdyby odległy, grzmot. Gdzieś obok kina, a jednak w nim samym, bo oto zadrżał obraz na ekranie. Tymczasem dociera i do widza drżenie (delikatne, bo to zaledwie parę stopni w skali Richtera), wywołane za pomocą dźwięków o nie co dzień spotykanych częstotliwościach. Na białym półtnie przed nami tłuką się kosmetyki Avy Gardner, a później wszystko cichnie. Znów panuje spokój.

Czy to już wszystko? — zadają sobie szeptem pytanie widzowie obserwujący poczynania Lorne Greene'a, znanego telewidzom jako prawy Ben Cartwaright z „Bonanzy". Niebawem będzie kolejne, o małej sile, trzęsienie. Dopiero potem przyjdzie zagłada miasta, ale „Sensurround" nie ma możliwości innej interpretacji... Zmieniają się tylko częstotliwości, wwiercając się w uszy, zamazując czytelność dialogów George'a Kennedy'ego i innych bohaterów filmu. Minie kilka minut i ponowna fala wstrząsów nawiedzi filmową Kalifornię. I nasze fotele również. Lecz widzowie zdążyli już do tego przywyknąć i skupiają uwagę raczej na fabule „Trzęsienia ziemi". Nie było się czego bać!

Gdy zapalają się ponownie światła na widowni, przychodzi nagle refleksja, że przecież ten film można pokazać bez owych „dodatków", które tylko pozornie stwarzają atmosferę grozy i wiarygodności. Po co ta cała reklama? Film ten nie jest i nie będzie wybitny, ale w swoim gatunku zdaje się być obrazem udanym, nie potrzebuje zatem otoczki w postaci urządzeń, których działanie rzekomo miało imitować trzęsienie ziemi. Ktoś powiedział przy wyjściu: „Lipa!" Inny odpowiedział mu: „A co ty być chciał? Żeby to było prawdziwe trzęsienie?"

No, to — to nie, ale po co wydawać stówę, aby mieć w zamian ten efekt, jaki daje oglądanie kolorowej telewizji sprzężone — od czasu do czasu — z pralką elektryczną. Widać, do podobnych wniosków doszli i inni widzowie spośród tych, którzy gościli w „Moskwie" i odradzili znajomym oglądanie „Trzęsienia ziemi" z efektami.

Toteż wkrótce coraz częściej widownia warszawskiego kina łysiała pustymi miejscami.

Ale kino!

ŚLADAMI DAWNEJ ŁODZI

GMACH BANKU POLSKIEGO

Najdawniejszą siedzibą fabrykancką w Łodzi o charakterze pałacowym był obszerny budynek wzniesiony w 1849 roku przez znanego przemysłowca, Ludwika Geyera, na posesji narożnej przy Górnym Rynku (dzisiaj plac Reymonta) obok ul. Piotrkowskiej. Ówczesny wygląd owego budynku przedstawia litografia W. Walkiewicza, opublikowana w książce Oskara Flatta „Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym".

Była to piętrowa, ciężka budowla w stylu gotyckim, kryta cynkową blachą, zawierająca sześć izb na parterze, a na piętrze trzy izby. Wewnętrzne urządzenie siedziby Geyera — plafony, mozaiki, posadzki — przedstawiało pewną wartość artystyczną. W 1859 roku Geyer, zagrożony bankructwem, odstąpił ów pałac Bankowi Polskiemu za sumę 480 tys. złotych. Bank urządził tu swoją filię i magazyn (w oficynie) na przechowywanie zastawów, otrzymywanych od miejscowych przemysłowców w zamian za pożyczki. W czasie powstania styczniowego gmach Banku Polskiego stał się miejscem pamiętnego wydarzenia, związanego właśnie z powstaniem. Działo się to w nocy z 31 stycznia na 1 lutego 1863 roku. Farbiarz łódzki, Antoni Lebelt, uczestnik powstania, tak przedstawiał przebieg owego wydarzenia:

„Minąwszy wysoki biały budynek fabryki pana Geyera, zatrzymaliśmy się przy Górnym Rynku przed narożną kamienicą, w której mieścił się Bank Polski. Na rozkaz Rybickiego wszedłem z nim do gmachu. Sprowadzono zaspanego kasjera i w jego obecności Rybicki przeliczył gotówkę w kasie. Było 18775 rubli i 50 kopiejek — papierkami, srebrem i miedzią. Rybicki oświadczył, że z rozkazu władzy narodowej całą sumę zabiera na potrzeby siły zbrojnej narodowej. Kasjerowi zostawiliśmy pokwitowanie podpisane przez Rybickiego, Tampickiego, Krona i przeze mnie. Była może godzina czwarta nad ranem, kiedy minęliśmy rogatkę i wyszliśmy w stronę Pabianic".

W połowie lat siedemdziesiątych łódzka filia Banku Polskiego przeniesiona została do obszerniejszego budynku przy zbiegu ulic Cegielnianej obecnie Więckowskiego) i Zachodniej. Nieruchomość bankową na Górnym Rynku nabył w 1877 roku Ferdynand Fischer, który stary gmach gruntownie przebudował dla potrzeb mieszkalnych, dodając mu przy tym drugie piętro i poszerzając okna. Na parterze budynku urządzono pomieszczenia na sklepy.

Dzisiaj dawna siedziba Ludwika Geyera, a następnie Banku Polskiego w niczym nie przypomina jej pierwotnego wyglądu. Natomiast budynek magazynu bankowego w podwórzu zachował się prawie w niezmienionej postaci.

WACŁAW PAWLAK

Fot: Archiwum

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2178, R-11.